

Dodatek specjalny: Zmowa 1939. Pakt Stalin–Hitler

cena 8 zł (w tym 5% VAT)
NR 9 (166) ■ wrzesień 2019

Film DVD: *Na skrzydłach nadziei*

BIULETYN IPN

PISMO O NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI

1939 AGRESJA SĄSIADÓW



ISSN 1641-9561

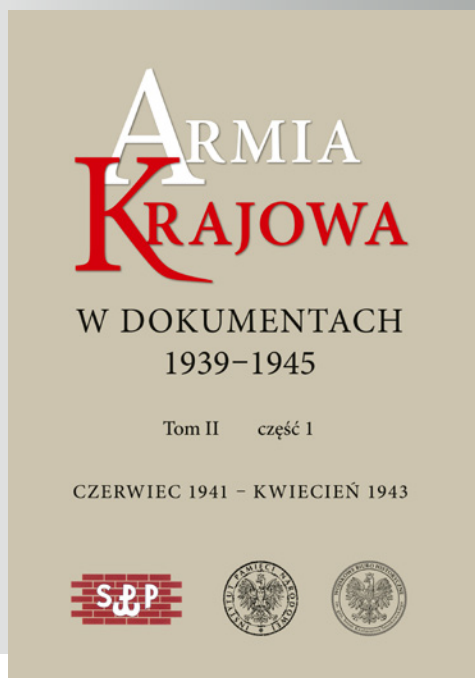


numer indeksu 374431
nakład 15 000 egz.

Nowości IPN



Publikacje dostępne w ipn.pocztytaj.pl



SPIS TREŚCI

80. rocznica wybuchu II wojny światowej

Arkadiusz Wingert – Czy Polska w 1939 roku miała plan wojny z Niemcami? 3

O polskim planie wojny wypowiadali się zarówno pamiętnikarze, dokumentaliści, jak i autorzy licznych opracowań. Mimo upływu prawie siedemdziesięciu pięciu lat od zakończenia wojny, problem wciąż nie został wyczerpująco przebadany.



Rafał Habielski – Nie osłabiać „ducha obronnego”. Pakt Hitler-Stalin w polskiej prasie u progu wojny 14

W przededniu II wojny światowej prasa w Rzeczypospolitej była powstrzymywana przez władze przed ostrymi wystąpieniami antyniemieckimi.

Artur Kuprianis – A więc wojna! Ćwiczenia obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w Łodzi w styczniu 1939 roku 24

Wobec zbliżającego się wielkimi krokami starcia z Niemcami przeciętny Polak ze strachem myślał przede wszystkim o nalotach bombowych i atakach gazowych. Dlatego zarówno władze centralne, jak i lokalne swoje działania nakierowały właśnie na obronę ludności cywilnej przed bombardowaniami.

Bogusław Tracz – Prowokacja gliwicka 33

Ks. Jarosław Wąsowicz SDB – Pierwsza była Krajna. Męczeństwo polskiego duchowieństwa Wolnej Prałatury Piłskiej 44

Krzysztof Sychowicz – Od niemieckiego do sowieckiego totalitaryzmu. Ziemia łomżyńska w 1939 roku 50

Waldemar Grabowski – Royal Air Force we wrześniu '39 roku 60

Oczekujemy reparacji.
Z Arkadiuszem Mularczykiem
rozmawia Ewa Tylus 67

Sławomir Kalbarczyk – W krzywym
(niezupełnie) zwierciadle. Polska
z perspektywy władz i ludności ZSRS
w przededniu i podczas sowieckiej agresji
we wrześniu 1939 roku 75

Elżbieta Dziwisz – Ludzie
na drutach 87

Sylwetki

Paweł Perzyna – Nieheroiczny państwowiec.
Błażej Stolarski (1880–1939) 94

Piotr Łysakowski – Żywoć Polaka uczciwego.
Tadeusz Łysakowski (1929–2019) . . 105

Komentarze historyczne

Barbara Świtalska-Starzeńska – Sprawa
Jerzego Kosińskiego 110

Joanna Siedlecka – „Trucizna,
bagnó, plugastwo, donos
na nieboszczyka” 116

Bohater 1939–1945

Paweł Sztama
– August Emil Fieldorf 124

Zbrodniarz 1939–1945

Anna Zechenter
– Franz Kutschera 132

Pisarze Niepodległości

Marek Klecel – Pisarz dwóch wojen.
Stanisław Rembek (1901–1985) . . 144

Kolegium:

dr hab. Adam Dziuba, dr Wojciech Frazik,
dr hab. Waldemar Grabowski, Adam Hlebowicz,
dr Milena Kindziuk, dr Kazimierz Krajewski,
dr hab. Mariusz Krzysztofiński,
dr hab. Sebastian Ligarski, dr Agnieszka Łuczak,
dr Marcin Majewski, dr hab. Filip Musiał,
dr Wojciech Muszyński, Jan M. Ruman,
dr hab. Krzysztof Sychowicz

Redaguje zespół:

Wojciech Butkiewicz – sekretarz redakcji
(tel. 22 5818813,
wojciech.butkiewicz@ipn.gov.pl),
dr Filip Gańczak (filip.ganczak@ipn.gov.pl),
Jakub Gołębiowski
(jakub.golebiowski@ipn.gov.pl),
Romuald Niedzielko –
zastępca redaktora naczelnego
(romuald.niedzielko@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelny
(jan.ruman@ipn.gov.pl),
Andrzej Sujka (andrzej.sujka@ipn.gov.pl),
Ewa Tylus (ewa.tylus@ipn.gov.pl),
Anna Zechenter (anna.zechenter@ipn.gov.pl),
Piotr Życieński – fotoreporter
Sekretariat: Maria Wiśniewska
(tel. 22 5818819, maria.wisniewska@ipn.gov.pl)

Projekt graficzny: Sylwia Szafranka
Projekt okładki i łamanie:
Katarzyna Dziedzic-Boboli

Korekta: Beata Stadrzyńiak-Saracyn

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

Druk:

LEGRA Sp. z o.o. ul. Albatrosów 10c,
30-716 Kraków

Na okładce:

Polskie dziecko (Ryszard Pajewski)
w ruinach Warszawy we wrześniu 1939 r.
Fot. Julien Bryan/AIPN

**„GWAŁT ZADAWANY SIŁĄ,
MUSI BYĆ SIŁĄ ODPARTY”**

SWEGO NIE DAMY
NAPASTNIKA
ZWYCIĘŻYMY

„W WYPADKU WOJNY KAŻDY
MĘCZYŻNA BEZ WZGLĘDU
NA WIEK I KAŻDA KOBIETA
BĘDĄ ŻOŁNIERZAMI”

E. ŚMIGŁO-RYDZA

OZN

Plakat z września 1939 r. ze zdjęciem i apelem marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza. Fot. Wikimedia Commons

Arkadiusz Wingert

Czy Polska w 1939 roku miała plan wojny z Niemcami?

O polskim planie wojny wypowiedali się zarówno pamiętnikarze, dokumentaliści, jak i autorzy licznych opracowań. Mimo upływu prawie siedemdziesięciu pięciu lat od zakończenia wojny, problem wciąż nie został wyczerpująco przebadany.

Polski plan wojny obronnej z Niemcami ma już dość pokaźną literaturę, chociaż wciąż czeka na pełne opracowanie monograficzne. Pierwsze jego oceny znalazły się w sprawozdaniach z kampanii wrześniowej i polskich przygotowań wojennych oficerów, którzy przedostali się do Francji: płk. dypl. Józefa Jaklicza, płk. dypl. Stanisława Kopańskiego, gen. Tadeusza Malinowskiego, ppłk. dypl. Andrzeja Mareckiego.

Opublikowana w 1941 r. praca gen. Mieczysława Norwida-Neugebauera *Kampania wrześniowa 1939 r. w Polsce* była pierwszą monografią podejmującą ten temat, kolejną – książka gen. Jerzego Kirchmayera *Kampania wrześniowa*, opublikowana w Polsce w 1946 r.

Marszałek Józef Piłsudski, kierując się troską o bezpieczeństwo Polski, 12 kwietnia 1934 r. postawił piętnastu generałom, czterem pułkownikom oraz dwóm dyplomatom pytanie, który z wielkich sąsiadów bardziej zagraża Polsce: Związek Sowiecki czy Niemcy; oraz z której strony można się spodziewać prędkiej niebezpieczeństwa. Trzynastu respondentów wskazało na Niemcy, sześciu na obu sąsiadów, a tylko dwóch generałów wymieniło Związek Sowiecki. Jednym z nich był gen. Edward Śmigły-Rydz.

Bezpośrednim efektem sondażu stało się utworzenie w czerwcu 1934 r. przez Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych specjalnej komórki analitycznej pod nazwą „Laboratorium”. Było to biuro badań strategicznych, które miało monitorować zagrożenia Polski ze strony obu potężnych sąsiadów, wspierać planowanie operacyjne Sztabu Głównego i wnioski ze swoich analiz dostarczać Oddziałowi II i Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Następcą marsz. Piłsudskiego na stanowisku szefa Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, gen. Śmigły-Rydz, nie przywiązywał – jak się wydaje – większej wagi do prac „Laboratorium”, które jesienią 1935 r. zakończyło działalność. Likwidacja biura pozbawiła osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa dopływu rzetelnej, analitycznej wiedzy o zagrożeniach, co znacząco ograniczyło możliwość trafnego przewidywania rozwoju sytuacji i odpowiedniego planowania.

W 1935 r. nowy generalny inspektor stanął zarówno wobec problemu zaniebdzań w kwestii uzbrojenia i wyposażenia sił zbrojnych, jak i braku planów działań wobec prawdopodobnych zagrożeń. Sytuacja w Europie zmieniała się dynamicznie. Związek Sowiecki realizował kolejne „pięciolatki”, których głównym celem był

gigantyczny rozwój przemysłu zbrojeniowego. Także Niemcy pod rządami Adolfa Hitlera podjęły – po odrzuceniu traktatu wersalskiego – szeroko zakrojone zbrojenia.

Polska potrzebowała sił zbrojnych, które byłyby zdolne stawić czoło wyzwaniom narzuconym przez Niemcy i Związek Sowiecki. Do najpilniejszych zadań należało opracowanie planów mobilizacji, modernizacji sił zbrojnych, rozbudowy przemysłu wojennego oraz działań operacyjnych na wypadek wojny.

Niezwłocznie przystąpiono do prac nad planem mobilizacyjnym „W” (od nazwiska jego autora płk. dypl. Józefa Wiatra). Rozpoczęto je latem 1935 r., ukończono zaś w 1938 r. Uzupełniający plan „W2” powstał w maju 1939 r. Jego oryginalność polegała na tym, że zakładał, iż trzy czwarte sił zbrojnych zostanie zmobilizowanych w sposób niejawni. Imienne karty mobilizacyjne zdeponowano w starostwach i posterunkach policji. Plan „W” odnosił się zarówno do wojny z Niemcami, jak i ze Związkiem Sowieckim. Historycy, m.in. Norman Davies, przyznają, że plan „W” był znakomitym instrumentem przygotowania Wojska Polskiego do wojny.

W 1936 r. rozpoczęto realizację sześcioletniego planu modernizacji sił zbrojnych, którego celem było przybliżenie Wojska Polskiego pod względem standardów uzbrojenia i wyposażenia do czołowych armii europejskich. Rzeczywiście nasza sytuacja w połowie lat trzydziestych, na tle ówczesnych tendencji światowych, jakimi były powszechna motoryzacja, wzrost znaczenia broni technicznych i stałe zwiększanie siły ognia wielkich jednostek, wypadała niepokojąco. Wojsku Polskiemu, w przypadku niepodjęcia szybkich działań modernizacyjnych, groziło pogłębienie wyraźnego już zacofania i utrata wartości bojowej.

Istotnym elementem planu modernizacji sił zbrojnych była znacząca rozbudowa rodzimego przemysłu zbrojeniowego i zlokalizowanie go w centrum kraju. Idea ta była realizowana w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Oba powyższe projekty, niezmiernie istotne dla poprawy zdolności obronnych Rzeczypospolitej, udało się zrealizować zaledwie w 50 proc. Wysiłek ten co prawda nie zniwelował dystansu dzielącego Wojsko Polskie od nowoczesnych armii, ale znacząco go zmniejszył, wprowadzając także nowe standardy organizacyjne i sprzętowe oraz zaszczepiając nowe idee, jak np. motoryzacja broni technicznych i kawalerii.

Pozostawała kwestia przygotowania planów operacyjnych wojny z potężnymi sąsiadami. Już studia z czasów marsz. Piłsudskiego wykluczały wojnę z oboma

sąsiadami naraz. Należało przystąpić do opracowania planów wojny w dwóch wersjach: „Wschód” i „Zachód”. Jak już wspomniałem, właśnie w takiej kolejności postrzegaliśmy przyszłe zagrożenie gen. Edward Śmigły-Rydz.

Prace nad planem „Wschód” rozpoczęto w 1935 r., ukończono zaś w styczniu 1939 r. Prowadził je Oddział III Sztabu Głównego pod kierownictwem płk. dypl. Józefa Jaklicza. Choć plan nie zachował się w formie dokumentu, to jego autorzy twierdzą, że został opracowany w formie operacyjnej zarówno na szczeblu Naczelnego Wodza, jak i na odcinkach poszczególnych armii.

Również w 1935 r. generalny inspektor sił zbrojnych polecił dwóm inspektorom armii, gen. Leonowi Berbeckiemu i gen. Juliuszowi Rómmłowi, oraz gen. Tadeuszowi Kutrzebę i gen. Władysławowi Bortnowskiemu z Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych przeprowadzenie studiów terenowych z uwzględnieniem najwrażliwszych odcinków polsko-niemieckiego pogranicza. Najistotniejszym wnioskiem z tych prac było podniesienie kwestii fortyfikacji stałych, zapewniających skuteczne działania obronne, osłonę własnej mobilizacji i koncentracji.

Drugim elementem rozważań strategicznych na kierunku niemieckim było przygotowanie przez gen. Kutrzebę i ppłk. dypl. Stefana Mossora dokumentu analitycznego *Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom*, znanego jako studium „N”. Nie był to w żadnym wypadku plan wojny. Autorzy zamieścili w nim jednak własną ocenę sytuacji strategicznej Polski i Niemiec, przewidywanego rozwoju sytuacji gospodarczej i politycznej w obu państwach, zawartych sojuszy i znaczenia przebiegu granicy polsko-niemieckiej. Ponadto pokusili się o hipotetyczne wskazanie najwcześniejszej daty agresji Niemiec na Polskę (1940 r.), prawdopodobnych kierunków niemieckich uderzeń (główne z Pomorza wzdłuż Wisły na Warszawę, pomocnicze z Prus Wschodnich) oraz możliwości polskich (armia odwodowa skoncentrowana w rejonie Kutna, operująca po liniach wewnętrznych, działająca na skrzydła obu uderzeń niemieckich).

Zespół autorski Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie w opracowaniu *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej* stwierdził, że rozważania zawarte w studium „N” stały się jedynie „podstawą prac przygotowawczych do planowania wojny na zachodzie”, czyli planem prowizorycznym; i tak pozostało aż do początku 1939 r. Do tego czasu polskie planowanie operacyjne skupiało się na opracowaniu planu „Wschód”.



Gen. Tadeusz Kutrzeba. Fot. Wikimedia Commons

Historycy, np. Marian Porwit, stawiają zarzut polskim władzom wojskowym, że zaniechały prowadzenia jednoczesnych prac nad planami wojny „W” i „Z”. Kwestię tę wyjaśnia szef Sztabu Głównego WP gen. Waław Stachewicz. Powołując się na doświadczenia związane z przygotowywaniem planu transportowego do planu „Wschód”, wskazuje, że do opracowania tego jednego dokumentu Ministerstwo Komunikacji wydelegowało na dłuższy czas około stu urzędników z dyrekcji kolejowych. Większe zaangażowanie kadrowe groziło komplikacjami w funkcjonowaniu tego resortu. Tak więc o rozłożeniu na etapy polskiego planowania wojennego decydowała paradoksalnie szczupłość wykwalifikowanych kadr wśród specjalistów ds. transportu, ale nie tylko. Mimo teoretycznie sporej liczby oficerów dyplomowanych, brakowało wojskowych fachowców potrafiących rozwiązywać problemy w skali operacyjnej. W podsumowaniu gry wojennej, przeprowadzonej w lutym 1939 r., jej kierownik, inspektor armii gen. Mieczysław Norwid-Neugebauer odnotował: „Niestety dowodzenie w naszej armii jest wciąż jeszcze utrzymane na poziomie dywizji. Za mało rozwiązuje się zagadnień na wyższym poziomie, za mało się studiuje i pracuje w zakresie przeprowadzania



Gen. Stefan Mossor. Fot. Wikimedia Commons

operacji i nad wyrobieniem doświadczenia oraz obycia w szerszych ramach”.

Konsekwencją tego stanu było podjęcie prac nad planem „Zachód” dopiero po zakończeniu opracowania planu „Wschód”. Generał Stachiewicz podkreśla, że doświadczenia zdobyte przez Oddział III Sztabu Głównego podczas prac nad planem wschodnim pozwoliły na przygotowanie elementów planu zachodniego w znacznie krótszym czasie. A czasu tego strona polska miała już niewiele. Wydarzenia z jesieni 1938 r. przyniosły wyraźne sygnały, że w rela-

cjach polsko-niemieckich można spodziewać się istotnego zwrotu. Obawy te znalazły potwierdzenie w żądaniach terytorialnych i politycznych przedstawionych ambasadorowi Józefowi Lipskiemu w październiku 1938 r., od spełnienia których Niemcy uzależnili ułożenie przyszłych stosunków z Polską. Przyjęcie tych warunków oznaczałoby w dalszej przyszłości polityczne uzależnienie Polski od coraz potężniejszego sąsiada. A na to władze polskie przystać nie chciały. Od stycznia 1939 r. należało liczyć się z narastaniem kryzysu w relacjach polsko-niemieckich do wybuchu wojny włącznie.

Dzisiaj mamy już pewność, że plan wojny z Niemcami nigdy nie powstał na piśmie, dlatego o jego założeniach możemy dyskutować tylko na podstawie fragmentarycznej bazy dokumentacyjnej, a także dzięki relacjom oficerów, którzy brali udział w opracowywaniu poszczególnych składowych planu, oraz dowódców i oficerów sztabów związków operacyjnych. Jednak w wiedzy dostępnej w tych materiałach pozostają istotne luki, których nie sposób wypełnić. Historykom pozostaje jedynie stawianie hipotez, o różnym stopniu uprawdopodobnienia. Jedną z zagadek jest np. faktyczny zamiar użycia Armii Odwodowej przez Naczelnego Wodza. Z braku źródeł badacze usiłują rozwikłać tę kwestię, porównując np. planowane i rzeczywiste miejsca koncentracji jednostek głównego odwodu polskiego.

Na przełomie stycznia i lutego 1939 r. najwyższe władze Rzeczypospolitej postanowiły przeciwstawić się powstałemu zagrożeniu ze strony Niemiec i to

niezależnie od stanowiska, jakie zajmie w tej sytuacji sojusznicza Francja. Zakładano, że bezkompromisowa postawa Polski wywoła przebudzenie na Zachodzie.

W drugiej połowie lutego marsz. Śmigły-Rydz zakomunikował szefowi Sztabu Głównego, gen. Wacławowi Stachiewiczowi, co ma być myślą przewodnią planu wojny z Niemcami oraz zasadnicze wytyczne planu operacyjnego, polecając opracować je sztabowo. Na podstawie wytycznych przygotowanych przez Oddział III Sztabu Głównego, generałowie wyznaczeni na dowódców armii i grup operacyjnych mieli przystąpić do opracowania planów operacyjnych swoich związków.

W marcu 1939 r. Niemcy zajęli całe terytorium Czech i Moraw oraz zwasalizowali Słowację. Wydarzenia te zmusiły stronę polską do rewizji planów wojennych na etapie formułowania jego założeń. Niestabilność sytuacji, zwłaszcza na południowej flance, spowodowała, że Polacy musieli skorygować plany operacyjne na szczeblu centralnym i odcinkowym.

Generalny inspektor 23 marca 1939 r. przekazał nowo mianowanym dowódcom armii i grup operacyjnych wytyczne do działania oraz ogólne założenia marsz. Śmigłego-Rydz. Przewidywały one, że pierwsze uderzenie Niemiec zostanie wymierzone w Polskę, co z kolei przesądzi o czynnym wystąpieniu Francji, zachowaniu neutralności przez Związek Sowiecki, Węgry i Litwę, użyciu wszystkich polskich sił zbrojnych przeciw Niemcom i utrzymaniu komunikacji z Zachodem poprzez Rumunię. Wytyczne dla inspektorów armii zachodnich nie zawierały jednak myśli przewodniej dla planu strategicznego. O tym, że w ogóle została sformułowana, wiemy dzięki płk. dypl. Józefowi Jakliczowi, który odtworzył ją z instrukcji dla gen. Tadeusza Kasprzyckiego, udającego się w maju 1939 r. do Paryża na międzysojuszniczą konferencję sztabową.

Brzmiała ona następująco: „Na hipotezie rzucenia pierwszego ataku gros sił niemieckich na Polskę opiera się mój plan operacyjny. Jest to plan defensywny. Cel jego jest: zadając Niemcom jak największe straty, broniąc pewnych koniecznych do prowadzenia wojny obszarów, wykorzystując nadarżające się sposobności do przeciwuderzeń odwodami – nie dać się rozbić przed rozpoczęciem działań sprzymierzonych na Zachodzie. Muszę się liczyć z nieuniknioną na początku wojny stratą pewnych części terytorium polskiego, które się potem odbije. Po zaangażowaniu się sprzymierzonych w sposób zdecydowany i poważny, gdy nacisk niemiecki na polskim froncie osłabnie, będę działał zależnie od położenia”.

Plan wojny jest bardzo złożonym dokumentem sztabowym. W literaturze przedmiotu definicję podaje Tadeusz Jurga: „Przez pojęcie planu wojny rozumiemy nie tylko koncepcję mobilizacji, koncentracji, rozwinięcia wojsk i sposobu ich działania na polu walki. Obejmuje ono również pochodne, ściśle uzależnione plany szczegółowe: fortyfikacji, transportu, łączności, zaopatrzenia, ewakuacji, obrony przeciwlotniczej i inne. Razem z operacyjną częścią planu tworzą one ów ważny dokument zwany planem wojny”.

Wynika z tego, że marsz. Śmigły-Rydz oparł swój plan wojny na aksjomacie, że sojusznica Francja rzeczywiście wystąpi czynnie po stronie Polski i to piętnastego dnia od ogłoszenia mobilizacji. Prawdopodobnie dlatego ograniczył planowanie operacyjne do pierwszej fazy starcia polsko-niemieckiego, obejmującej przyjęcie uderzenia na wysuniętych pozycjach, stopniowy odwrót na główną pozycję oporu, przeciwdziałanie odwodami i dotrwanie w tej formie do ofensywy francuskiej na Zachodzie. Oznaczało to stawianie zorganizowanego oporu przez pierwszorzutowe ugrupowanie Wojska Polskiego w zupełnej izolacji przez co najmniej dwa tygodnie (tyle potrzeba było na przeprowadzenie mobilizacji powszechnej), a w praktyce przez 6–8 tygodni (tyle zakładało studium „N”) lub nawet jeszcze dłużej – 3 miesiące. Niemniej założenie tak długiego oporu wymagało operacyjnego przygotowania głębokiego odwrotu, co – jak dziś wiemy – nigdy nie nastąpiło. Szef Oddziału III Sztabu Głównego płk dypl. Stanisław Kopański podał w powojennej relacji: „Koncepcja dalszych działań wojennych, poza okresem wstępnym ujętym w wytycznych dla dowódców armii, jeśli istniała w umyśle przyszłego Naczelnego Wodza i znana była jego najbliższemu współpracownikom (szefowi sztabu i jego zastępcy), to na pewno nie była ujawniona oddziałowi operacyjnemu. Nie była więc przepracowana przez sztab ani przygotowana w terenie”.

Najprawdopodobniej plan drugiej fazy wojny marsz. Rydz-Śmigły opierał na możliwości zorganizowanego odwrotu głównych sił polskich na linię wielkich rzek (Narew, Wisła, Dunajec, potem San) po skutecznej interwencji odwodu głównego w razie przełamania polskiej głównej linii oporu w pierwszej fazie działań. Była to już jednak luźna improwizacja, a nie działania planowe. Pułkownik Marian Porwit nazwał takie postępowanie działaniem „wbrew zasadom sztuki wojennej”. Całkowitą

improvizację polskich działań po przegraniu bitwy o główną linię oporu potwierdzają relacje wielu wrześnieowych dowódców liniowych, m.in. gen. Jana Jagmina-Sadowskiego i płk. dypl. Stanisława Maczka, którzy po udanym odskoku na linię wielkiej rzeki, znajdowali ją nie tylko nieprzygotowaną sapersko, ale i najczęściej nieobsadzoną.

Co zatem w polskim planowaniu wojennym zostało zrealizowane i wdrożone, a co jedynie zaimprovizowane lub wręcz zaniechane? Z pewnością powstał plan operacyjny, lecz jedynie w odniesieniu do pierwszej fazy działań wojennych. Jego autorem był marsz. Śmigły-Rydz. Na skutek decyzji marszałka dalsze fazy planu nie były „rozpracowywane sztabowo i przygotowane terenowo”, ponieważ nie zakończono prac nad wstępnym rozwinięciem sił i pierwszą fazą działań. Te zaś, jak dziś wiemy, prowadzono aż do sierpnia 1939 r.

Dysponowaliśmy także kompletnym, elastycznym planem mobilizacji sił zbrojnych – „W”, planem koncentracji sił zbrojnych oraz planem transportowym. Plan obrony przeciwlotniczej powstał dla całego państwa, jednak ze względu na skupienie samolotów myśliwskich w jednostkach liniowych oraz niedostatek czynnych środków obrony przeciwlotniczej, większość obszaru RP musiała polegać na stosowaniu biernej obrony przeciwlotniczej.

Plan fortyfikacji, zniszczeń i robót inżynieryjnych został opracowany jedynie na odcinkach pierwszorzutowych związków operacyjnych. Prace fortyfikacyjne na kluczowych odcinkach rozpoczęto zbyt późno (lipiec) i często nie ukończono ich na czas, podobnie jak przygotowanie zniszczeń, zawałów i zalewów. Nie podjęto żadnych prac fortyfikacyjnych na środkowej Wiśle i Sanie.

Plan łączności powstał w formie częściowej – przewidywał jej organizację tylko w odniesieniu do pierwszej fazy działań. Łączność operacyjna oparta była na telegrafii i telefonii. Nie zabezpieczono organizacji łączności na wypadek odwrotu z głównej linii oporu.

Podobnie w częściowej jedynie formie przygotowano plan kwatermistrzowski, uwzględniający organizację stacji magazynowo-rozdzielczych położonych w odległości 50–150 km od wysuniętych pozycji, na których zamierzano przyjąć pierwsze uderzenie niemieckie. Stacje te mogły zaopatrywać wyłącznie wojska walczące na głównej linii oporu. Druga linia stacji zaprowiantowania nigdy nie powstała. Wojsko mogło się żywić z własnych zapasów przez 10–15 dni, po czym ta nader ważka kwestia przechodziła w ręce administracji cywilnej. Brakowało szczególnie piekarń polowych.

Identycznie miała się sprawa planu ewakuacji. Przygotowano go jedynie dla rejonów, w których miały się rozpocząć działania wojenne.

Takie przygotowanie planu wojny z Niemcami spotkało się z bardzo surowymi ocenami. Tadeusz Jurga stwierdził: „planu wojny z Niemcami, we właściwym znaczeniu tego pojęcia, nie było”, a według szefa sztabu Armii „Łódź”, płk. dypl. Aleksandra Pragłowskiego plan „Z” nie był „ani planem, ani w ogóle dokumentem typu wojskowego, nie zawierał on żadnej idei operacji, a jedynie uszeregowanie kilku naiwnie określonych życzeń, niemających oparcia w warunkach rzeczywistości. Jeśli to było wszystko, z czym nasz Naczelny Wódz wyruszył na wojnę, to należy uznać, że wybrał się z pustymi rękami”.

Także oficerowie Sztabu Naczelnego Wodza, płk dypl. Jaklicz i płk dypl. Kopański, wskazują na szereg mankamentów, które zawierał plan operacyjny pierwszej fazy działań i na które zwracano uwagę już w trakcie prac nad planem „Z”: nie przeprowadzono gry wojennej; pomysł tzw. korpusu interwencyjnego był dla planu wojny szkodliwy; odwód główny był za słaby; zabrakło dowództw operacyjnych wyższego szczebla (frontów); zaniedbano obsadzenia tzw. luki częstochowskiej, Armia „Karpaty” pozostawała nią tylko z nazwy; plan nie zawierał żadnych konkretnych wytycznych użycia odwodów; rezerwy amunicji artyleryjskiej były niewystarczające.

Listę większych i mniejszych błędów i zaniedbań można rozszerzyć. Wyłączna odpowiedzialność za stan przygotowań sił zbrojnych do obrony państwa spada na generalnego inspektora sił zbrojnych marsz. Śmigłego-Rydza, który nie był czymkolwiek ograniczony w podejmowaniu decyzji. To z jego woli najbliżsi współpracownicy oraz generałowie przewidziani na dowódców armii nie byli informowani o najważniejszych celach i zamiarach Naczelnego Wodza, co przyniosło opłakany skutek w momencie zerwania łączności Śmigłego-Rydza z wojskami. Decyzją marszałka było także niepowołanie wyższych dowództw operacyjnych i w konsekwencji karkołomne usiłowanie osobistego dowodzenia wszystkimi związkami operacyjnymi jednocześnie. Zgoła już absurdalnym postępowaniem było ściśle utajnienie wszelkich informacji związanych z przygotowaniem wojennymi. Dowódcy armii, którzy próbowali wymieniać się informacjami odcinkowymi, zostali ostro przywołani do porządku. Generał Stachiewicz, do końca lojalny wobec swojego zwierzchnika, tłumaczy te niezrozumiałe decyzje „specjalną metodą pracy marszałka Śmigłego, który nie chciał zdradzać przedwcześnie swych zamiarów i na dalszą metę wiązać się

postanowieniami, które mógł być zmuszony zmieniać w dostosowaniu do zmiennych kolei wypadków, wobec których pragnął zachować pełną swobodę działania”. Wyjaśnienie zaiste również tajemne, jak i same „metody”. Wypada tu postawić hipotezę, że gdyby po śmierci marsz. Piłsudskiego na czele GISZ stanął np. gen. Kazimierz Sosnkowski, to być może polskie przygotowania wojenne odbywałyby się w zgoła odmiennych od narzuconych przez Śmigłego-Rydza warunkach pracy sztabowej, daleko bliższych zasadom sztuki wojennej, przez co i przebieg działań wojennych we wrześniu 1939 r. mógł ułożyć się korzystniej dla Polski.

Niezwykle trafnie spuentował oblicze katastrofy wrześniowej gen. Antoni Szylling: „klęską narodu stawało się nie to, że wojna była przegrana, bo inaczej być nie mogło, a to, że wojsko nie mogło się bić, tak jak tego nadzieje i ambicje narodu oczekiwały, a przeznaczenie i honor wojsk wymagały”.

BIBLIOGRAFIA

- Cieplewicz M., Kozłowski E., *Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach*, Warszawa 1989.
 Jaklicz J., *A więc wojna! Kampania wrześniowa oraz inne pisma i wspomnienia*, Kraków 2016.
 Jurga T., *U kresu II Rzeczypospolitej*, Warszawa 1946.
 Kirchmayer J., *Kampania wrześniowa*, Warszawa 1946.
 Kopański S., *Wspomnienia wojenne 1939–1946*, Warszawa 1990.
 Kozłowski E., *Wojna obronna Polski 1939. Wybór źródeł*, Warszawa 1968.
 Kutrzeba T., *Bitwa nad Bzurą*, Warszawa 1957.
Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej, t. I, cz. 1, Londyn 1986.
 Porwit M., *Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku*, t. 1, Warszawa 1983.
 Pragłowski A., *Od Wiednia do Londynu*, Kraków 2016.
 Skaradziński B., Szpakowski Z., *Wrzesień 1939*, Warszawa 1972.
 Stachewicz W., *Wierności dochować żołnierskiej. Przygotowania wojenne w Polsce 1935–1939 oraz kampania 1939*, Warszawa 2000.
Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom Kutrzeby i Mossora, oprac. M. Jabłonowski, P. Stawecki, Warszawa 1987.
 Urliński L., *Polski plan aprowizacji z września 1939 roku*, Toruń 2001.



Arkadiusz Wingert (ur. 1965) – historyk, wicedyrektor Wydawnictwa IPN.



Podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow w Moskwie, 1939 r., w środku: Józef Stalin, po jego prawej Joachim von Ribbentrop, po lewej Władysław Mołotow. Fot. NARA/AIPN

Rafał Habielski

Nie osłabiać „ducha obronnego”

Pakt Hitler-Stalin w polskiej prasie u progu wojny

W przededniu II wojny światowej prasa w Rzeczypospolitej była powstrzymana przez władze przed ostrymi wystąpieniami antyniemieckimi.

Rząd kontra publicyści

W czasie poprzedzającym wybuch II wojny światowej polska prasa nie miała możliwości swobodnego komentowania zagadnień polsko-niemieckich. Na mocy porozumienia prasowego, zawartego po podpisaniu deklaracji o niestosowaniu przemocy w lutym 1934 r., Polska i Niemcy zobowiązywały się do ochrony dobrego

imienia przywódców obu państw oraz respektowania zasady rzeczowego odnoszenia się do wzajemnych relacji¹. Umowa przestała wprawdzie obowiązywać wraz z wypowiedzeniem przez Niemcy deklaracji w kwietniu 1939 r., ale na wniosek ministra spraw zagranicznych Józefa Becka prasa powstrzymywana była przed ostrymi wystąpieniami antyniemieckimi, podnoszeniem kwestii niedostatecznego przygotowania kraju do wojny oraz zwracaniem uwagi na zmieniającą się na niekorzyść Polski sytuację międzynarodową. Poza instrukcjami przekazywanymi przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych znaczącą rolę odegrał „Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o ochronie niektórych interesów Państwa” z 22 listopada 1938 r., którego art. 11 przewidywał karę do dwóch lat więzienia za osłabianie „ducha obronnego społeczeństwa”.

Ofiarą reakcji władz na wypowiedzi uznawane za sprzeczne z polityką rządu padały nie tylko dzienniki i czasopisma, które czasem ukazywały się z białymi plamami konfiskat, ale także książki oraz ich autorzy. W marcu 1939 r. w obozie izolacyjnym w Berezie Kartuskiej na dwa tygodnie osadzony został Stanisław Cat-Mackiewicz, redaktor konserwatywnego wileńskiego dziennika „Słowo”, za publikacje podważające, zdaniem czynników administracyjnych, wiarę w zdolności obronne państwa. Kilka miesięcy później, w czerwcu 1939 r., skonfiskowane zostało studium Władysława Studnickiego *Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej*. Autor dopuszczał ewentualność antypolskiego aliansu sowiecko-niemieckiego przy braku realnej pomocy ze strony mocarstw zachodnich.

Opinie Mackiewicza i Studnickiego – publicystów przekonanych, że Polska powinna unikać wojny z zachodnim sąsiadem – kontrastowały z wypowiedziami prasy rządowej. Te ostatnie przekonywały o stabilnym położeniu Polski oraz uzasadniały sens prowadzonej przez nią polityki zagranicznej. Konsolidację społeczeństwa wokół Naczelnego Wodza, poczucie potęgi i determinacji w obronie suwerenności, wyrażało hasło: „Silni, zwarci, gotowi”.

Jedność wobec zagrożenia

Beck podpisał 6 kwietnia 1939 r. w Londynie układ gwarancyjny z Wielką Brytanią, na który Niemcy zareagowały wypowiedzeniem deklaracji o niestosowaniu

¹ M. Pietrzak, *Reglamentacja wolności prasy w Polsce (1918–1939)*, Warszawa 1963, s. 447–448.

przemocy. Odnosząc się do tej decyzji w Sejmie 5 maja, Beck odrzucił roszczenia niemieckie. Transmitowane bezpośrednio przez Polskie Radio przemówienie cała prasa przyjęła z entuzjazmem². Ewentualną akceptację propozycji Adolfa Hitlera (powrót Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy, eksterytorialną autostradę i linię kolejową przez Pomorze) uznano za równoznaczne z „zakładaniem sobie sznura na szyję”³.

Po raz kolejny, znacznie wyraziściej niż Beck, stanowisko w sprawie relacji z Niemcami wyłożył marsz. Edward Śmigły-Rydz 6 sierpnia 1939 r. Oświadczeniu o przeciwstawieniu się „każdej próbie bezpośredniego lub pośredniego naruszenia interesów, praw i godności” Polski towarzyszyła zapowiedź odparcia siłą zadanego jej gwałtu⁴. O przemówieniu Śmigłego-Rydz pisały wszystkie gazety, niektóre opublikowały je *in extenso*, wybijając wielkimi literami ostatni fragment.

Utrzymywanie prasy w ryzach skłaniało ją, a nawet wymuszało na niej wyrażanie opinii zgodnych ze stanowiskiem władz bądź do niego zbliżonych. Nie oznaczało to wcale, że poglądy gazet stronnictw opozycyjnych, prasy lewicowej i narodowej stały w sprzeczności z oczekiwaniami rządu. W obliczu coraz bardziej komplikującej się sytuacji międzynarodowej traciły na znaczeniu różnice w ocenie prowadzonej przez Polskę polityki zagranicznej oraz spory o charakterze orientacyjnym. Prasa, podobnie jak opinia publiczna, prezentowała na ogół jednorodne stanowisko.

Rozbrajać niepokoje

Tak też było w wypadku podpisanego w Moskwie 23 sierpnia 1939 r. paktu o nieagresji pomiędzy Związkiem Sowieckim a III Rzeszą. Wymuszane przez MSW i wydawane przez MSZ zalecenia w sprawie interpretowania tego faktu, nie są w pełni znane. Sądzić jednak wolno, że władze uznały za właściwe przeciwdziałanie przekonaniu, że doszło do wydarzenia zmieniającego na niekorzyść położenie Polski. Zalecano objaśnianie układu jako posunięcia taktycznego, zwracanie uwagi, że jego zawarcie nie spowoduje zmian

² „Nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę”, „Gazeta Polska”, 6 V 1939 r.

³ K. Smogorzewski, *Niemcy przed doniosłą decyzją*, „Gazeta Polska”, 7 V 1939 r.

⁴ *Mowa naczelnego Wodza na Zjeździe Legionistów w Krakowie*, „Polska Zbrojna”, 7 VIII 1939 r.

w układzie sił międzynarodowych, oraz zachowanie „spokojnego sceptycyzmu”. Egzekwowanie wytycznych nie było jednoznaczne z próbą narzucenia prasie identycznych poglądów. Usprawiedliwieniem stanowiska władz były obawy przed negatywnym oddźwiękiem, z jakim spotka się porozumienie sowiecko-niemieckie. O tym, że nie były one bezpodstawne, świadczą ówczesne świadectwa⁵.

Zewnętrzne ograniczenia, którym podlegała prasa, nie były jedynym czynnikiem mającym wpływ na opinie, które ferowała. Poważny problem stanowił dostęp do informacji o rzeczywistych motywach i celach porozumienia sowiecko-niemieckiego. Wydaje się bardziej niż prawdopodobne, że na ogół nie zdawano sobie sprawy z zamierzeń obu stron, nie mówiąc o treści dołączonego do układu tajnego protokołu. Nie było to zresztą dziwne, meritum aliansu było nieznane także polskim czynnikom politycznym, Ambasadzie RP w Moskwie oraz MSZ. Minister Beck dość ogólnie wspominał o okolicznościach podpisania i treści układu w swoim *Ostatnim raporcie*⁶.

Zapowiedź wizyty Joachima von Ribbentropa w Moskwie i zamiar podpisania układu o nieagresji między Związkiem Sowieckim a III Rzeszą został potraktowany przez większość gazet zachodnioeuropejskich jako wydarzenie sensacyjne. Polskie dzienniki reagowały inaczej. Wiele wskazuje na to, że było to rezultatem instrukcji MSZ, dotyczących nie tylko treści komentarzy, ale również ich lokalizacji. Wśród przekazanych redakcjom zaleceń znalazł się wymóg nieopatrywania artykułów w nadzwyczajnie brzmiące tytuły, a nawet niedopuszczania do sensacyjnych okrzyków ulicznych sprzedawców gazet.

Ciszej nad tym paktem

Informacji o układzie nie eksponowano zatem na czołówkach, znajdując dla nich równorzędne miejsce wśród pozostałych doniesień i komentarzy. Głównie gazety rządowe deklarowały – zgodnie z wytycznymi – że zawarcie paktu nie stanowiło

⁵ M.in. M. Dąbrowska, *Dzienniki 1933–1945*, oprac. T. Drewnowski, Warszawa 1988, t. 2, s. 327–328; V. Sapieha, *Amerykańska księżna. Z Nowego Jorku do Siedlisz*, Warszawa 2019, s. 279.

⁶ J. Beck, *Ostatni raport*, Warszawa 1987.

zaskoczenia⁷. Wprawdzie nie wszyscy byli tego zdania⁸, dominowało jednak przekonanie, że nie doszło do wydarzenia nadzwyczajnego. Przeświadczenie, że układ, którego treść zamieszczano wedle uznania⁹, nie był niespodzianką, znajdowało rozwinięcie w formułowanych na jego temat ocenach. Przeważały opinie, że porozumienie nie zmienia położenia Polski, w związku z tym nie stanowi zagrożenia dla jej niepodległości. Zdaniem „Gazety Polskiej”, miarodajnego dziennika obozu władzy, organu Obozu Zjednoczenia Narodowego, pakt nie miał z polskiego punktu widzenia szczególnego znaczenia, ani bowiem nie wpływał na stanowisko Polski wobec jej sojuszników, ani nie zmieniał polityki sojuszników Polski wobec niej¹⁰. Teza ta znajdowała uzasadnienie w trwających rozmowach na temat sojuszu polsko-brytyjskiego, o czym prasa informowała na bieżąco.

Aby uzasadnić brak doniosłości porozumienia sowiecko-niemieckiego, zwracano uwagę na fakt, że Polska, połączona adekwatnym układem z Moskwą (zawartym w 1932 r.), nigdy nie liczyła na jej pomoc¹¹. Diagnozy tej nie uzupełniano jednak konstatacją, że porozumienie sowiecko-niemieckie było przejawem ostatecznego załamania się koncepcji polskiej polityki zagranicznej przyjętej po dojściu Hitlera do władzy. Sprowadzała się ona do utrzymywania analogicznych relacji i równego dystansu wobec Berlina i Moskwy, co – jak sądzono – zapobiec miało groźnemu dla Polski porozumieniu niemiecko-sowieckiemu. Założenie to kontestowali młodzi konserwatyści z pisma „Polityka” (dawniej „Bunt Młodych”), której zdaniem, wyrażanym przede wszystkim przez Adolfa M. Bocheńskiego, nie wykluczało ono możliwości antypolskiego zbliżenia Berlina i Moskwy. W miejsce polityki równowagi Bocheński proponował sojusz polsko-niemiecki o ostrze antysowieckim.

Byłoby przesadą twierdzić, że polska prasa bagatelizowała podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow, ale w niektórych przypadkach podejrzenie takie znajduje uzasadnienie. Dość przypomnieć pogląd Studnickiego, że polska publicystyka,

⁷ *Przewidywaliśmy*, „Kurier Polski”, 24 VIII 1939 r.

⁸ A.G. *Skutki porozumienia niemiecko-sowieckiego*, „Czas”, 24 VIII 1939 r.

⁹ Zob. np. „Kurier Poranny”, 25 VIII 1939 r.

¹⁰ (z.s.) [Z. Stahl], *Demonstracja, która nie zawąży na szali*, „Gazeta Polska”, 23 VIII 1939 r.; zob. także *Pakt o nieagresji a Bałtyk*, „Nasz Przegląd”, 30 VIII 1939 r.

¹¹ M. Ścieżyński, *Ribbentrop na Kremlu*, „Gazeta Polska”, 23 VIII 1939 r.

a szczególnie „gazeciarstwo”, wykazywała tendencję do lekceważenia i pomniejszania potencjału Niemiec¹². „Polska Zbrojna”, uchodząca za organ Ministerstwa Spraw Wojskowych, powstrzymała się początkowo od komentowania paktu, uznawszy, że nie jest on godzien uwagi. Na zajęcie stanowiska zdecydowano się dopiero po interwencji czytelników. I w tym wypadku umowy nie uznano za wydarzenie nieoczekiwane, a jego analizę zastąpiono deklaracją, że Polska w razie napaści walczyć będzie „bez względu na konsekwencje”, „w każdym wypadku, nawet bez sojuszników”¹³.

Kapitulacja Berlina, błąd, komedia

Przybierający na ostrości konflikt polsko-niemiecki oraz poprawne, jak się zdawało, stosunki Polski ze Związkiem Sowieckim, skłaniały prasę do analiz wpływu układu przede wszystkim na sytuację Niemiec. Wedle opinii większości komentatorów, zawarcie paktu dowodziło niekorzystnego położenia, w jakim znalazł się Hitler. Relacjonując głosy prasy zachodniej, podkreślano, że porozumienie sowiecko-niemieckie doprowadzi do izolacji Berlina¹⁴. Układ z ZSRS przekreślał miał głoszone dotąd przez Hitlera zasady ideologiczne¹⁵, a porozumienie podpisane przez sygnatariusza paktu antykominternowskiego postrzegano jako wyraz „bankructwa ideologicznego” III Rzeszy¹⁶, skazujący Niemcy na pogorszenie stosunków z ich partnerami, m.in. Hiszpanią i Japonią. Do takich wniosków dochodził m.in. sensacyjny „Ilustrowany Kurjer Codzienny”. Hitler, podpisując porozumienie z Józefem Stalinem, wyrzec się miał nie tylko zainteresowań Europą Wschodnią, w tym Ukrainą, ale także, co podawano jako pogłoskę, wycofać się z Protektoratu Czech i Moraw. Decyzje te były zdaniem dziennika rezultatem „rozpaczliwej sytuacji”, w jakiej znalazły się Niemcy na skutek awanturniczej polityki Hitlera¹⁷.

¹² W. Studnicki, *Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej*, Kraków 2018, s. 174–175.

¹³ R. W[raga], *Moskwa-Berlin*, „Polska Zbrojna”, 24 VIII 1939 r.

¹⁴ M. Piotrowski, *Pakt niemiecko-sowiecki doprowadzi do izolacji Berlina*, „Kurier Poranny”, 27 VIII 1939 r.

¹⁵ R[yszard] P[ieistrzyński], *Szanse pokoju i pewność zwycięstwa*, „Kurier Poranny”, 25 VIII 1939 r.

¹⁶ L.Ch., *Dwustronny akt słabości*, „Kurier Warszawski”, 22 VIII 1939 r.

¹⁷ *Hitler skapitulował przed Sowietami*, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, 25 VIII 1939 r.

W opinii Mieczysława Niedziałkowskiego, redaktora naczelnego „Robotnika”, dziennika Polskiej Partii Socjalistycznej, umowa z Sowietami była dowodem poświęcenia przez Niemcy Japonii oraz ich „odwrócenia się” od Hiszpanii¹⁸. W dość zgodnych ocenach układ sowiecko-niemiecki stanowił przekreślenie założeń paktu antykominternowskiego, a nawet jego faktyczne zerwanie¹⁹. Wnioski tego rodzaju uprawdopodobniały domniemanie „kapitulacji Berlina przed Moskwą”²⁰. Aspekt ten podnosiły zarówno tytuły rządowe, jak i te reprezentujące różne ideowe barwy²¹. Porozumienie sowiecko-niemieckie chętnie zamykano w formule blefu, którym posługiwać się miały obie strony. Hitler zawrzeć miał układ dla stworzenia przekonania, że rezygnuje z planów ekspansji na wschód i zwraca się ku zachodowi; Stalin zaś dla osiągnięcia satysfakcjonującego go przymierza z Wielką Brytanią i Francją²². Niektórzy dostrzegali koniunkturalny, taktyczny charakter umowy, nazywając ją „komedią”, uważając, że w nadarzającym się momencie Hitler „podrzęca papier”, zgłosi roszczenia, a nawet zaatakuje ZSRS zniemacka²³.

Dominował przy tym pogląd, że pakt nie miał wpływu na układ sił w Europie, postrzegany jako stabilny. Wedle konserwatywnego dziennika „Czas”, porozumienie moskiewskie było „odświeżeniem Rapallo”, czyli podpisanej w 1922 r. umowy przywracającej stosunki niemiecko-sowieckie. Martwić się nim powinny jedynie państwa bliskie Niemcom ideologicznie oraz uczestnicy „krucjaty antybolszewickiej”²⁴.

Brak powodów do obaw był tym bardziej zasadny, że układ sowiecko-niemiecki nie wydawał się sojuszem w pełnym tego pojęcia znaczeniu, nie był także zapowiedzią ściślejszej współpracy obu państw. Widziano w nim wyłącznie zo-

¹⁸ M. Niedziałkowski, *Berlin i Moskwa*, „Robotnik”, 25 VIII 1939 r.

¹⁹ *Przekreślenie podstawowych założeń „osi”*, „Gazeta Polska” 23 VIII 1939 r.; *Podpisanie sojuszu polsko-angielskiego*, „Gazeta Polska”, 26 VIII 1939 r.; *Niemcy przyznają się do zerwania paktu antykominternowskiego*, „Gazeta Polska”, 26 VIII 1939 r.; *Istotny sens i cel umowy niemiecko-sowieckiej*, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, 26 VIII 1939 r.

²⁰ (Korn.), *Kapitulacja hitlerowskiego Berlina przed bolszewicką Moskwą*, „Kurier Warszawski”, 23 VIII 1939 r.; *Kapitulacja Berlina przed Moskwą nie pomoże Rzeszy*, „Robotnik”, 24 VIII 1939 r.

²¹ S. Kozicki, *Hitler i Sowiety*, „Warszawski Dziennik Narodowy”, 24 VIII 1939 r.

²² *Manewry niemiecko-sowieckie*, „Czas”, 23 VIII 1939 r., s. 1.

²³ Regnis [B. Signer], *Sowiecko-niemiecki „towarobman”*, „Nasz Przegląd”, 23 VIII 1939 r.

²⁴ „Czas”, 23 VIII 1939 r.

bowiązanie do obopólnej neutralności na wypadek „zatargu”²⁵. W przekonaniu Stefana Kozickiego, działacza i publicyisty obozu narodowego, krytycznego wobec polityki rządu, pakt miał charakter „koniunkturalny”. Hitlerowi przyświecać miał cel „zneutralizowania” Polski, innymi słowy jej izolowania²⁶. Wedle Stanisława Strońskiego, należącego do grupy najwybitniejszych publicystów politycznych, układ był przejawem „konieczności ograniczenia zasięgu” zaborczych dążeń Niemiec w obszarze Europy Wschodniej²⁷. Stanowił dowód impasu, w jakim znalazł się Hitler. Diagnoza ta zdawała się tożsama z wykluczeniem chęci wywołania wojny przez Niemcy. Nie wszyscy podzielali ten pogląd. W przekonaniu Józefa Mackiewicza Hitler chciał konfliktu i dążył do niego²⁸.

Dezorientacja

Ryzy, w jakich trzymano prasę, oraz nastroje towarzyszące analizom sprawiały, że do rzadkości należały sugestie dotyczące niedostatecznie znanego charakteru układu oraz jego niebezpiecznych dla Polski następstw. Przypuszczenia takie, określane mianem plotek, pojawiły się w „Słowie” w korespondencji z Berlina, w której donoszono o pogłoskach, wedle których pakt stanowić miał „preludium” do ściślejszego związku Rosji i Niemiec, a nawet „nowego systemu sojuszy”²⁹. W pewnym stopniu z doniesieniami tymi korespondowała analiza Wacława A. Zbyszewskiego, który – nie ukrywając powagi sytuacji – dopuszczał, poza innymi możliwymi skutkami układu, „rozbiór Polski”³⁰.

Podkreślając przede wszystkim problemy, przed którymi układ postawił politykę zagraniczną Niemiec, nie brano pod uwagę zwiększenia aktywności Związku Sowieckiego, przy czym opinie formułowane w tej sprawie nie zawsze były spójne. Wedle jednego z dzienników, Moskwa w najbliższej przyszłości miała stronić

²⁵ R[yszard] P[iestrzyński], *Szanse pokoju i pewność zwycięstwa*, „Kurier Poranny”, 25 VIII 1939 r.

²⁶ S. Kozicki, *Hitler i Sowiety...*

²⁷ S. St[roński], *Co góruje w tym wydarzeniu?*, „Kurier Warszawski”, 24 VIII 1939 r.

²⁸ J. M[ackiewicz], „Słowo”, 27 VIII 1939 r.

²⁹ (Ł.) [H. Łubieński], „Słowo”, 23 VIII 1939 r.

³⁰ Lup [W.A. Zbyszewski], *Sytuacja jest poważniejsza niż we wrześniu ubiegłego roku*, „Słowo”, 24 VIII 1939 r.

„od aktywności militarnej i politycznej”³¹; następnego dnia ta sama gazeta deklaro-
wała jednak, że pakt daje „większe możliwości Sowiecom niż III Rzeszy”, podważa-
jąc tezę o domniemanej pasywności Stalina³². Sugestię tę uzupełniało przekonanie,
że układ przyczyni się do rozbitcia Kominternu, czyli osłabienia międzynarodowej
pozycji Związku Sowieckiego³³. Nie dla wszystkich cele stawiane sobie przez
Moskwę były jasne. Brano pod uwagę zarówno możliwość wycofania się Stalina
z udziału w rozgrywce europejskiej, jak i ambicje odgrywania przez Sowiety roli
„superarbitra”³⁴.

Dominowały, mimo wszystko, opinie napawające optymizmem lub podkre-
ślające brak powodów do niepokoju. Położenie Polski nie doznawało uszczerbku,
a porządek międzynarodowy, gwarantujący jej zachowanie dotychczasowej pozycji,
nie ulegał zachwianiu przy nadwątleniu wspólnoty antykominternowskiej oraz
Kominternu.

Złudne nadzieje

W Londynie 25 sierpnia 1939 r. podpisana została umowa sojusznicza między
Polską a Wielką Brytanią, która z oczywistych powodów przyciągnęła zaintere-
sowanie prasy i nie pozostała bez wpływu na ocenę sytuacji. Doniosłość sojuszu
dostrzegano w automatyzmie jego działania, czyli bezwarunkowym udzieleniu
pomocy w przypadku agresji przeciwko jednej z umawiających się stron. Pod-
kreślano, że sojusz, wzmacniający „front pokoju” w Europie, wyklucza konflikt
o charakterze lokalnym, pod którym to pojęciem rozumiano wojnę niemiecko-
polską³⁵. Spostrzeżenie to było nieprecyzyjne, Polska miała bowiem niezmiennie
obowiązujący układ sojuszniczy z Francją, o charakterze analogicznym do umowy
z Wielką Brytanią, a zatem i identycznych skutkach w razie napaści.

W komentarzach, które pojawiły się po zawarciu sojuszu, poza uwypukla-
niem jego dobroczynnego wpływu na położenie Polski, podkreślano, że jest on

³¹ *Przewidywaliśmy...*

³² *Komentarz do tekstu układu*, „Kurier Poranny”, 25 VIII 1939 r.

³³ S. Kozicki, *Hitler i Sowiety...*

³⁴ M. Niedziałkowski, *Berlin i Moskwa...*

³⁵ *Podpisanie sojuszu polsko-angielskiego...*

„czynnikiem pokoju, siły i równowagi”³⁶; synonimem „bezpieczeństwa i pokoju”³⁷. W przeciwieństwie do „mglistego i papierowego” układu sowiecko-niemieckiego, pozbawionego cech trwałości, sojusz polsko-brytyjski był „wyraźny i spiszowy”³⁸. Poza zasadniczym celem porozumienia, zachowaniem pokoju, widziano w nim zapowiedź „kulturalnego rozwoju świata”. Wymiar ten, dość drugorzędny w okolicznościach, w których zawarta została umowa, nie był dostrzegany incydentalnie. Zdaniem „Czasu”, sojusz sytuował Polskę w świecie zachodnim, wyposażając ją w „misję i posłannictwo” obrony „ogólnoludzkich zdobyczy”³⁹.

Interpretacje układu polsko-angielskiego podkreślały jego znaczenie dla wzmocnienia Polski. Komentarzom pozbawionym konfrontacyjnego tonu wobec Niemiec – jak wolno przypuszczać, na skutek zabiegów MSZ – towarzyszyły doniesienia o wzmaganiu się antypolskiej kampanii prasy niemieckiej oraz o niemieckich prowokacjach w Wolnym Mieście Gdańsku i pasie przygranicznym. W dniu, w którym informowano o podpisaniu sojuszu, prasa pisała, że w Warszawie i innych miastach zaczęto kopać rowy przeciwlotnicze. Gazety 30 sierpnia opublikowały zarządzenia mobilizacyjne; na polecenie władz termin „mobilizacja powszechna” zastąpiono sformułowaniem „dalsze zarządzenia obronne”.

Niemcy zaatakowały Polskę 1 września 1939 r.; Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom 3 września, nie podejmując przeciw nim poważniejszych działań zbrojnych i nie udzielając Polsce pomocy. Agresja sowiecka rozpoczęła się 17 września.

³⁶ R. P[ieistrzyński], *Na straży wolności i cywilizacji*, „Kurier Poranny”, 26 VIII 1939 r.

³⁷ L.Ch., *Sojusz bezpieczeństwa i pokoju*, „Kurier Warszawski”, 26 VIII 1939 r.

³⁸ *Ku pokojowi lub ku zwycięstwu*, „Nasz Przegląd”, 27 VIII 1939 r.

³⁹ A.G., *U podstaw sojuszu polsko-angielskiego*, „Czas”, 27 VIII 1939 r.



Rafał Habielski (ur. 1957) – historyk, prof. dr hab. Autor książek: *Niezlomni, nieprzejednani. Emigracyjne „Wiadomości” i ich krąg 1940–1981* (1991); *Życie społeczne i kulturalne emigracji* (1999); *Polski Londyn* (2000); *Dokąd nam iść wypada? Jerzy Giedroyc. Od „Buntu Młodych” do „Kultury”* (2006); *Polityczna historia mediów w Polsce* (2009); (z Pawłem Machciewiczem) *Rozgłoszenia Polska Radia Wolna Europa w latach 1950–1975* (2018) i in.

Pokaz obrony przeciwgazowej
na pl. Wolności w Łodzi. Fot. NAC

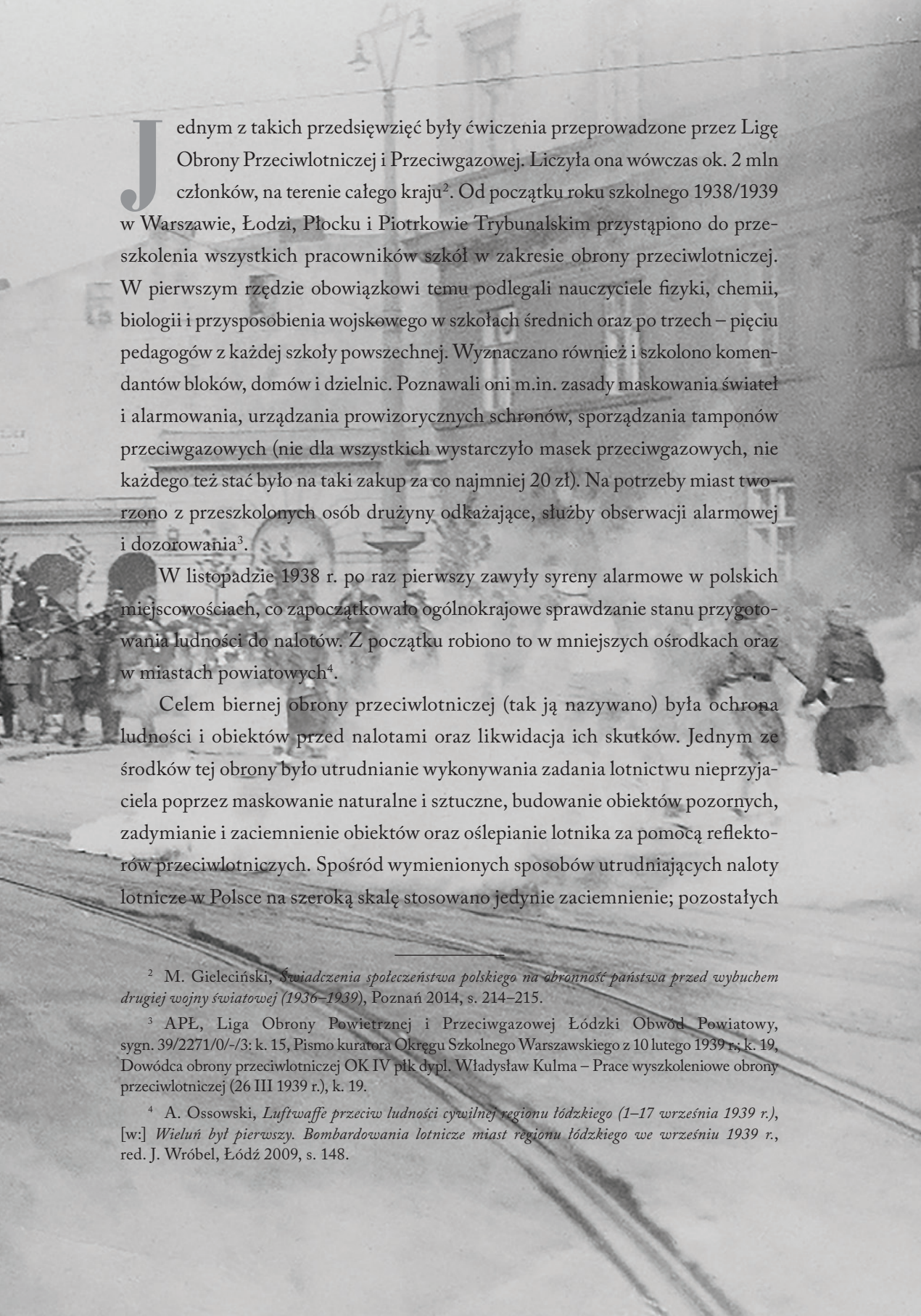
Artur Kuprianis

A więc wojna!

Ćwiczenia obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w Łodzi w styczniu 1939 roku

Wobec zbliżającego się wielkimi krokami starcia z Niemcami przeciętny Polak ze strachem myślał przede wszystkim o nalotach bombowych i gazowych atakach. Dlatego zarówno władze centralne, jak i lokalne swoje działania nakierowały właśnie na obronę ludności cywilnej przed bombardowaniami¹.

¹ M. Trębacz, „Wojna nerwów” – codzienność łodzian w przededniu wybuchy II wojny światowej, [w:] *Łódź w 1939 roku. Studia i szkice*, red. T. Toborek, P. Waingertner, Łódź 2011, s. 117–119.



Jednym z takich przedsięwzięć były ćwiczenia przeprowadzone przez Ligę Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. Liczyła ona wówczas ok. 2 mln członków, na terenie całego kraju². Od początku roku szkolnego 1938/1939 w Warszawie, Łodzi, Płocku i Piotrkowie Trybunalskim przystąpiono do przeszkolenia wszystkich pracowników szkół w zakresie obrony przeciwlotniczej. W pierwszym rządzie obowiązkowi temu podlegali nauczyciele fizyki, chemii, biologii i przysposobienia wojskowego w szkołach średnich oraz po trzech – pięciu pedagogów z każdej szkoły powszechnej. Wyznaczano również i szkolono komendantów bloków, domów i dzielnic. Poznawali oni m.in. zasady maskowania światła i alarmowania, urządzania prowizorycznych schronów, sporządzania tamponów przeciwgazowych (nie dla wszystkich wystarczyło masek przeciwgazowych, nie każdego też stać było na taki zakup za co najmniej 20 zł). Na potrzeby miast tworzono z przeszkolonych osób drużyny odkażające, służby obserwacji alarmowej i dozoru³.

W listopadzie 1938 r. po raz pierwszy zawyły syreny alarmowe w polskich miejscowościach, co zapoczątkowało ogólnokrajowe sprawdzanie stanu przygotowania ludności do nalotów. Z początku robiono to w mniejszych ośrodkach oraz w miastach powiatowych⁴.

Celem biernej obrony przeciwlotniczej (tak ją nazywano) była ochrona ludności i obiektów przed nalotami oraz likwidacja ich skutków. Jednym ze środków tej obrony było utrudnianie wykonywania zadania lotnictwu nieprzyjaciela poprzez maskowanie naturalne i sztuczne, budowanie obiektów pozornych, zadymianie i zaciemnienie obiektów oraz oślepienie lotnika za pomocą reflektorów przeciwlotniczych. Spośród wymienionych sposobów utrudniających naloty lotnicze w Polsce na szeroką skalę stosowano jedynie zaciemnienie; pozostałych

² M. Gieleciński, *Świadczenia społeczeństwa polskiego na obronność państwa przed wybuchem drugiej wojny światowej (1936–1939)*, Poznań 2014, s. 214–215.

³ APŁ, Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej Łódzki Obwód Powiatowy, sygn. 39/2271/0/-/3: k. 15, Pismo kuratora Okręgu Szkolnego Warszawskiego z 10 lutego 1939 r.; k. 19, Dowódca obrony przeciwlotniczej OK IV płk dypl. Władysław Kulma – Prace wyszkoleniowe obrony przeciwlotniczej (26 III 1939 r.), k. 19.

⁴ A. Ossowski, *Luftwaffe przeciw ludności cywilnej regionu łódzkiego (1–17 września 1939 r.)*, [w:] *Wieluń był pierwszy. Bombardowania lotnicze miast regionu łódzkiego we wrześniu 1939 r.*, red. J. Wróbel, Łódź 2009, s. 148.



nie wykorzystywano ze względu na związane z nimi duże koszty. Zresztą wojskowi bardzo nisko oceniali skuteczność tego rodzaju obrony⁵.

W Łodzi – przed wojną drugim co do liczby mieszkańców mieście Polski – „próba gaszenia świateł”, czyli zaciemnienie, została zaplanowana na poniedziałek 16 stycznia 1939 r. Przygotowania rozpoczęto tydzień wcześniej. W sklepach papierniczych oraz w punktach ligi ustawiały się kolejki chętnych po czarny papier do przesłonięcia okien. Zapotrzebowanie było tak wielkie, że w wielu miejscach trzeba było szybko sprowadzać kolejne partie towaru. Podobnie było w Warszawie: „Modnym stał się czarny papier. Do utrzymywania porządku koło ośrodka propagandy LOPP na ul. Świętokrzyskiej parokrotnie wzywano policję. Byliśmy świadkami prawdziwego runu na czarny papier. Szczytem elegancji było chodzenie po Warszawie z dwu i ćwierć metrową rurą pod pachą”⁶.

Przeprowadzone w godzinach wieczornych w całej Łodzi ćwiczenia obrony przeciwlotniczej miały za zadanie sprawdzić sprawność mieszkańców w wygaszaniu

⁵ S. Abżółtowski, *O niebezpieczeństwie lotniczym i obronie przeciwlotniczej kraju*, Warszawa 1937, s. 67; A. Bernaś-Kostynowicz, *Spółczesność polskie w wojnie obronnej 1939. Współdziałanie ludności cywilnej z wojskiem w okresie zagrożenia i działań wojennych*, Warszawa 1988, s. 74.

⁶ *Na marginesie ćwiczeń obrony przeciwlotniczej w Warszawie*, „Lot i OPLG Polski” 1939, nr 4, s. 25.

Jedna z ulic w Łodzi podczas pozorowanego ataku gazowego; mężczyzna w kapeluszu to prawdopodobnie dziennikarz z kwatery prasowej ćwiczeń. Fot. NAC

i przysłanianiu – za pomocą grubych zasłon lub czarnego papieru – domowych źródeł światła. Również lampy uliczne, na sygnał alarmu podanego przez syreny zakładów przemysłowych, miały zostać w tym czasie wyłączone. Zakładano, że ruch uliczny odbywać się będzie wprawdzie normalnie, jednak tramwaje, samochody i dorożki jeźdźcy miały ze światłami zasłoniętymi niebieskim celofanem. Równocześnie z wyłączeniem ulicznego oświetlenia miały zgasnąć wszystkie reklamy, światła na klatkach schodowych i numery policyjne domów. W prasie podkreślano, że ćwiczenia „mają być sprawdzianem stanu przygotowań ludności do obrony przeciwlotniczej, bowiem dobrze zamaskowane miasto utrudni lotnictwu nieprzyjacielskiemu, na wypadek napadu lotniczego, wykonanie zadania”. Zapowiedziano zarazem sankcje karne wobec osób, które w okresie przeprowadzanych ćwiczeń utrudniać będą akcję oraz bagatelizować zarządzenia organów obrony przeciwlotniczej⁷.

Dokładny termin alarmu utrzymywano do samego końca w ścisłej tajemnicy. Wybrano moment największego natężenia ruchu ulicznego, tak aby najlepiej skontrolować zdyscyplinowanie ludności. O 18.35 przeraźliwe trzyminutowe buczenie syren

⁷ *Czarnym papierem zasłaniać okna*, „Republika”, 14 I 1939 r., s. 5; *Jutro gaszenie światel*, „Republika”, 15 I 1939 r., s. 8; *Dziś próba gaszenia światel*, „Republika”, 16 I 1939 r., s. 3.





fabrycznych oznajmiło początek ćwiczeń. Chwilę później miasto pogrążyło się w głębokich ciemnościach. Wprawdzie ruch uliczny, tak jak zapowiadano, nie został ograniczony, ale siłą rzeczy w kompletnym mroku trudno było się poruszać. Bojąc się spowodowania nieszczęśliwego wypadku, kierowcy zatrzymywali tramwaje i samochody. Co przezorniejsi przechodnie zaopatrzeni byli w latarki elektryczne z niebieskimi żarówkami. Nie obyło się jednak bez nieporozumień. Niektórzy dozorczy domów zrozumieli, że muszą po rozpoczęciu ćwiczeń zamknąć bramy. Nie chcieli więc nikogo wpuszczać ani wypuszczać i na tym tle dochodziło do scysji z lokatorami.

Próba trwała 40 minut. Bezpośrednio po jej rozpoczęciu przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych oraz straży pożarnej przeprowadzili lustrację

miasta, w wyniku której stwierdzono dużo usterek. Przede wszystkim okazało się, że wielu kierowców samochodów i dorożkarzy zbyt słabo osłoniło reflektory, przez co rzucały one wyraźny blask na jezdnie i domy. Zauważono również, że w niektórych mieszkaniach okna przesłonięte były jedynie przepuszczającymi światło ozdobnymi zasłonami. Po zakończonej lustracji przedstawiciele władz udali się na najwyższe, siódme piętro budynku centrali telefonicznej PAST-y (Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej) przy al. Kościuszki 12, skąd przyglądali się efektom zaciemnienia. Stwierdzono, że w niektórych mieszkaniach okna były źle zasłonięte i światło przedostawało się na zewnątrz przez szczeliny. O 19.15 radio podało komunikat o końcu alarmu, a chwilę później obwieściły to syreny. Oficjalnie uznano, że sprawdzian zaciemnienia w Łodzi wypadł dobrze, chociaż policja wypisała około 400 wniosków o ukaranie osób, które nie zastosowały się do zarządzeń władz. Próba gaszenia światła była tylko wstępem do przewidywanych na koniec miesiąca ćwiczeń obrony przeciwlotniczej⁸.

Założenia ćwiczeń dla Łodzi opracował inspektor Obrony Powietrznej Państwa gen. dyw. Józef Zając. Na terenie województwa łódzkiego podobne manewry miały odbyć się także w Łasku. Zebrane w ten sposób doświadczenia, przede wszystkim z Łodzi, miały posłużyć do zaplanowania i przeprowadzenia ćwiczeń w Warszawie. Zakładano sprawdzenie przygotowania władz i ludności na ewentualność ataku lotniczego. Z tego względu szczegółowy program ćwiczeń nie był znany lokalnemu ośrodkowi obrony przeciwlotniczej, tak aby wydarzenia były dla wszystkich ćwiczących zaskoczeniem. W ten sposób łódzkie kierownictwo miało zdać egzamin ze swej sprawności w czasie pozorowanego nalotu i bombardowania⁹.

Jak poinformowano opinię publiczną, „wielkie ćwiczenia obrony przeciwlotniczej w Łodzi” miały się składać z kilku etapów. Na początku – z mobilizacji na skutek nieprzyjacielskiego ataku; następnie – z akcji obrony przeciwlotniczej podczas ataku samolotów, w czasie którego spadać miały na miasto bomby z gazem łzawiącym i worki z piaskiem, imitujące prawdziwe bomby burzące; i w końcu – z omówienia działań oraz wskazania na wszystkie ewentualne błędy

⁸ *Łódź pogrążona w ciemnościach*, „Republika”, 17 I 1939 r., s. 5; *Ćwiczenia przeciwlotnicze w Łodzi*, „Republika”, 18 I 1939 r., s. 5.

⁹ *Wielkie ćwiczenia przeciwlotnicze*, „Republika”, 19 I 1939 r., s. 5.

i niedociągnięcia. Ludność miała być też przygotowana na okresowe przerwy w dostawie prądu¹⁰.

Ćwiczenia obrony przeciwlotniczej w Łodzi odbyły się pod egidą dowódcy Okręgu Korpusu nr IV, gen. bryg. Wiktora Thommée, oraz komendanta obrony przeciwlotniczej miasta, tymczasowego prezydenta Łodzi Mikołaja Godlewskiego. Z ramienia Urzędu Wojewódzkiego Łódzkiego uczestniczył w nich naczelnik Wydziału Wojskowego Wiktor Hawel. Przy sformowanym w ten sposób dowództwie powstała kwatera prasowa, w której dziennikarze lokalnych gazet na bieżąco sporządzali relacje z kolejnych przeprowadzanych ćwiczeń. Dodajmy, że nie były to pierwsze ćwiczenia obrony przeciwlotniczej w Łodzi. Podobne, choć na dużo mniejszą skalę, odbyły się m.in. w 1936 i 1937 r.

Reporterzy bardzo poważnie potraktowali podjęte przez władze działania i mocno wczuli się w sytuację. Przedstawiciele prasy, zaopatrzeni w specjalne opaski na ramionach i w maski przeciwgazowe, brali bezpośredni udział w akcji. O pełnym zaangażowaniu świadczą same tytuły tekstów w gazetach: *Bombardowanie Łodzi; Atak bombowo-gazowy na Łódź; Łódź pod znakiem wojny lotniczej; Stan wojenny w Łodzi; Nieprzyjacielskie bombowce nad Łodzią; Setki zabitych i rannych w czasie nalotu nieprzyjacielskiego na Łódź*. Niektóre fragmenty artykułów bardzo plastycznie oddawały wyobrażane przecież tylko niebezpieczeństwa. I tak czytelnicy mogli przeczytać, jak to Łódź jest „nękana raz po raz przez nieprzyjaciela, zasypywana gradem bomb” oraz „że lada chwila odezwać się mogą syreny i huk bomb zwiastować będzie o zniszczeniu sianym przez nieprzyjacielskie lotnictwo”¹¹.

Manewry w Łodzi zaplanowano na trzy dni, od czwartku 26 do soboty 28 stycznia 1939 r. Przewidziano szereg intensywnych ćwiczeń, w które miała zostać włączona ludność cywilna. W czasie zarządzanych alarmów wymagano od ogółu mieszkańców zastosowania się do wydawanych poleceń. Przede wszystkim starano się wypracować odpowiednie reakcje, tj. chowanie się do bram i schronów oraz wyczekiwanie w nich do końca zarządzanego alarmu lotniczego. Uczono również odpowiedniego maskowania okien. Podczas alarmów nocnych sprawdzano zaciemnienie. Młodzież szkolna, harcerze, junacy przysposobienia

¹⁰ *Atak samolotów na Łódź?*, „Republika”, 20 I 1939 r., s. 5.

¹¹ *Atak bombowo-gazowy na Łódź*, „Republika”, 28 I 1939 r., s. 5; *Wielkie ćwiczenia przeciwlotnicze*, „Republika”, 19 I 1939 r., s. 5.

Nowy sposób zastaniania światła

Wynalazek trzech inżynierów łódzian

W związku z wczorajszym alarmem lotniczo - gazowym w cukierni Piątkowskiego przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Nawrot trzej inżynierowie polscy, inż. Telko, inż. Smolarz i inż. Młodawski demonstrowali bardzo ciekawy wynalazek, służący do osłaniania światła w czasie ćwiczeń i w czasie wojny.

Wynalazek, który czyni zupełnie zbędnym przesłanianie okien, polega na tym, że osłania się tylko żarówkę u lampy. Jest to niewielkie pudełeczko, ognio-

trwale, które bardzo łatwo i szybko zakłada się na żarówkę i które, powodując całkowite zaciemnienie pokoju, przesłania jednak nikły strumień światła na biurko czy na warsztat pracy, pozwalając bez wysiłku kontynuować w czasie alarmu pracę zawodową.

Promień światła, który znakomicie umożliwia pracę, nie jest zupełnie widoczny na zewnątrz. Wynalazek będzie miał niewątpliwie duże zastosowanie. (i)

wojskowego oraz członkinie przysposobienia kobiet do obrony kraju brali czynny udział w działaniach. Zostali zaangażowani w odegranie aranżowanych sytuacji kryzysowych: chłopcy ofiarnie udawali zatrutych gazem, dziewczęta pełniły funkcję łączniczek. Ważną rolę wyznaczono rozgłośni radiowej – miała ona za zadanie sprawne nadawanie komunikatów alarmowych wydawanych przez dowództwo ćwiczeń.

Ranek 27 stycznia wyglądał z pozoru tak jak zawsze. Ludzie spieszyli się do pracy, a tramwaje były zatłoczone. W ten codzienny rozgardiasz wdarły się o godz. 8.12 syreny alarmowe zwiastujące nadciągające niebezpieczeństwo. Kiedy po trzech minutach wybrzmiał ich przeciągły dźwięk, przez głośniki radiowe zainstalowane na ulicach popłynęło obwieszczenie: „Dowódca OBRONY PRZECIWILOTNICZEJ Łódź zarządza alarm lotniczy dla ośrodka Łódź. Wszelki ruch na ulicach wstrzymać, ludność do bram, pojazdy wstrzymać, konie wyprześć”¹².

Jak zapewniał relacjonujący wydarzenia dziennikarz, w ciągu kilku minut rozkaz wykonano. Ludzie skryli się w najbliższych bramach, a na opustoszałych ulicach pojawiła się służba obrony przeciwlotniczej. Wtedy rozległ się drugi sygnał alarmowy – bicie w gongi. Oznaczał on zagrożenie atakiem gazowym. Policjanci na skrzyżowaniach dróg nałożyli maski przeciwgazowe. W tym ćwiczeniu porozowano atak lotniczy bombowo-gazowy.

¹² *Atak bombowo-gazowy na Łódź*, „Republika”, 28 I 1939 r., s. 5.

Wieczorem 27 stycznia przeprowadzono ostatni pozorowany nalot, tym razem trzech eskadr nieprzyjacielskich na miasto. Zakończył się on o 22.28. Bezpośrednio po nim dowództwo zarządziło koniec ćwiczeń dla ludności cywilnej. Przez następne półtorej godziny służby miejskie prezentowały swoje umiejętności w usuwaniu skutków bombardowania. Pięć minut po północy komendant obrony przeciwlotniczej miasta zarządził odwołanie pogotowia obrony przeciwlotniczej. Nie ogłoszono jednak tego faktu od razu. Postanowiono wynagrodzić mieszkańcom wzorową postawę w dotychczasowych działaniach i nie niepokojono ich już do rana. Dopiero wczesnym rankiem rozlepiono na murach budynków żółte plakaty z krótkim rozkazem komendanta obrony przeciwlotniczej: „Odwołuję pogotowie obrony przeciwlotniczej miasta”. Wąskie paski obwieszczenia naklejane były ukośnie na plakatach zawierających zarządzenie pogotowia sprzed kilku dni. Władze przystąpiły do likwidacji biur powołanych na czas ćwiczeń, a mieszkańcy mogli wrócić do swoich codziennych zajęć.

W ostatnim dniu ćwiczenia odbyły się już bez udziału ludności cywilnej. Dzień ten poświęcono na odprawę i szczegółowe omówienie całokształtu wykonanych działań. Na zakończenie gen. Thommée wysoko ocenił osiągnięte rezultaty. Zauważył, że podjęte działania spotkały się z pozytywnym odzewem społeczeństwa.

Po przeprowadzonych ćwiczeniach przeciwlotniczych w Łodzi ich dowództwo skierowało do ludności miasta podziękowanie za gorliwy i ofiarny udział. Prezentując z jednej strony urzędowy optymizm, a z drugiej będąc zbudowanym postawą społeczeństwa w ostatnich dniach, gen. Thommée oświadczył: „Łódź będzie Łodzią, gdyż umie wiele dać z siebie i będzie umiała obronić się przed nieprzyjacielem”¹³.

¹³ Podziękowanie dla ludności m. Łodzi, „Republika”, 29 I 1939 r., s. 6.



Artur Kuprianis (ur. 1975) – historyk, dr, pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: *Generał brygady Czesław Młot-Fijałkowski (1892–1944)* (2004); *Łódzka 4 Grupa Artylerii w latach 1929–1939* (2010).

Bogusław Tracz

Prowokacja gliwicka

„Dam propagandowy pretekst do rozpętania wojny” – zapowiedział 22 sierpnia 1939 r. Adolf Hitler. Dziesięć dni później miał miejsce rzekomy polski napad na niemiecką radiostację w Gliwicach.

Drewniany, stużedenastometrowy maszt antenowy przy ul. Tarnogórskiej w Gliwicach, ok. 1935 r.
Fot. ze zbiorów Muzeum w Gliwicach



W 1932 r. w Niemczech ukazała się książka Hansa Nitrama *Uwaga! Tu Radio Marchii Wschodniej!* z wymownym podtytułem *Polskie oddziały przekroczyły dziś w nocy granicę wschodniopruską*. Powieść, utrzymana w konwencji zbeletryzowanego, fikcyjnego reportażu, spotkała się z zainteresowaniem czytelników. Oprócz wydania książkowego drukowano ją co tydzień w odcinkach w kilku gazetach wschodniopruskich oraz na łamach wrocławskiej „Schlesische Zeitung”. Trudno powiedzieć, czy czytali ją autorzy planu sfińskiego napadu polskiego oddziału na niemiecką radiostację w Gliwicach dokonanego wieczorem 31 sierpnia 1939 r., przez specjalną jednostkę Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS. Analogie w tym przypadku są jednak zastanawiające.

„Wojna na falach eteru”

W połowie 1925 r. rozpoczęła nadawanie nowa niemiecka rozgłośnia radiowa Schlesische Funkstunde z Wrocławia. Aby zwiększyć jej zasięg i dotrzeć do niemieckojęzycznych słuchaczy mieszkających w polskiej części Górnego Śląska, jeszcze w listopadzie tego samego roku oddano do użytku radiostację w Gliwicach. W tym górnośląskim mieście, wówczas noszącym nazwę Gleiwitz, położonym około dziesięciu kilometrów od granicy z Polską, przy dzisiejszej ul. Radiowej stanął budynek, w którym ulokowano urządzenia nadawczo-wzmacniające, studia mikrofonowe, salę koncertową i pomieszczenia redakcji. Obok stanęły dwie siedemdziesięciopięciometrowe stalowe wieże, a między nimi rozciągnięto antenę nadawczą. Całość obsługiwał nadajnik o mocy półtora kilowata, którą niebawem zwiększono do dwóch kilowatów. Kiedy w 1927 r. w Katowicach uruchomiono znacznie silniejszą stację nadawczą Polskiego Radia Katowice, Niemcy w odpowiedzi zamontowali w Gliwicach nowy nadajnik o mocy pięciu kilowatów. Obie stacje – polska i niemiecka – zawzięcie rywalizowały o słuchaczy, których spora część była dwujęzyczna. Niemcy i Polacy prowadzili nasłuch konkurencyjnych audycji, a o propagandowych atakach informowano na łamach prasy, jednocześnie kierując stosowne skargi i noty dyplomatyczne. Pod koniec lat dwudziestych pisało już wprost o „wojnie radiowej” i „walkach w eterze”. Próba zażegnania sporu było podpisane w 1931 r. polsko-niemieckie porozumienie o nieagresji na falach eteru, które jednak notorycznie łamano. Tylko na krótko sytuacja ulegała poprawie po podpisaniu w styczniu 1934 r. polsko-niemieckiej deklaracji o niestosowaniu

przemocy. Im bliżej było wojny, tym mocniej wykorzystywano radio, które okazywało się niezastąpione w propagandzie politycznej.

Dwie radiostacje

Początkowo radiostacja gliwicka służyła jako stacja przekaźnikowa programu nadawanego z Wrocławia. W 1927 r. rozpoczęto w Gliwicach nadawanie również własnych audycji. Na początku lat trzydziestych gliwicka radiostacja z trudem była w stanie sprostać wymaganiom coraz nowocześniejszej technologii, jak również oczekiwaniom płynącym z Berlina. W 1934 r. Ministerstwo Propagandy Rzeszy, którym kierował Joseph Goebbels, zleciło zwiększenie mocy radiostacji gliwickiej poprzez budowę nowej anteny wraz z osobną stacją nadawczą na działce przy dzisiejszej ul. Tarnogórskiej (do 1945 r. Tarnowitzer Landstraße), jednocześnie zachowując studia nagraniowe, dyrekcję i administrację w starym budynku przy ul. Radiowej. Prace budowlane ukończono jesienią 1935 r. Wyrosła stużedenastometrowa wieża antenowa, która kryła pionową antenę, a u jej stóp stanął budynek służb technicznych oraz dwa budynki mieszkalne dla pracowników radiostacji i personelu pomocniczego. Nowa stacja nadawcza rozpoczęła pracę 22 grudnia 1935 r. Niedługo później rozebrano dwie stare wieże antenowe stojące koło budynku przy ul. Radiowej. Oba gmachy – stary i nowy – oddalone od siebie o mniej więcej pięć kilometrów, połączono specjalnym podziemnym kablem. W nowym lokalu znalazły się urządzenia przekaźnikowe i wzmacniające, w starym pozostawiono pomieszczenia redakcji, salę koncertową i studio nadawcze. Warto o tym pamiętać. Ta okoliczność zmyliła bowiem nie tylko nazistowskich intrygantów z SD, lecz również wielu historyków i autorów licznych powojennych opracowań i artykułów o prowokacji gliwickiej, w których jako ilustrację miejsca wydarzeń, do których doszło 31 sierpnia 1939 r., prezentuje się fotografię gmachu przy ul. Radiowej. Nic bardziej błędnego. Miejscem rzekomego „polskiego napadu” był budynek przy ul. Tarnogórskiej, stojący u stóp widocznej z daleka pojedynczej drewnianej wieży.

Budynek radiostacji i dwa maszty antenowe przy ul. Radiowej w Gliwicach, ok. 1930 r.; to tzw. pierwsza radiostacja, często mylnie podawana jako miejsce prowokacji gliwickiej. Fot. ze zbiorów Muzeum w Gliwicach



Ku wojnie

Latem 1939 r. atmosfera polityczna w stosunkach polsko-niemieckich była tak napięta, że nieuchronnie zbliżająca się wojna stała się tematem numer jeden w Gliwicach. Coraz rzadziej zadawano sobie pytanie, czy w ogóle wybuchnie, a coraz częściej zastanawiano się, kiedy to nastąpi. Stacjonujący w Gliwicach żołnierze Wehrmachtu spędzali więcej czasu na ćwiczeniach, a większość z nich latem nie otrzymała zwyczajowych dłuższych przepustek i urlopów. Pracownicy służb miejskich i dozorca byli regularnie wzywani na ćwiczenia obrony przeciwlotniczej, a na ścianach klatek schodowych pojawiły się tablice informujące o osobach odpowiedzialnych za jej organizację. Na ulicach miasta coraz częściej można było spotkać mężczyzn w mundurach *feldgrau*, spacerujących samotnie lub grupkami. W sierpniu 1939 r. do Gliwic skierowano żołnierzy 239. Dywizji Piechoty, w której skład wchodziły trzy pułki piechoty oraz jednostki dywizyjne: pułk artylerii, batalion saperów, oddział rozpoznawczy, oddział łączności i oddział obrony przeciwpancernej. Dodatkowo do zabezpieczenia granicy z Polską skierowano do miasta oddziały 68. Pułku Straży Granicznej. Tak silnego nasycenia wojskiem nie było w tym mieście nawet w 1914 r., tuż przed wybuchem Wielkiej Wojny. Jednocześnie została uruchomiona niemiecka machina dywersyjna. Już w kwietniu 1939 r. do Gliwic powróciła, przeniesiona wcześniej na krótko do Opolą, filia wrocław-

Budynki radiostacji przy ul. Tarnogórskiej w Gliwicach, 1935 r. Fot. ze zbiorów Muzeum w Gliwicach



skiej Abwehry, a jej funkcjonariusze rozpoczęli werbunek agentów. Równoległe działania dywersyjne na terenie przygranicznym prowadziła SS.

Nie powinno zatem dziwić, że to właśnie Gliwice zostały wybrane jako miejsce działań operacyjnych niemieckich służb specjalnych, których zadaniem było zainscenizowanie wydarzeń mogących stanowić podstawę oskarżenia Polski o sprowokowanie czy wręcz rozpoczęcie działań zbrojnych przeciwko Rzeszy.

Opracowaniem serii incydentów przygranicznych sugerujących, że to Polacy przekroczyli zbrojnie granice Niemiec, zajęły się w ścisłej tajemnicy trzy niezwykle ważne osoby w nazistowskiej machinie władzy: Reichsführer SS i szef policji Heinrich Himmler, stojący na czele gestapo Heinrich Müller i Reinhard Heydrich, kierujący SD. To zapewne w berlińskim gabinecie tego ostatniego na początku sierpnia 1939 r. zapadła decyzja, by przeprowadzić operację dywersyjną polegającą na sfingowanym ataku Polaków na niemiecką przygraniczną placówkę radiową. Jej wykonanie Heydrich powierzył swojemu podwładnemu Alfredowi Naujockowi, funkcjonariuszowi SD i oficerowi SS w stopniu Sturmbannführera.

Naujocks w 1939 r. miał 28 lat. Od ośmiu lat był członkiem partii nazistowskiej i SS. W 1934 r. został funkcjonariuszem SD. Początkowo pełnił podrzędne funkcje, m.in. kierowcy, ale szybko awansował, przechodząc do sekcji wywiadu. Jego notowania wzrosły zwłaszcza po udziale w akcji specjalnej na terenie Czechosłowacji, gdzie w styczniu 1935 r. w pokoju hotelowym w Pradze zamordowano Karla Ericha Rudolfa Formisa – niemieckiego inżyniera i radiowca, pioniera amatorskiej radiofonii, który nadawał antynazistowskie audycje, wykorzystując do tego celu samodzielnie zbudowane krótkofalówki.

„Zwycięzcy nikt później nie pyta, czy powiedział prawdę, czy też nie”

„Heydrich stworzył mi praktycznie jedynie ramy ogólne, mówiąc: Po pierwsze, przy organizowaniu akcji nie wolno panu nawiązywać kontaktu z żadnymi władzami niemieckimi w Gliwicach. Po drugie, żaden z pańskich ludzi nie może mieć przy sobie dokumentów, które mogłyby wskazywać na przynależność do SS, SD, policji lub na obywatelstwo niemieckie” – twierdził po wojnie Naujocks.

Zebrał sześciu ludzi, w tym technika radiowego i osobę mówiącą w języku polskim. W połowie sierpnia 1939 r. cała grupa była już w Gliwicach. By nie

wzbudzać podejrzeń, podzielono się i zakwaterowano w dwóch osobnych hotelach. Naujocks wybrał dla siebie bardziej luksusowy „Haus Oberschlesien”. Członkowie grupy udawali biznesmenów, którzy przyjechali na Górny Śląsk w interesach. Musieli się jednak nudzić, skoro po upływie czternastu dni Naujocks poprosił Heydricha o zezwolenie na powrót do Berlina. Otrzymał jednak rozkaz, by dalej czekał. Zbliżał się koniec sierpnia.

Gdy Naujocks i jego ludzie spędzali w Gliwicach kolejne dni na bezczynnym oczekiwaniu, 22 sierpnia 1939 r. na spotkaniu z dowództwem Wehrmachtu na Obersalzbergu Adolf Hitler powiedział do niemieckich generałów: „Dam propagandowy pretekst do rozpoczęcia wojny, obojętnie, czy wiarygodny. Zwycięzcy nikt później nie pyta, czy powiedział prawdę, czy też nie”.

Sześć dni później w Gliwicach wycofano straż pocztową ochraniającą budynek oraz wieżę przy ul. Tarnogórskiej i zastąpiono ją ochroną policyjną. Ta rotacja niktogo specjalnie nie zdziwiła, obiekt był bowiem dalej chroniony. Zapewne myślano, że przetasowania miały związek z mobilizacją i wojną wiszącą w powietrzu. Nikt też nie zauważył, że 31 sierpnia również i ta policyjna ochrona radiostacji została złuzowana, a straż ograniczono zaledwie do trzech osób.

„Babcia umarła”

Naujocks i jego ludzie oczekiwali na sygnał do rozpoczęcia akcji. Telefon w pokoju hotelowym zadzwonił 31 sierpnia ok. 16.00. Heydrich zlecił oddzwonienie na umówiony numer. Oddzwoniwszy, Naujocks usłyszał tylko dwa słowa: „Großmutter gestorben” („Babcia umarła”), będące hasłem do rozpoczęcia akcji.

Dopiero teraz, w hotelu, odbyła się narada, w której Naujocks przedstawił cel i szczegóły całej operacji. Zgodnie z wcześniej opracowanym planem miano się udać pod budynek przy ul. Tarnogórskiej dopiero ok. 20.00, a więc kiedy już się ściemni, a większość ludzi będzie w domach słuchać wieczornych wiadomości nadawanych przez radio. Dokumenty i wszelkie osobiste przedmioty, które mogłyby naprowadzić na faktyczne personalia, pozostawiono w hotelu. W cywilnych ubraniach ok. 19.30 dwoma samochodami wyruszono w stronę radiostacji. Podróż nie trwała zapewne dłużej niż kwadrans. Przez niezamkniętą furtkę obok bramy wjazdowej Naujocks wraz z czterema mężczyznami bez problemu wszedł na teren obiektu. Dwóch innych pozostało przy furtce. Pięciu z Naujocksem na czele



Franz Honiok, zamordowany 31 sierpnia 1939 r. na terenie radiostacji gliwickiej, określany jako „pierwsza ofiara II wojny światowej”.
Fot. ze zbiorów Muzeum w Gliwicach

że w budynku przy ul. Tarnogórskiej nie było stacji nadawczej, tylko przekaźnik i urządzenia wzmacniające, czy też został wprowadzony w błąd przez radiotechnika ze swojej ekipy, tego się już nie dowiemy.

Kiedy technik próbował podłączyć mikrofon, funkcjonariusze gestapo przywieźli Franza Honioka, zatrzymanego dzień wcześniej czterdziestoletniego mieszkańca Łubia – niewielkiej wsi oddalonej o mniej więcej dwadzieścia kilometrów od Gliwic, której nazwę w 1936 r. zmieniono na Hohenlieben. Honiok urodził się w wielodzietnej polskojęzycznej rodzinie. Zapewne brał udział w III Powstaniu Śląskim. Po podziale Górnego Śląska między Polskę a Niemcy w 1922 r. wyjechał do tej części regionu, która znalazła się w granicach Rzeczypospolitej. Nie odnalazł się jednak w nowym miejscu i już w 1926 r. wrócił w rodzinne strony. Na próbę wydalenia go z Niemiec odpowiedział skargą do trybunału przy Lidze Narodów, który zawyrokował na jego korzyść. Pozostał w Niemczech i otrzymał z powrotem obywatelstwo tego państwa, ale i w następnych latach nie ukrywał swoich propolskich sympatii. Zatrudnił się w pobliskich Pyskowicach (wówczas

tylnymi drzwiami weszło do budynku nadajnika, w którym znajdowały się wówczas cztery osoby: dwóch techników, dowódca ochrony policyjnej i dozorca. Zaskoczeni nie stawiali oporu. Zostali związani i zaprowadzeni do piwnicy. Następnie technik z grupy Naujocksa próbował bez powodzenia uruchomić urządzenie tzw. studia awaryjnego, by nadać w eter odezwy w języku polskim. W tej sytuacji postanowiono użyć mikrofonu podłączonego bezpośrednio do urządzeń w sali nadajnika. Kiedy wreszcie podłączono mikrofon, odczytano tekst odezwy. Jednak siedzący przy odbiornikach radiowych w Berlinie mocodawcy Naujocksa niczego nie usłyszeli. Szczegółowo opracowana operacja w tym punkcie spaliła na panewce. Czy Naujocks po prostu nie sprawdził,

Peiskretscham) jako przedstawiciel handlowy w firmie sprzedającej sprzęt rolniczy. Był odludkiem, nie założył rodziny. To zapewne zwróciło uwagę gestapowców, którzy starali się tak wybrać ofiarę, by nikt jej nie szukał ani nie interweniował w razie jej zatrzymania. Honiok w wolnym czasie, po pracy, zaglądał do miejscowej gospody i tam 30 sierpnia 1939 r. został zatrzymany przez funkcjonariuszy gestapo, którzy zawieźli go do koszar policji w Bytomiu, gdzie spędził noc w prowizorycznej celi zaaranżowanej w jednym z pomieszczeń policyjnego archiwum. Z jego zatrzymania nie sporządzono raportu. Następnego dnia około południa przewieziono go do więzienia policyjnego w Gliwicach i stamtąd, odurzonego za pomocą zastrzyku, zapewne jeszcze żywego, tuż przed 20.00 do radiostacji przy ul. Tarnogórskiej, gdzie z rąk gestapowców przy bramie odebrało go dwóch ludzi Naujocksa. Ci przenieśli go do budynku nadajnika i położyli w maszynowni, zaraz obok drzwi. Tam najprawdopodobniej go zastrzelili. Nie ma przy tym pewności, czy za spust pociągnął sam Naujocks, czy może któryś z jego ludzi lub gestapowców, którzy dołączyli do akcji.

Gestapo przejmuje śledztwo

Przerwa w nadawaniu audycji wzbudziła ciekawość żony kierownika stacji nadawczej, który mieszkał w sąsiednim budynku. Zaniepokojony wszedł do sali z głównymi urządzeniami i kiedy zobaczył obcych ludzi manipulujących przy sprzęcie, wrócił do domu i zadzwonił na policję oraz do swoich przełożonych. Zanim doszło do jakiegokolwiek próby interwencji, Naujocks i jego ludzie zdążyli odjechać w stronę hotelu „Haus Oberschlesien”. Wówczas jeden z pracowników uwięzionych w piwnicy pobiegł do mieszkania kierownika. Kiedy mężczyźni wrócili do budynku nadajnika, na miejscu była już policja. Chwilę później w lokalu pojawili się ubrani po cywilnemu gestapowcy, którzy poinformowali, że śledztwo przejęła placówka gestapo w Gliwicach. Identyczną informację przekazano również nieco później policji kryminalnej, a zdjęcia (wraz z kliszami), które wykonał policyjny fotograf, zarekwirowano i przesłano do Berlina. Z zeznań policjantów, które złożyli po latach, wynika, że oprócz Honioka sfotografowano jeszcze dwie inne martwe osoby. Byli to zapewne zamordowani więźniowie, których ciała – podobnie jak zwłoki Honioka – miały posłużyć jako dowód „polskiego napadu”. I mimo że cała akcja spaliła na panewce, o 22.30 niemiecka agencja prasowa Deutsches Nachrichten-

büro podała komunikat o napadzie na radiostację w Gliwicach polskiego oddziału ochotniczego złożonego z powstańców górnośląskich, którym jakoby udało się wtargnąć do studia nadawczego, sterroryzować jego pracowników i wyemitować komunikaty radiowe w językach polskim i niemieckim mówiące o tym, że miasto znalazło się w polskich rękach, a niebawem ten sam los spotka Gdańsk i Wrocław. Poinformowano również, że policji udało się ująć napastników i że jeden z nich zginął w czasie wymiany strzałów.

„Rozdmuchujemy to niebotycznie”

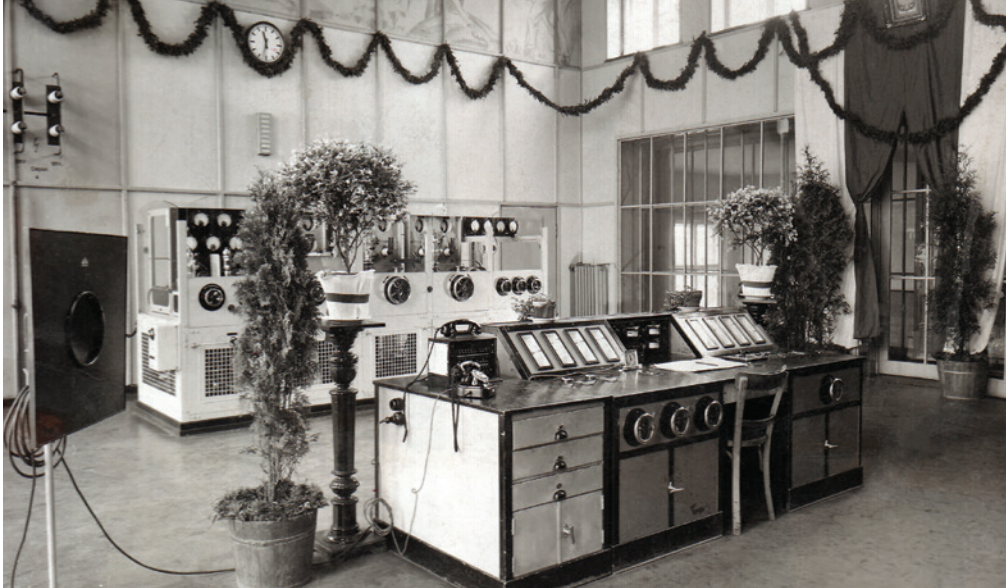
Jeszcze przed północą żołnierze z gliwickiego 84. Pułku Piechoty w pełnym rynsztunku bojowym przemaszerowali przez miasto w kierunku Szywałdu (dzisiejszego Bojkowa) i zajęli pozycje tuż przy polskiej granicy, skąd kilka godzin później, bladym świtem 1 września 1939 r. o 4.45, rozpoczęli natarcie. Niemiecka machina wojenna ruszyła na Polskę. Tego samego dnia Goebbels zapisał w swoim dzienniku: „Polski atak na rozgłośnię w Gliwicach. Rozdmuchujemy to niebotycznie. Jesteśmy więc znowu w ataku. Tylko w walce człowiek czuje się dobrze”. Następnego dnia w prasie ukazał się komunikat o rzekomej napaści Polaków na Gliwice, ale szybko utonął on w powodzi innych, ważniejszych wiadomości związanych z wybuchem

„**Za pomocą sfabrykowanych faktów władze w Berlinie zamierzały dostarczyć opinii publicznej dowodów na to, że Polacy prowadzą zaczepne, agresywne działania, które zmusiły stronę niemiecką do odwetu.**”

wojny. Kiedy wojnę Niemcom wypowiedziały Francja, Wielka Brytania, Australia i Nowa Zelandia, dalsze nagłaśnianie tzw. prowokacji gliwickiej przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, tak polityczne, jak

i propagandowe. O tym, co naprawdę wydarzyło się tamtego wieczoru, dowiedziano się więcej dopiero po zakończeniu wojny, 20 listopada 1945 r., kiedy Naujocks złożył zeznanie przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze.

Incydent gliwicki nie był jedyną tego rodzaju operacją przygotowaną i wykonaną w tym czasie przez niemieckie służby specjalne. Wśród licznych „incydentów granicznych” warto przywołać chociażby „polskie ataki” na niemiecki urząd celny w Hochlinden (Stodołach) i na leśniczówkę w Pitschen (Byczynie). Te sfingowane ataki na niemieckie placówki były częścią dezinformacyjno-propagan-



Wnętrze głównego pomieszczenia w budynku technicznym przy ul. Tarnogórskiej udekorowane z okazji uroczystego przejścia radiostacji przez Polskie Radio Katowice, marzec 1946 r. Fot. ze zbiorów Muzeum w Gliwicach

dowego przygotowania do agresji na Polskę. Zamierzano tym samym za pomocą sfabrykowanych faktów dostarczyć opinii publicznej dowodów na to, że Polacy prowadzą zaczepne, agresywne działania, które zmusiły stronę niemiecką do odwetu. Potwierdzają to zarówno treść, jak i ton niemieckich informacji prasowych, w których piętnowano rzekome „polskie prowokacje”. Niedługo później dowódca Luftwaffe Hermann Göring w rozmowie ze szwedzkim biznesmenem Birgerem Dahlerusem stwierdził, że przyczynami wojny były napad Polaków na radiostację w Gliwicach i wysadzenie przez nich mostu pod Tczewem.

Naujocks został przerzucony na zachód Europy, gdzie w holenderskim mieście Venlo brał udział w operacji uprowadzenia do Niemiec dwóch wysokich rangą agentów brytyjskiego wywiadu. Przypisuje się mu również udział w akcji „Bernhard” – produkcji i wprowadzaniu na brytyjski rynek ogromnych ilości sfałszowanych banknotów w celu destabilizacji gospodarki. W związku z zarzutami korupcyjnymi w 1941 r. został zwolniony z SD i przeniesiony do Waffen-SS. W 1942 r. trafił do Belgii, gdzie pracował w niemieckiej administracji okupacyjnej. W 1943 r. wrócił do pracy w SD. Pod koniec wojny zajmował się m.in. rozpracowywaniem duńskiego ruchu oporu. W październiku 1944 r. został zatrzymany przez amerykańskich żołnierzy i przekazany do Wielkiej Brytanii, gdzie był przesłuchiwany przez brytyjski wywiad wojskowy. Rok później zeznawał przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Uwięziono

go w obozie dla zbrodniarzy wojennych. Udało mu się stamtąd uciec. Ponownie aresztowany, został w 1947 r. wydany Danii, gdzie stanął przed sądem, oskarżony o zabójstwo duńskich bojowników oporu. Po trzech latach, w 1950 r., opuścił więzienie i wyjechał do Republiki Federalnej Niemiec. Zamieszkał w Hamburgu, gdzie zajął się biznesem. Choć w 1963 r. niemiecka prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie sfingowanego napadu na radiostację w Gliwicach i zabójstwa Honioka, Naujocks nie doczekał postawienia go w stan oskarżenia. Zmarł 4 kwietnia 1966 r. w Hamburgu.

Radiostacja gliwicka przy ul. Tarnogórskiej przetrwała wojnę. Przed zajęciem Gliwic przez Armię Czerwoną nie wysadzono, jak planowano, w powietrze wieży antenowej, jedynie zniszczono wszystkie lampy w nadajniku. Pod koniec stycznia 1945 r. obiekt znalazł się w rękach czerwoarmistów, a pięć miesięcy później strona sowiecka przekazała budynki polskiej administracji. Kilka kolejnych miesięcy zajęło skompletowanie urządzeń i ich ponowne uruchomienie. Od listopada 1945 r. radiostacja transmitowała audycje Radia Katowice, jednak uroczyste otwarto ją dopiero w marcu 1946 r. Latem 1955 r. emisję programu katowickiego przeniesiono z Gliwic do nowej radiostacji w Rudzie Śląskiej. Od tej chwili do końca lat pięćdziesiątych gliwicki obiekt odgrywał rolę stacji rezerwowej. Oprócz emisji programu radiowego radiostacja gliwicka pełniła również inne funkcje. Od 1950 r. brała udział w akcji pod hasłem „Radio w służbie pokoju” i wchodziła w skład sześciu obiektów w województwie katowickim, które zagłuszały zachodnie stacje radiowe. Była chroniona przez wojska Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wraz ze zdemontowaniem nadajników pod koniec lat pięćdziesiątych zakończył się również i ten epizod w działalności gliwickiej radiostacji. W 1958 r. w budynku uruchomiono produkcję nadajników radiowych, którą kontynuowano w następnych latach. Produkowano tutaj m.in. anteny radiowe, a od 1971 r. także anteny telewizyjne oraz specjalistyczne urządzenia radiowo-telewizyjne. W 2002 r. Telekomunikacja Polska SA odsprzedała miastu Gliwice gmach wraz z wieżą antenową, a trzy lata później obiekt przejęło Muzeum w Gliwicach.



Bogusław Tracz (ur. 1972) – historyk, dr, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Katowicach. Autor m.in. książek: *Hippiesi, kudłacze, chwasty. Hipisi w Polsce w latach 1967–1975* (2014); *Gliwice. Biografia miasta* (2018).



Ks. Jarosław Wąsowicz SDB

Pierwsza była Krajna

Męczeństwo polskiego duchowieństwa Wolnej Prałatury Piłskiej

W czasie II wojny światowej polscy duchowni byli poddawani planowej eksterminacji w ramach Intelligenzaktion i masowo deportowani do obozów koncentracyjnych.

Dla terenów archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej oraz diecezji chełmińskiej, które po zakończeniu I wojny światowej znalazły się poza granicami Polski, w dwudziestoleciu międzywojennym utworzono odrębną strukturę kościelną. Kiedy bowiem część dekanatów z obu archidiecezji znalazła się poza granicami Polski, kard. Edmund Dalbor 22 listopada 1920 r. utworzył dla nich delegaturę arcybiskupią z siedzibą w Tucznie, która została rozszerzona

» Już w sierpniu 1939 r. na terenie Wolnej
Przełatury Piłskiej rozpoczęły się
aresztowania polskich działaczy społecznych
i narodowych, w tym kapłanów, na skalę
masową zaś – po wybuchu wojny. Stali się oni
pierwszymi ofiarami niemieckiego terroru.
Ocenia się, że ok. 2 tys. członków Związku
Polaków w Niemczech zostało osadzonych
w obozach koncentracyjnych. »

3 sierpnia 1922 r. o trzy dekanaty chełmińskie. Niespełna rok później, 14 maja 1923 r., decyzją Stolicy Apostolskiej delegatura została przemianowana na administraturę apostolską, stając się samodzielnym terytorium administracji kościelnej. W październiku 1926 r. jej siedzibę przeniesiono z Tuczna do Piły. Kolejną ważną datą w dziejach delegatury stał się dzień 13 sierpnia 1930 r., kiedy to Pius XI bullą *Pastoralis nostris officii* utworzył w Pile Wolną Przełaturę Piłską (łac. Territorialis Praelatura Schneidemuhleensis, niem. Freie Prälatur Schneidemühl).

I właśnie na terenie przełatury już w sierpniu 1939 r. rozpoczęły się aresztowania polskich działaczy społecznych i narodowych, w tym kapłanów, na skalę masową zaś – po wybuchu wojny. Stali się oni pierwszymi ofiarami niemieckiego terroru. Ocenia się, że ok. 2 tys. członków Związku Polaków w Niemczech zostało osadzonych w obozach koncentracyjnych, głównie w Sachsenhausen i Ravensbrück¹.

Katolicy stanowili tylko 30 proc. mieszkańców na tym obszarze, przede wszystkim na ziemi złotowskiej. Parafie z największym odsetkiem Polaków znajdowały się w Buczku Wielkim, Głubczynie, Krajence, Radawnicy, Sławianowie, Zakrzewie i Złotowie. Proboszczami, z wyjątkiem Złotowa i Krajenki, byli Polacy. I właśnie m.in. te parafie były ośrodkami walki o zachowanie narodowej tożsamości.

¹ A. Ohm, A. Pukajło, H. Seferens, *Polska mniejszość w KZ 1939–1945. Działacze i działaczki polskich organizacji w Rzeszy Niemieckiej w obozach koncentracyjnych Sachsenhausen i Ravensbrück*, Berlin 2013, s. 7.



Ks. dr Bolestaw Domański, ok. 1918 r.
Fot. ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Pile

Na czele polskich kapłanów zaangażowanych w akcję narodową stał ks. Bolesław Domański z Zakrzewa. Jego plebanię Niemcy nazywali „twierdzą polskości”. W latach 1918–1920 ks. Domański wraz z liczną grupą działaczy zaangażował się w walkę o przyłączenie ziemi złotowskiej do odradzającej się Rzeczypospolitej. Gdy to się nie udało, zaprotestował przeciwko lansowanemu przez rząd polski hasłu masowej reemigracji Polaków do II Rzeczypospolitej. Nie przyjął także propozycji przeniesienia go do Torunia, na wyższe stanowisko kościelne. Twierdził, że „zdradę narodową popełnia ten, kto opuszcza ojcowiznę”. Został 9 lutego 1933 r. wybrany na prezesa Związku Polaków w Niemczech. Ukoronowaniem jego aktywności na polu narodowym i społecznym był I Kongres Związku Polaków w Niemczech, który odbył się w Berlinie 6 marca 1938 r. W przemówieniu inauguracyjnym ks. Domański przedstawił „pięć prawd Polaka”, do dzisiaj będących punktem odniesienia dla naszych rodaków żyjących poza Ojczyzną: „Jesteśmy Polakami; Wiara Ojców naszych jest wiarą naszych dzieci; Polak Polakowi Bratem!; Co dzień Polak Narodowi służy; Polska Matką naszą – nie wolno mówić o Matce źle!”.

Do wyróżniających się w działalności społecznej i narodowej kapłanów należeli także ks. Maksymilian Teodor Grochowski z Głubczyna,

ks. Władysław Paszki ze Sławianowa i ks. Alfons Sobierajczyk z Wielkiego Buczka. Księża Domański i Grochowski znani byli nie tylko na Pograniczu, ale i w całych Niemczech. Angażowali się w działalność Związku Polaków, polskich stowarzyszeń szkolnych, patronowali spółdzielniom zarobkowym, organizowali przedszkola, szkoły, biblioteki, parafialne chóry. Starali się łagodzić politykę germanizacyjną prowadzoną przez niemieckich przełożonych, zwłaszcza przez kolejnych rządów pałatury, którzy przydzielali

Kościół w Zakrzewie.
Fot. ze zbiorów Muzeum
Okręgowego w Pile





Dzień Pieśni Polskiej w Zakrzewie, 1935 r. Fot. ze zbiorów Muzeum Okręgowego w Pile

polskim proboszczom niemieckich wikarych. Ci z kolei próbowali prowadzić nabożeństwa w swoim języku oraz agitowali przeciwko polskim szkołom.

Narodowo-społeczne zaangażowanie polskich kapłanów oczywiście nie uszło uwadze Niemców. Duchowni ci byli szykanowani jeszcze przed wybuchem wojny (oprócz ks. Domańskiego, który zmarł 21 kwietnia 1939 r.), a po jej rozpoczęciu wszyscy przeszli przez hitlerowskie więzienia.

Ksiądz Grochowski został proboszczem w Głubczynie w 1908 r. Dał się poznać jako inicjator wielu akcji duszpasterskich oraz gorący patriota i społecznik. Był aktywnym działaczem Związku Polaków w Niemczech i aż do śmierci pełnił funkcję prezesa okręgu złotowskiego. Działał także w Polsko-Katolickim Stowarzyszeniu Szkolnym i w Związku Polsko-Katolickich Towarzystw Młodzieżowych. Ścisłe współpracował z ks. Domańskim. Po jego śmierci został wybrany na prezesa Związku Polaków w Niemczech. Był też publicystą „Gazety Olsztyńskiej” oraz „Głosu Pogranicza i Kaszub”, gdzie zamieszczał artykuły o tematyce patriotycznej.

Niemcy aresztowali ks. Grochowskiego 25 sierpnia, a 11 września uwięzili go w Złotowie. Kolejnym miejscem odosobnienia stał się dla niego hitlerowski obóz dla jeńców cywilnych „Albatros” w Pile zorganizowany przez Tajną Policję Państwową. Funkcjonował od połowy września do 6 grudnia i mieścił się w hali nieczynnego zakładu lotniczego „Albatros”. Sędziwego starca poddano licznym szykanom i torturom. Był bity i poniewierany przez żołnierzy Wehrmachtu. Głodzono, zmuszano do ciężkiej pracy fizycznej i przeznaczono do transportu do obozu

koncentracyjnego Sachsenhausen. Ponieważ był już bardzo chory, zaopiekowała się nim mieszkanka Piły – Helena Jasińska, która „wyniosła go z barłogu do samochodu, w domu umyła i oczyściła, sprowadziła lekarza”². Jej zdaniem, Niemcy zrezygnowali z osadzenia ks. Grochowskiego w Sachsenhausen, gdyż chodziło im jeszcze o zachowanie pozorów, by tak wybitny przedstawiciel Polonii, pełniący wówczas funkcję prezesa Związku Polaków w Niemczech, nie zmarł w obozie. Wreszcie ks. Grochowskiego umieszczono w szpitalu w Tucznie, gdzie zmarł 7 listopada 1939 r. Pochowano go pod nadzorem gestapo na cmentarzu parafialnym w Głubczynie. Dopiero po wojnie urządzono mu uroczysty pogrzeb. Odbył się on w 1947 r. z udziałem władz państwowych i licznie zgromadzonych wiernych. Dziś jego grób zdobią symbole Orła i Rodła, a miejscowa szkoła podstawowa od 1982 r. nosi imię właśnie ks. Mateusza Grochowskiego.

Księżda Paszkę aresztowano 11 września wraz z innymi działaczami Związku Polaków w Niemczech. W Słowianowie pracował on ponad czterdzieści lat. Znany był z płomiennych kazań odpustowych wygłaszanych w języku polskim. W roku 1920 był inicjatorem i autorem petycji o przyłączenie tego regionu do Polski, którą przedłożono Międzynarodowej Komisji Granicznej. Był bliskim współpracownikiem ks. Domańskiego. Wraz z ludnością swojej parafii czynił starania o otwarcie polskiego przedszkola i szkoły. Jego konsekwentny upór doprowadził te wysiłki do sukcesu w 1929 r. Jak czytamy w jednym z opracowań, „parafianie widzieli w nim nie tylko gorliwego duszpastera, ale i doradcę, opiekuna i wzór Polaka”³.

Kapłan 14 września trafił do KL Sachsenhausen, skąd został zwolniony w 1940 r. Wobec zakazu powrotu do parafii osiedlił się w Jastrowiu. Niemcy zabronili mu głosić kazań w języku polskim. Do Sławianowa wrócił w maju 1947 r. już jako emeryt. Zmarł w Zakrzewie 9 lutego 1952 r. Został pochowany na cmentarzu parafialnym obok ks. Domańskiego.

Kolejną ofiarą Niemców był ks. Alfons Sobierajczyk, działacz oświatowy i orędownik polskości. Aresztowano go również 11 września, a trzy dni później przewieziono do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Rok później, 14 grud-

² Relacja Antoniego Jaśka, w: E.J. Osmańczyk, *Niezłomny proboszcz z Zakrzewa. Rzecz o Księdzu Patronie Bolesławie Romańskim*, Warszawa 1989, s. 309.

³ Por. H. Mross, *Słownik biograficzny kapłanów Diecezji Chełmińskiej wyświęconych w latach 1821 -1920*, Pelplin 1995, s. 234.

nia 1940 r., stał się więźniem Dachau (nr 22529). Nie wytrzymał obozowych katuszy i zmarł 21 maja 1941 r. Urnę z jego prochami, otrzymaną z obozowego krematorium, złożono w grobowcu rodzinnym w Złotowie. Po wojnie pamięć ks. Sobierajczyka uczcili również parafianie z Buczka, fundując ku jego czci na miejscowym cmentarzu cenotaf.

Także 11 września aresztowano ks. Józefa Stypa-Rekowskiego, kierownika Polskiego Katolickiego Towarzystwa Szkolnego w Berlinie. Jurysdykcyjnie należał on do duchowieństwa prałatury. Tak ks. Stypa-Rekowskiego wspominał bp Franciszek Korszyński: „Zaareztowany już w dniu 11. IX. 1939 r., przebywał w więzieniu w Berlinie, w obozie Sachsenhausen i wreszcie w Dachau. Tutaj mieszkając w bloku księży niemieckich, budował hartem ducha, uprzejmością i uczynnością. Słowem i przykładem działał na korzyść Kościoła w Polsce. Dla swojego szwagra śp. Ryszarda Knowały, był natchnieniem oraz podporą w jego polskości i katolickiej postawie”⁴.

Ksiądz Styp-Rekowski został zwolniony z obozu 10 kwietnia 1945 r. na krótko przed jego wyzwoleniem. Po wojnie pracował jako duszpasterz Polaków w Niemczech na terenie Wittenbergii, Bawarii, Badenii i Nadrenii. Zmarł w Trewirze w 1969 r.

Przez obóz koncentracyjny przeszedł także ks. Antoni Leon Binder, proboszcz w Dąbrówce Wielkopolskiej. Aresztowano go 12 września 1939 r. i przetransportowano do obozu Sachsenhausen. Później, 14 grudnia 1940 r., trafił do Dachau, gdzie otrzymał numer obozowy 22633. Zmarł 28 stycznia 1952 r. w Dąbrówce Małej.

Szykanom niemieckim poddawani byli także wierni świeccy i kapłani niemieccy. Ponadto katolicy niemieccy przeszli swoją drogę krzyżową w ostatnich miesiącach wojny, doświadczając prześladowania ze strony Armii Czerwonej. Niektórzy z nich są dziś, jako męczennicy, kandydatami na ołtarze.

⁴ Por. F. Korszyński, *Jasne promienie w Dachau*, Poznań – Warszawa 1985, s. 210.



Ks. Jarosław Wąsowicz (ur. 1973) – salezjanin, doktor historii, publicysta. Autor książek: *Niezależny ruch młodzieżowy w Gdańsku w latach 1981–1989* (2012); *Ksiądz Ignacy Błażewski SDB (1906–1939). Twórca oratorium w Rumi i męczennik za wiarę* (2017) i in.



Żołnierze niemieccy w okolicach
Zambrowa, 11 września 1939 r.
Fot. ze zbiorów Regionalnej Izby
Historycznej w Zambrowie

Krzysztof Sychowicz

Od niemieckiego do sowieckiego totalitaryzmu

Ziemia łomżyńska w 1939 roku

Jak pokazał wrzesień 1939 r., II Rzeczpospolita miała dwóch zagorzałych wrogów – hitlerowskie Niemcy i Związek Sowiecki. Polskie ziemie stały się przedmiotem przetargów tych państw, a tajny protokół z 23 sierpnia 1939 r., dołączony do paktu Ribbentrop-Mołotow, ustalał linię podziału Polski.

Walki z Niemcami i okupacja niemiecka

W ramach przygotowań do mającej wybuchnąć wojny, na ziemi łomżyńskiej rozlokowane zostały oddziały Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”, nad którą dowództwo objął gen. bryg. Czesław Młot-Fijałkowski. W skład 18. Dywizji Piechoty, działającej w ramach tej grupy, wchodziły: broniący odcinka Nowogród – Łomża 33. pp, stacjonujący w Zambrowie 71. pp, Mazowiecka Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii i 18. dywizjon artylerii ciężkiej.

Już od pierwszych dni wojny lotnictwo niemieckie atakowało z terenu Prus Wschodnich nie tylko oddziały SGO „Narew”, ale także miasta i wsie. W Łomży 1 września Niemcy zbombardowali rejon dworca kolejowego oraz kompleks koszarowy 71. pp i magazyny mobilizacyjne w Zambrowie. Jednocześnie doszło do przerwania granicy w rejonie placówki Straży Granicznej koło Myszynca. Wzdłuż osi szosy Łomża – Stawiski i z rejonu folwarku Pokrzywy 7 września 1939 r. wyszło pierwsze niemieckie natarcie na pozycje obronne łomżyńskiego przedmościa. Atakujący stracili ponad 50 proc. ludzi i wycofali się w kierunku spalonego Czarnocina oraz Elźbiecina i Kisielnicy. Tego dnia z Łomży ewakuowała się policja i żandarmeria. W tym samym czasie w Piątnicy oddział niemiecki, chcąc zaskoczyć obrońców, próbował zająć późnym wieczorem polskie pozycje¹. Zacięte walki trwały także następnego dnia. Kilkakrotnie trafiony został most na Narwi, jednak na tyle niegroźnie, że do wieczora zdołano go naprawić. Ponownie, jak przed dziewiętnastu laty, ludność cywilna miasta wzięła na swoje barki troskę o aprowizację walczących żołnierzy. Dostarczano pożywienie, wodę, naczynia, odzież, kobiety zajęły się przygotowaniem posiłków².

W okolicy Nowogrodu do 7 września 1939 r. prowadzone były jedynie działania rozpoznawcze. W następnym dniu doszło jednak do ostrzelania pozycji zajmowanych przez broniących go żołnierzy 3. batalionu 33. pp, a następnie do sforsowania przez Niemców będącej naturalną barierą rzeki. Dzięki bohaterskiej postawie żołnierzy polskich zajmowane pozycje zostały utrzymane, nie udało się jednak nie dopuścić do usadowienia się przeciwnika na lewym brzegu Narwi. Walki były prowadzone także w następnych dniach, kiedy to Niemcy kontynuowali rozpoczęte wcześniej natarcie na Nowogród. Pomimo wspaniałej obrony tym razem nieprzyjacielowi udało się opanować część miasta. Kolejne natarcie miało miejsce 10 września przed południem, kiedy Niemcy – którzy całkowicie panowali w powietrzu – ruszyli do ataku, ostrzeliwując polskie pozycje pociskami artyleryjskimi. Ostatecznie przełamali naszą obronę pod Szablakiem i opanowali Nowogród. Usadowili się również na wzgórzach w okolicy miasta oraz zajęli Mątwicę. Dzięki kontratakowi 42. pp udało się odbić tę ostatnią miejsc-

¹ M. Kaczyński, *Wrzesień 1939 roku w regionie łomżyńskim*, [w:] *Łomża na przestrzeni dziejów*, red. K. Sychowicz, Łomża 2018, s. 217–219.

² M. Laszczkowski, *Ziemia łomżyńska w latach wojny i okupacji 1939–1945*, Warszawa 2003, s. 21.

wość; na przedpolach Nowogrodu został on jednak zatrzymany³. W tym czasie niemieckie oddziały szturmowe rozprawiły się z żołnierzami kompanii fortecznej ciężkich karabinów maszynowych, tkwiącymi w izolowanych schronach nad rzeką. Pod Pniewem żołnierze 4. kompanii bez trudu radzili sobie z próbami przejścia rzeki przez patrole wroga. Sytuacja polskich oddziałów była jednak krytyczna⁴. Na trwałe zapisała się w historii postać kpt. Władysława Raginisa, do końca broniącego zajmowanych pozycji w rejonie Wizny.

Dla obrońców Łomży 9 września był dniem spokojnym, ale czołowe oddziały niemieckie już wieczorem przeszły przez linię umocnień pod Wizną. Oddziały 20. Dywizji Zmotoryzowanej posuwały się drogą Wizna – Mężenin – Łomża, zmierzając w kierunku Zambrowa. W okolicach tej miejscowości stoczyły swe ostatnie boje brygady kawalerii Suwalska i Podlaska oraz 18. Dywizja Piechoty. Nie mogły one jednak, mimo odnoszonych pojedynczych sukcesów, wpłynąć na ostateczne losy prowadzonych działań. Dowódca Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew” gen. Czesław Młot-Fijałkowski 10 września ok. 15.00 zdecydował o odwołaniu całości zgrupowania w kierunku Zambrowa. Do godzin południowych 11 września nie było już w Łomży polskiego wojska⁵. W dniu tym weszły do miasta wojska niemieckie. Następnego dnia Niemcy podpalili kilka domów mieszkalnych w dzielnicy zamieszkałej przez Żydów, a także okazałą synagogę⁶.

Jednym z ważniejszych, a zarazem jednym z ostatnich wydarzeń kampanii wrześniowej na ziemi łomżyńskiej była nieudana próba wyrwania się 12 września 1939 r. z okrążenia pod Andrzejewem piechoty dowodzonej przez płk. Stefana Kosseckiego. Następnego dnia, wobec beznadziejnej sytuacji taktycznej i wyczerpania amunicji, w Łętownicy skapitulował płk Witold Sztark. Wzięci w trakcie walk do niewoli polscy żołnierze z 33., 71. i 18. pp zostali zgromadzeni na koszarowym placu ćwiczeń w Zambrowie. W nocy z 13 na 14 września na leżących nieruchomo i oświetlonych

³ A. Dobroński, *33. pułk piechoty*, Pruszków 1994, s. 32–38.

⁴ M. Kaczyński, *Wrzesień 1939 roku...*, s. 222.

⁵ A. Dobroński, *33. pułk piechoty...*, s. 39; L. Stanek, *Wrzesień 1939 r. Opracowanie pła Sztabu Generalnego Lucjana Stanka dowódcy 33. pp w Łomży Strzelców Kurpiowskich, na podstawie wspomnień własnych i dokumentacji*, Częstochowa 1975, s. 190–192; M. Laszczkowski, *Ziemia łomżyńska...*, s. 25.

⁶ C. Brodzicki, *Łomża i powiat łomżyński w latach drugiej wojny światowej i trudnych latach powojennych*, Warszawa 2004, s. 20.

reflektorami samochodowymi jeńców wpadły spłoszone konie z taboru. Żołnierze podnieśli się, chcąc uniknąć stratowania, a wówczas Niemcy otworzyli do nich ogień. Liczba zamordowanych w trakcie tych wydarzeń jeńców nie jest znana i wedle różnych źródeł waha się od 50 do kilkuset. Chociaż w składanych relacjach wiele osób wspominało o zabitych żołnierzach polskich, to nikt nie widział ich ciał⁷.

Nie była to jedyna zbrodnia popełniona na tych terenach przez oddziały niemieckie we wrześniu 1939 r. Wspomnieć też trzeba o aresztowaniu 10 września dwudziestu osób ze wsi Wiśniewo. Po upływie około doby do pomieszczenia w zambrowskim więzieniu, w którym ich osadzono, wrzucono granaty (osiem osób zginęło, a pozostali zostali ranni). Tym, którzy przeżyli, Niemcy nie pozwolili powrócić do domów, lecz wywieźli ich do pracy w Prusach. Z kolei 20 września oddziały SS rozstrzelały dziesięciu mężczyzn ze wsi Dębniki (gm. Rutki), a kolejnych dwunastu wywieziono na przymusowe roboty do III Rzeszy⁸.

Nie oznaczało to zakończenia walk, gdyż grupy żołnierzy i oficerów z rozbitych oddziałów nie złożyły broni. W lasach Czerwonego Boru działały grupy żołnierzy 33. pp oraz mniejsze grupy z innych oddziałów. Jedną z nich (ok. 150 osób) pod dowództwem por. Adama Łempickiego dotarła 14 września do lasu w okolicach Giełczyna k. Łomży. Mieszkańcy wioski zaopiekowali się polskimi żołnierzami. Po kilku dniach część z nich odeszła do swoich domów⁹.

Okupacja sowiecka

Drugi etap dramatu miejscowej ludności związany był z realizacją paktu Ribbentrop-Mołotow i wkroczeniem 17 września 1939 r. na wschodnie tereny Polski wojsk sowieckich. Armia Czerwona zajmowała te obszary pod hasłem wyzwolenia „spod panowania polskich panów”, podczas gdy cały region łomżyński przed 17 września

⁷ AIPN Bi, 1/29 Zambrów, Protokół przesłuchania Michała Szymańskiego 6 XI 1967, s. 2 i nast.; *ibidem*, 1/1959 Ankiety, Zambrów; S. Datner, *Zbrodnie Wehrmachtu na jeńcach wojennych armii regularnych w II wojnie światowej*, Warszawa 1961, s. 53; A. Małanowska, *Z dziejów walk z okupantami w powiecie zambrowskim w latach 1939–1945*, Warszawa 2003, s. 17.

⁸ AIPN Bi, 1/1959, Ankiety, Wiśniewo, Dębniki; *ibidem*, 1/931, Protokoły przesłuchania Jadwigi Godlewskiej, Kazimierza Kalinowskiego, Romualda Kruszewskiego, Antoniego Komorowskiego, s. 4 i nast.

⁹ C. Brodzicki, *Łomża i powiat łomżyński...*, s. 21–22; A. Łempicki, *Pod Norwogrodem, Łomżą, Zambrowem i Andrzejewem*, „Ziemia Łomżyńska” 1987, nr 3.

1939 r. był już zajęty przez Niemców. W wyniku dodatkowych porozumień wojska niemieckie opuściły 22 września Białystok, a następnie pozostałe obszary Białostoczczyzny i regionu łomżyńskiego. W ślad za nimi nadciągnęły jednostki nowego okupanta, które w następnych dniach zajęły Rajgród, Grajewo, Sokoły i Wysokie Mazowieckie¹⁰.

Według informacji zawartych w dzienniku działań bojowych 10. Armii, 29 września o 18.00 jej oddziały wyszły na linię Szczuczyn – Kolno – Łomża – Małkinia – Kossów i otrzymały zakaz przekraczania wschodniego brzegu rzeki Pisy i Narwi. Natomiast 5. Armia, składająca się z 4. i 13. Dywizji Strzeleckiej, otrzymała polecenie ześrodkowania się w rejonie: Zambrów, Czyżew, Nur, Ciechanowiec, przy czym ta ostatnia miała wysłać jeden pułk do Zambrowa. W następnych dniach jej oddziały czołowe zostały wysunięte na linię szosy Zambrów – Czyżew, a wzmocnioną kompanię wysłano do Andrzejewa¹¹. Działania te doprowadziły do stabilizacji linii granicznej pomiędzy wojskami niemieckimi i sowieckimi oraz dały początek trwającej prawie dwa lata okupacji sowieckiej.

Warto wspomnieć, że 26 września samolot sowiecki zrzucił na Łomżę ulotki oczerniające rząd polski i obiecujące dobrobyt w „nowym ustroju społecznym”¹². Trzy dni później w godzinach rannych oddział zmotoryzowany i 28. pułk czołgów z 10. Armii zajęły miasto¹³. Wojska sowieckie ulokowały się na terenie i w pobliżu koszar, a także na wprost stadionu¹⁴.

We wrześniu 1939 r. wiele kamienic i zakrystia katedry w Łomży leżały w gruzach po niemieckich bombardowaniach. Przy wycofywaniu się oddziałów polskich został wysadzony żelazny most na Narwi. Budynek kurii biskupiej zajął sztab wojsk sowieckich. Również w Zambrowie pełno było sowieckiego wojska. Żołnierze Armii Czerwonej zajęli przedwojenne polskie koszary oraz mieszkania oficerów¹⁵.

¹⁰ M. Gnatowski, *W radzieckich okowach. Studium o agresji 17 września 1939 r. i radzieckiej polityce w regionie łomżyńskim w latach 1939–1941*, Łomża 1997, s. 136; D. Karolkiewicz, „Wolna Łomża”. *Oblicze radzieckiej propagandy w Łomżyńskiem w okresie 1939–1941*, Łomża 2002, s. 10 i nast.

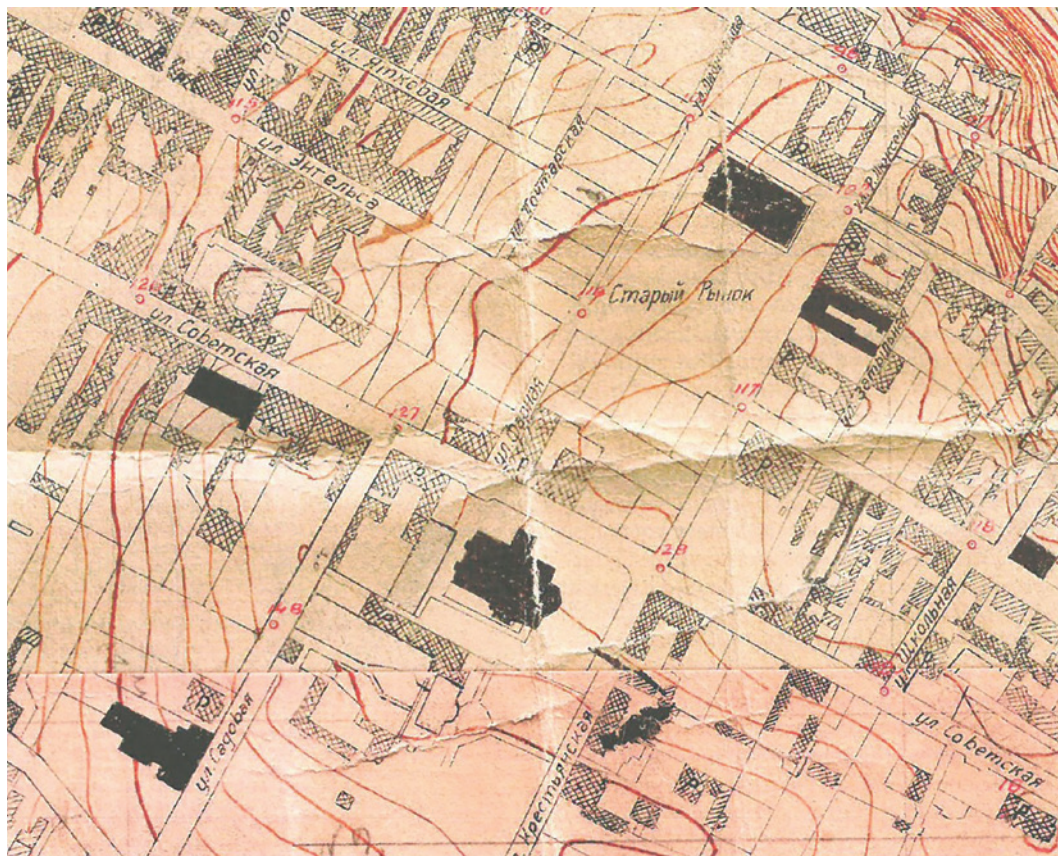
¹¹ *Dziennik działań bojowych Frontu Białoruskiego we wrześniu 1939 r.*, oprac. C. Grzelak, Warszawa 1998, s. 200 i nast.

¹² M. Laszczkowski, *Ziemia łomżyńska...*, s. 37.

¹³ M. Gnatowski, *W radzieckich okowach...*, s. 136.

¹⁴ M. Laszczkowski, *Ziemia łomżyńska...*, s. 37.

¹⁵ S. Kossakowski, *Byłem adiutantem „Mścistawa”*, Rajgród 1999, s. 30 i nast.



Fragment planu Łomży z 1940 r. z nowo nadanymi przez sowieckiego okupanta „słusznymi” nazwami ulic.
Fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego w Białymstoku Oddział w Łomży

Komunistów, na których mogłyby oprzeć się władze sowieckie, w Łomżyńskim prawie nie było. Nie było tu też Białorusinów i nowemu okupantowi pozostały tylko osoby przysłane z terenów Związku Sowieckiego oraz biedota żydowska. Komisarz bolszewicki kilkunastu z nich oznaczył czerwonymi opaskami na rękawach, jako milicję, oddając im tymczasowy zarząd miasta. Niemal od początku pogorszyły się też stosunki polsko-żydowskie. W następnych dniach na ulicach Łomży widać było młodych Żydów z karabinami, którzy wstąpili do „czerwonej” milicji i nawoływali ludność polską do wywieszenia czerwonych flag¹⁶.

Szokiem dla mieszkańców był wygląd „zwycięzców”, szczególnie piechoty ubranej w postrzępione sznytele, worki zamiast plecaków, karabiny na parczanych pasach, a czę-

¹⁶ C. Brodzicki, *Łomża i powiat łomżyński...*, s. 27, 29.

sto na sznurkach. Za nimi do miasta wkroczyły wojska NKWD, które zajęły budynki przy ul. Polowej, a także w kilku innych punktach miasta. W podziemiach budynku, w którym przed wojną mieszkał gen. Młot-Fijałkowski, urządzono tymczasowy areszt śledczy. W każdej z piwnic osadzono niebawem po kilkadziesiąt osób. W kolejnych dniach zainstalowano w Łomży posterunki „milicji robotniczo-chłopskiej”, m.in. przy ul. Wiejskiej. Od 5 października zaczęło się ukazywać pismo „Wolna Łomża”, liczące od 2 do 8 stron, będące narzędziem propagandy komunistycznej. W 1939 r. wydawał je Tymczasowy Zarząd na Miasto Łomżę i Powiat Łomżyński, a od 1940 r. Łomżyński Rejonowy Komitet KP(b) i Rejonowy Komitet Wykonawczy¹⁷. Na przewodniczącego Gorispolkomu (zarządu miasta) w Łomży władze partyjne wyznaczyły Jana Turlejskiego, bezwzględnego realizatora polityki sowieckiej¹⁸.

Ławrientij Beria 2 listopada 1939 r. rozkazem 001337 „O organizacji organów NKWD Zachodniej Białorusi” polecił m.in. zorganizować Zarząd NKWD w obwodzie białostockim, któremu podlegały miejskie i powiatowe oddziały z siedzibami w Augustowie, Białymstoku, Bielsku Podlaskim, Grodnie, Łomży, Sokółce, Szczuczynie (Grajewie), we Wołkowysku i w Wysokiem Mazowieckiem. Nad „porządkiem” czuwały również miejska i rejonowe prokuratury, które ściśle współpracowały z NKWD i NKGB. W 1940 r. powołane zostały m.in. w Łomży, Białymstoku i Grodnie sądy ludowe¹⁹.

Bardzo szybko w Łomży i innych miastach „zainstalowały się” sowieckie służby bezpieczeństwa. Niebawem też rozpoczęto tworzenie administracji cywilnej, zdecydowanie różniącej się pod względem terytorialnym od przedwojennego podziału administracyjnego. W latach 1939–1941 w regionie łomżyńskim we władzach terenowych dominowali przede wszystkim Rosjanie, Żydzi i Białorusini. Na czele wszystkich urzędów stali Rosjanie, a Polacy pełnili tylko funkcje podrzędne; musieli przede wszystkim znać język rosyjski, pochodzić z biedoty i wykazywać sympatię do nowej władzy²⁰.

¹⁷ M. Laszczkowski, *Ziemia łomżyńska...*, s. 38.

¹⁸ *Ibidem*, s. 41–42.

¹⁹ M. Gnatowski, *Niepokorna Białostoczczyzna*, Białystok 2001, s. 45–46.

²⁰ D. Karolkiewicz, „*Wolna Łomża*”. *Oblicze radzieckiej propagandy...*, s. 22; H. Milewski, *Sytuacja poprzedzająca zesłanie i warunki bytowe zesłańców polskich w ZSRR w latach 1940–1946*, „*Studia Łomżyńskie*” 1995, t. V, s. 110.

Polacy stawili opór sowieckiemu okupantowi już w pierwszych dniach jego obecności. Po bitwie pod Andrzejewem z oddziałów, którym udało się przedrzeć przez pierścień niemiecki, powstało kilka grup partyzanckich²¹. Jedna z nich miała swą bazę na uroczysku „Kobielno” w środkowym biegu Biebrzy. Przybyły z Warszawy pod koniec 1939 r. Aleksander Burski rozbudował ten oddział, a następnie scalił go ze Związkiem Walki Zbrojnej. Oddział dokonywał wypadów przede wszystkim w celu zdobywania broni i amunicji oraz wykonywał wyroki na kolaborantach i agentach NKWD. Rankiem 23 czerwca 1940 r. Sowietci otoczyli uroczysko. Starcie skończyło się klęską Polaków²². Została wówczas schwytana m.in. Łucja Chojnowska. Jej siostra zginęła w trakcie walk na uroczysku, ona natomiast trafiła do więzienia w Białymstoku, a następnie do Mińska. Bitwa w trakcie przesłuchań, została ostatecznie skazana na pięć lat obozu pracy²³.

Prawdopodobnie już w październiku 1939 r. powstała w Łomży grupa konspiracyjna złożona z uczennic gimnazjalnych i miejscowych harcerzy, której członkowie 11 listopada 1939 r. rozrzucili ulotki na terenie gimnazjum²⁴. W mieście odbyły się też dwa strajki szkolne. Pierwszy, 8 grudnia 1939 r., zorganizowała grupa kierowana przez hm. Jana Majewskiego. Miał on związek z wiadomością o śmierci nauczyciela-harcerza Stefana Woyczynskiego oraz ze świętem harcerstwa łomżyńskiego. Drugi wybuchł w styczniu 1940 r. z powodu przekształcenia gimnazjum w dziesięciolatkę²⁵.

Opór wobec nowego okupanta miał też miejsce w innych szkołach łomżyńskich. W szkole średniej przy ul. Stacha Konwy uczennice usiłowały uratować przed spalaniem m.in. dzieła Adama Mickiewicza. W wyniku donosu dyrektorki Sury Malinowicz zostały one aresztowane, a księgozbiór zniszczono²⁶. Z kolei absolwent Szkoły Handlowej Stanisław Cieślak został zastrzelony przez NKWD podczas próby ucieczki. W rejonie zambrowskim za udział w organizacji podziemnej zostali aresz-

²¹ T. Strzembosz, *Opór wobec okupacji sowieckiej w Zachodniej Białorusi 1939–1941*, [w:] *Studia z dziejów okupacji sowieckiej (1939–1941): obywatele polscy na kresach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką w latach 1939–1941*, red. nauk. T. Strzembosz, Warszawa 1997, s. 211

²² AIPN Bi, 1/954, Protokół przesłuchania Łucji Chojnowskiej 22 XI 1991 r., s. 7.

²³ T. Strzembosz, *Opór wobec okupacji sowieckiej w Zachodniej Białorusi 1939–1941...*, s. 139.

²⁴ *Ibidem*, s. 132.

²⁵ *Ibidem*.

²⁶ H. Milewski, *Sytuacja poprzedzająca zesłanie...*, s. 111.

towani mieszkańcy wsi Wnory-Wiechy: Józef Saniewski, Aleksander Stypułkowski, Karol Stypułkowski, Władysław Stypułkowski i Józef Wnorowski²⁷.

Patriotyczna postawa ludności polskiej już od późnej jesieni 1939 r. umożliwiła powstanie na ziemi łomżyńskiej zrębów konspiracji Związku Walki Zbrojnej. Część oddziałów partyzanckich wywodzących się z żołnierzy jednostek rozbitych w trakcie walk we wrześniu działała m.in. na Bagnach Biebrzańskich. W okolicach Zambrowa jedna z pierwszych placówek Służby Zwycięstwu Polski powstała w Krajewie Starym, a jej współorganizatorem był ppor. rezerwy Jan Buczyński. Kontakty nawiązywano przede wszystkim z żołnierzami, którzy walczyli we wrześniu, brakowało jednak oficerów i podoficerów służby stałej. W trakcie dalszej działalności do współpracy wciągnięto mieszkańców wsi Krajewo Stare, Krajewo-Ćwikły, Zakrzewo i Łady Polne, gdzie do konspiracji przystąpił Stefan Kotowski. We wsi Grzymały z Zygmuntem Przeździeckim współpracowali: Antoni Rzemianowski, Tadeusz Tarnowski i st. kpr. Ryszard Mierwiński. W Łętownicy komórkę zorganizował Franciszek Ościłowski. Na terenie gminy Szumowo do SZP należeli: Antoni Jarkowski oraz nauczycielka ze wsi Radwany, Zofia Wiśniewska i jej mąż Jan²⁸.

W okolicach Łomży, Grajewa i Szczuczyna organizacje niepodległościowe tworzyli: por. Franciszek Skowronek „Franciszek”, „Jackowski” (mieszkał w Krajewie Czerwonym, wsi położonej między Zambrowem a Czerwonym Borem, zginął w marcu 1941 r. po walce z otaczającą go grupą żołnierzy NKWD)²⁹, ppor. Stanisław Cieślewski „Lipiec” i ppor. Stanisław Koniuszy „Stanisław”. Po 20 września 1939 r. również kpt. Leon Stok i por. Kazimierz Budny rozwiązyali swoje oddziały i przystąpili do tworzenia siatki konspiracyjnej w okolicach Giełczyna, Łomży i Zambrowa, a następnie Kolna, Śniadowa i Wysokiego Mazowieckiego³⁰.

Już w połowie grudnia 1939 r. dokonano pierwszych dywersji na liniach łączności. Druty między Łomżą a Rutkami oraz Łomżą i Białymstokiem zostały przecięte 15 grudnia³¹, 22 grudnia przerwano łączność między Łomżą a Nowogrodem, a 23 grudnia między Wizną i Zawadami. Przez cały czas grupy

²⁷ T. Strzembosz, *Opór wobec okupacji sowieckiej w Zachodniej Białorusi 1939–1941...*, s. 193.

²⁸ A. Malanowska, *Z dziejów walk z okupantami...*, s. 20 i nast.

²⁹ S. Kossakowski, *Byłem adiutantem...*, s. 58.

³⁰ M. Gnatowski, *W radzieckich okowach...*, s. 175 i nast.

³¹ *Ibidem*, s. 184.

partyzanckie i dywersyjne dokonywały akcji odwetowych i likwidowały współpracowników NKWD. Wykradzono czterdzieści koni wraz z uprzężą i bronią z majątku Jezioroko koło Łomży stacjonującym tam Kozakom. Grupa przebranych w sowieckie mundury partyzantów zabrała ze wszystkich piekarni w Radziłowie chleb, przeznaczony dla Sowietów. Natomiast przed świętami Wielkanocy 1940 r. członkowie podziemia uwolnili z aresztu NKWD w Łomży łącznika Komendy Głównej ZWZ. Latem tego samego roku dokonano zamachu na naczelnika NKWD w Jedwabnem³².

Następowała też dalsza rusyfikacja społeczeństwa. Miejski Komitet Wykonawczy w Łomży 18 stycznia 1940 r. podjął decyzję o zmianie nazw ulic w tym mieście, powołując się na rzekome żądania mas pracujących. W jej wyniku zmieniono al. Piłsudskiego na al. 17 Września, al. Legionów na al. Czerwonoarmiejską, ul. gen. Młota-Fijałkowskiego na ul. Leninowską, ul. Mościckiego na ul. Czapałewa. Zdarzały się jednak przypadki zmian, których nie uzasadniała przytoczona wcześniej argumentacja, jak chociażby Leona Kaliwody na Sadową, Kapucyńskiej na Czerniszewskiego, Stacha Konwy na Marksa oraz św. Mikołaja na Komsomolską³³.

Kampania wrześniowa zakończyła się klęską i nie mogło być inaczej, gdyż kraj nasz był zbyt słaby, aby przeciwstawić się bezwzględny agresorom. Wydarzenie to było też początkiem eksterminacji polskiego społeczeństwa i tragicznych konfliktów narodowościowych podsycanych przez obu okupantów. Łomża i leżące w jej pobliżu miejscowości już na samym początku II wojny światowej przeżyły namiastkę okupacji niemieckiej, a następnie czarny okres rządów sowieckich. Dla mieszkańców tego regionu wojna obronna stanowiła jednak nie koniec, ale początek polskiej drogi do wolności i niezależności.

³² J. Kułak, *Walka zbrojna na Białostoczyźnie*, [w:] *Walka i martyrologia narodowa w latach 1939–1945*, Nadarzyn 1997, s. 10.

³³ M. Gnatowski, *W radzieckich okowach...*, s. 158.



Krzysztof Sychowicz (ur. 1969) – historyk, dr hab., naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Białymstoku, profesor Państwowej Wyższej Szkoły Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży. Autor książek: *Kościół katolicki w województwie białostockim wobec podziemia antykomunistycznego w latach 1945–1953* (2005); *Urząd Bezpieczeństwa w Łomży – powstanie i działalność (1944–1956)* (2009); *Władze komunistyczne wobec Kościołów i związków wyznaniowych w województwie białostockim w latach 1944–1975* (2013) i in.

Waldemar Grabowski

Royal Air Force we wrześniu '39

Czy we wrześniu 1939 r. lotnictwo brytyjskie i francuskie ograniczyło swe bojowe akcje tylko do zrzucania ulotek nad miastami III Rzeszy? Taki właśnie pogląd był formułowany w wielu publikacjach naukowych i popularnonaukowych.

W pracy popularnego i szanowanego autora, prof. Wojciecha Roszkowskiego, znajdujemy jedynie niewielką wzmiankę na temat akcji lotnictwa brytyjskiego i francuskiego¹. Nieco więcej napisał przed laty historyk emigracyjny Józef Garliński. Choć i on nie ustrzegł się błędów, stwierdzając: „Brytyjczycy wyprawiali się ponad Rzeszę wyłącznie w celu zrzucania ulotek nawołujących do zaprzestania wojny. [...] Raz tylko dokonano nalotu na niemiecką bazę morską na wyspie Helgoland, ponosząc duże straty”². Odmiennie przedstawianie działań na froncie zachodnim znajdujemy tylko w nielicznych publikacjach³.

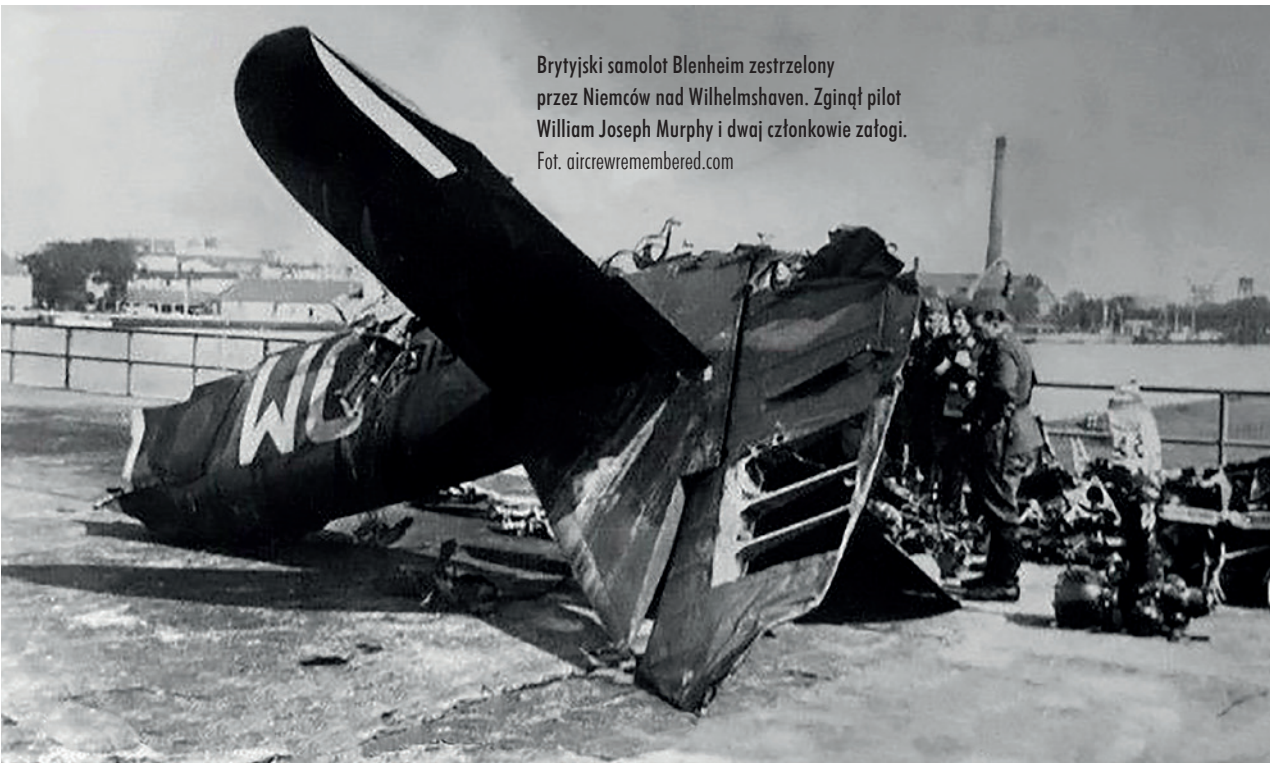
Być może polscy historycy w formułowaniu swoich opinii kierowali się oceną Edgara Jamesa Kingstona McCloughry’ego, wicemarszałka brytyjskiego lotnictwa. Pisał on bowiem w swoich wspomnieniach: „działalność jego ograniczała się do zrzucania ulotek”⁴. Problem w tym, że uwagę tę odniósł do „czołowego zrzutu lotnictwa strategicznego”, a nie do działań wszystkich jednostek Królewskich Sił Powietrznych.

¹ W. Roszkowski, *Najnowsza historia Polski 1939–1945*, Warszawa 2011, s. 13.

² J. Garliński, *Polska w drugiej wojnie światowej*, Londyn 1982, s. 37.

³ T. Pawłowski, *Plan Z i jego realizacja*, „Technika Wojskowa. Historia” 2012, nr 5, s. 13.

⁴ E.J. Kingston McCloughry, *Kierowanie wojną*, Warszawa 1959, s. 113.



Brytyjski samolot Blenheim zestrzelony przez Niemców nad Wilhelmshaven. Zginął pilot William Joseph Murphy i dwaj członkowie załogi. Fot. aircrewremembered.com

Akcje ulotkowe

Brytyjczycy nie tylko na Berlin zrzucili ulotki. W nocy z 3 na 4 września 1939 r. dziesięć bombowców Whitley z dywizjonów nr 51⁵ i 58⁶ przeprowadziło pierwszy nalot na Niemcy, zrzucając ok. 6 mln ulotek na Hamburg, Bremę i Zagłębie Ruhry. Akcję zrzucania ulotek prowadzono intensywnie przez pierwsze dwa tygodnie wojny.

Pierwszą angielską ulotką była dwustronicowa „Warnung”, zrzucana w nocy z 3 na 4 oraz z 8 na 9 września 1939 r.⁷ Brytyjczycy już od kilku lat przygotowywali się do wojny propagandowej. Zgodnie z ustaleniami dowództwa sił powietrznych z września 1938 r., rozpoczęcie akcji ulotkowej powinno nastąpić natychmiast po wypowiedzeniu lub ogłoszeniu wojny oraz przed bombardowaniem wybranej strefy wroga. We wrześniu 1938 r. opracowano tekst ulotki zatytułowanej „A Message to

⁵ Trzy bombowce Whitley dokonały zrzutu ulotek nad północnymi Niemcami.

⁶ Siedem bombowców Whitley dokonało zrzutu ulotek nad Zagłębiem Ruhry. Dwa bombowce rozbiły się przy lądowaniu na terenie Francji.

⁷ K. Kirchner, *Flugblätter aus England 1939/1940/1941. Bibliographie Katalog*, Erlangen 1978, s. 2, 6–7, 276, 363 – tu wykaz operacji lotniczych z miejscami zrzutu ulotek.

the German people from the British people” („Wiadomości dla ludności niemieckiej od ludności brytyjskiej”). W kwietniu 1939 r. zdecydowano, że ulotki mają być zrzucone nad gęsto zaludnionymi terenami (bez ponoszenia nadmiernego ryzyka straty samolotów). Operacja o krypt. „Nickel” miała być prowadzona z terytorium Wielkiej Brytanii, z lotniskami pomocniczymi we Francji, gdzie zamierzano wysłać również Oddział Balonowy nr 1 „M”.

Operacje lotnicze zrzucania ulotek zostały ograniczone po 16 września ze względu na krytyczne uwagi zgłaszane nie tylko przez Polaków. Wysuwano przede wszystkim zarzut nieadekwatności działań brytyjskich, w sytuacji gdy lotnictwo niemieckie bezkarnie bombardowało polskie miasta i wsie. Naczelne dowództwo brytyjskie podjęło decyzję o zaprzestaniu zrzucania ulotek 19 września, ale już dwa dni później zmieniono decyzję. I odtąd RAF przeprowadzał takie akcje dwa lub trzy razy w tygodniu.

Akcje bojowe

Brytyjczycy rozpoczęli też akcje bojowe, wymierzone głównie w niemieckie siły morskie, ponieważ obawiali się, że Kriegsmarine zablokuje Wyspy Brytyjskie. Admiralicja oraz Ministerstwo Lotnictwa przygotowały plan „W.A.7(a)”. Dlatego w bazie Wyton bombowiec Blenheim z obserwatorem z Royal Navy był gotowy do przeprowadzenia fotograficznego rozpoznania portów na północy Niemiec już od 1 września⁸.

Od 2 września w pogotowiu jednogodzinnym znajdowało się sześć dywizjonów wyposażonych w samoloty Hampden. Wieczorem dowództwo bombowców zostało poinformowane, że około północy powinno nastąpić wypowiedzenie wojny Niemcom. W pierwszej kolejności miano przeprowadzić atak na Wilhelmshaven.

Wypowiedzenie wojny nastąpiło o 11.15 w dniu 3 września, a o 12.03 samolot Blenheim Mk IV N6215, którego dowódcą był F/O Andrew McPherson ze 139 Dywizjonu, wystartował do rozpoznania niemieckich portów. Wiadomość o zauważonych okrętach wysłana drogą radiową uległa zakłóceniu, w efekcie została przekazana dowództwu dopiero po wylądowaniu samolotu o 16.50⁹.

⁸ Zob. *The R.A.F. in the bombing offensive against Germany*; t. II: *Restricted bombing September 1939 – May 1941*, London, b.r.w., s. 55–57.

⁹ The National Archives (dalej: TNA), AIR 27/958/2. Załoga, w której skład wchodził Cdr. Thompson, wykonała 75 fotografii niemieckiej bazy. Zob. także R. Holmes, *The Battle of Heligoland Bight 1939. The Royal Air Force and the Luftwaffe's Baptism of Fire*, London 2009, s. 19–20.

O 18.15 do akcji zostało skierowanych osiemnaście samolotów Hampden (dywizjony 44¹⁰, 49¹¹, 50¹² i 83¹³) oraz dziewięć samolotów Wellington (dywizjony 37¹⁴ i 149¹⁵). Wellingtony powróciły do baz o 22.40, a samoloty Hampden dopiero około północy. Okrętów niemieckich nie odnaleziono z powodu burz i zapadających ciemności¹⁶. Od 8.00 dnia następnego w pogotowiu jednogodzinnym znajdowało się 27 bombowców Blenheim z dywizjonów 107¹⁷, 110 i 139. W akcji miało wziąć udział także ośmiu obserwatorów z Dowództwa Obrony Wybrzeża.

Kolejną próbę zbombardowania bazy niemieckiej w Wilhelmshaven Brytyjczycy podjęli 4 września. Piętnaście samolotów typu Blenheim oraz czternaście Wellingtonów z dwóch dywizjonów (9 i 149) wysłano do akcji między 14.40 a 16.10.

Wynik tych działań był nikły. W dokumentach przytoczonych dziesięć lat temu przez Robina Holmesa zapisano: „No. 149 Dywizjon, Mildenhall: L4302 S/Ldr Paul

¹⁰ Dywizjon stacjonował w Paddington. 3 września 1939 r. wystartowało dziewięć Hampdenów na rozpoznanie Morza Północnego. Były to samoloty: L.4183 (W/Cdr. J.N. Boothman, P/O Hunn, Sgt J.C. Chesters, AC1 T. Gibbin); P.1173 (A/F/L T.C. Weir, P/O W.M. Smith, Sgt F. Watson, AC1 W. Brooks); L.4085 (P/O R.J. Sansom, Sgt V. Coveyduck, AC1 H. Humphreys, LAC. W. Crook); L.4089 (P/O H.W. Robson, Sgt E. Reeman, AC1 W. Davidson, AC2 A. Halfpenny); L.4087 (Sgt E. Farmer, Sgt H. Moyle, LAC J. Sugden, AC2 J. Taylor); L.4100 (F/S E. Cook, Sgt C. Nicoll, Sgt D. Seager, AC1 J. Evans); L.4154 (P/O J.A. Stuart, Sgt J. Smyth, Sgt W. Lodge, AC2 A. Coldcott); L.4074 (Sgt W. Jeffrey, Sgt W. Ison, LAC H. Lacey, AC1 F. Preston); L.4171 (P/O D.J. Penman, Sgt W. Hill, AC1 P. Gurnell, AC1 J. Lyttle). Samoloty wystartowały o 18.15–18.30, a powróciły między 23.35 a 00.25 – TNA, AIR 27/447/2, k. 9–10.

¹¹ 3 września 1939 r. dywizjon stacjonował w Scampton. Wystartowały trzy Hampdeny na rozpoznanie Morza Północnego. Były to samoloty: L.4036, L.4040 oraz L.4093; dowodzili nimi F/L G.F. Lerwill, F/O R.A.B. Learoyd, Sgt T.P. Pratt. Samoloty wróciły do bazy o 22.30 – TNA, AIR 27/480/1, k. 7.

¹² Według strony www.raf.mod.uk pierwsza misja bojowa dywizjonu miała miejsce 14 grudnia 1939 r., kiedy to jedenaście Hampdenów brało udział w rozpoznaniu Morza Północnego. Zob. TNA, AIR 27/485/1, k. 7–7v.

¹³ Dywizjon stacjonował również w Scampton. 3 września 1939 r. wystartowało sześć Hampdenów na rozpoznanie Morza Północnego. Zob. TNA, AIR 27/686/1, k. 7–8.

¹⁴ Sześć Wellingtonów poleciało na rozpoznanie Morza Północnego 3 września 1939 r. Były to Wellingtony Mk I o numerach L4328 (F/L L.J.S. Dickins, F/O F.L. Witchfield, Sgt Rootledge, AC Betts, AC Lowe); L4332 (F/S Gray, Sgt McCauley, Sgt Ward, AC Baker, Cpl Wardle); L4352 (F/L Apflesy, F/O Vaucman Williams, P/O MacBonmd, Sgt Norris, AC Barston, AC Clark); L4349 (Sgt Fletcher, Sgt Brown, Sgt Rayne, Cpl Curnow, LAC Nattingman); L4347 (F/O Simmons, P/O Sharp, Sgt Stangway, AC Hill, AC Bowen) – zob. TNA, AIR 27/388/1, k. 7–10.

¹⁵ Trzy Wellingtony rozpoznawały Morze Północne 3 września 1939 r., 4 września osiem Wellingtonów poleciało zbombardować niemieckie okręty w Brunsbuttel. Jeden zrzucił bomby nad celem.

¹⁶ *The R.A.F. in the bombing offensive against Germany*, t. II: *Restricted bombing September 1939 – May 1941*, London, b.r.w., s. 55–57.

¹⁷ Zob. TNA, AIR 27/841/3, k. 15.

Harris – zrzucił bomby na most ponad rzeką Eider; L4265 F/O Bill Macrae – prawdopodobnie zrzucił bomby na Brunsbuttel; L4271 Sgt Heayes – zawrócił, zrzucił bomby w morze; L4229 F/Lt J.B. Stewart – prawdopodobnie zrzucił bomby poza Cuxhaven; L4263 Sgt Harrison – zawrócił, zrzucił bomby w morze; L4272 F/Lt A.G. Duguid – zawrócił, zrzucił bomby w morze; L4374 F/O A.F. Riddlesworth – zawrócił, zrzucił bomby w morze; L4270 F/Sgt Kelly – zawrócił, zrzucił bomby w morze. 9 Dywizjon, Honington: Sekcja nr 1 – zaatakowana przez dziewięć Messerschmittów Bf 109E-1s; L4320 S/Ldr L.S. Lamb¹⁸ – zrzucił bomby na statek handlowy (przypisał sobie myśliwiec); Wellington I – L4268, WS-? – F/Sgt I.E.M. Borley – zestrzelony (zginęła cała załoga, 5 ludzi); Wellington I – L4275, WS-H – F/Sgt A.J. Turner – zestrzelony (zginęła pięcioosobowa załoga). Sekcja nr 4 – spotkała ciężki ogień ze statku obrony przeciwlotniczej: L4278 F/Lt Peter Grant; L4287 Sgt Purdy; L4262 Sgt Bowen¹⁹.

Trzy Blenheimy ze 110 Dywizjonu zaatakowały ciężki krążownik „Admiral Scheer”. W wyniku ich nalotu cztery bomby uderzyły w okręt, ale nie eksplodowały.

Uszkodzony został m.in. krążownik „Emden”. Warto zauważyć, że z tej operacji nie powróciło do baz pięć bombowców Bristol Blenheim²⁰.

W „The Bomber Command War Diaries” o akcjach z 4 września napisano: „Po wczesnym rozpoznaniu Blenheimów 15 Blenheimów i 14 Wellingtonów zostało wyekspediowanych, by zbombardować niemieckie okręty wojenne. Pięć samolotów z każdej grupy nie znalazło celów z powodu niskich chmur. Większość pozostałych Blenheimów przeprowadziła ataki z niskiego pułapu na krążownik »Admiral Scheer« i na »Emden« w porcie Wilhelmshaven. Co najmniej trzy bomby uderzyły w krążownik »Admiral Scheer«, ale nie eksplodowały; »Eden« został uszkodzony i poniósł jakieś ofiary, kiedy Blenheim rozbił się na jego pokładzie. Pięć Blenheimów zostało postrzelonych, wszystkie lub większość przez artylerię przeciwlotniczą; 107 Dywizjon stracił cztery z pięciu swoich samolotów. W Dowództwie Bombowców panuje przekonanie, że ofiarami wojny

¹⁸ Załoga tego samolotu zginęła 30 września 1939 r.

¹⁹ R. Holmes, *The Battle of Heligoland Bight 1939. The Royal Air Force and the Luftwaffe's baptism of fire*, London 2009, s. 25.

²⁰ *The Daily Telegraph. Story of the war 1939–1941*, red. D. Marley, London 1942, s. 13; I. Majski, *Wspomnienia ambasadora radzieckiego*, t. III: *Wojna 1939–1945*, Warszawa 1970, s. 14–15; C. Bekker, *Atak na wysokości 4000. Dziennik wojenny niemieckiej Luftwaffe 1939–1945*, Warszawa 1999, s. 61–64; K. Dönitz, *10 lat i 20 dni. Wspomnienia 1935–1945*, Gdańsk 2004, s. 61; K. Kuska, *Bomber Command w pierwszym etapie wojny powietrznej nad Europą*, „Militaria” 2008, nr 6, s. 13.

byli: por. pilot W.F. Barton i jego załoga (por. J. F. Ross, nawigator kpr. J. L. Ricketts, radiooperator/kanonier 107 szwadronu). Wszyscy zginęli, ponieważ Blenheim N6184 został zestrzelony przez artylerię okrętu »Admiral Hipper«. Niewiele wiadomo o Wellingtonach atakujących statki w Brunsbüttel przy ujściu Kanału Kilońskiego. Cztery załogi meldowały, że znaleźli cel bombardowania. Z powodu błędu nawigacji, dwie bomby zostały zrzucone na duńskie miasto Esbjerg, 110 mil na północ od Brunsbüttel, i dwie osoby zostały zabite. Kilka z Wellingtonów zostało zaatakowanych przez niemieckie myśliwce i dwa Wellingtony zaginęły”.

O tym ataku Brytyjczyków pisał niemiecki admirał Karl Dönitz: „04.09. nastąpił pierwszy nalot lotnictwa angielskiego na śluży w Wilhelmshaven i okręty stojące w porcie. Z ogromną dzielnością i poświęceniem Anglicy nadlecieli lotem koszącym, nie osiągając jednak większych sukcesów. Wraz z oficerami okrętów podwodnych obserwowaliśmy ten nalot z bazy pływającej okrętów podwodnych w Wilhelmshaven. Skuteczne odparcie nalotu natchnęło oficerów optymizmem”²¹.

Straty Brytyjczyków nad Wilhelmshaven: cztery Blenheimy ze 107 Dywizjonu (N6184, N6188, N6189, N6240) oraz jeden ze 110 Dywizjonu (N6199); łącznie 4 września 1939 r. Brytyjczycy stracili siedem samolotów z trzydziestu biorących udział w akcji.

Straty osobowe w 9 Dywizjonie:

załoga Wellingtona I L4268 – F/S Ian Edward Maitland Borley (365199), Sgt George Miller (580160), Cpl George William Park (524855), LAC Harry Dore (531093), AC2 Robert Henderson (618765);

załoga Wellingtona I L4275 – F/S Albion John Turner (561939), Sgt Donald Edward Jarvis (565602), Sgt Bertie Greville Walton (550292), AC2 George Thomas Brocking (546065), AC2 Kenneth George Day (549741) – Becklingen War Cemetery.

W 107 Dywizjonie:

załoga Blenheim IV N6184 – F/L William Frank Barton (34213), F/O John Frederick Ross (39340), Cpl James Leslie Ricketts (519859);

załoga Blenheim IV N6188 – P/O William Joseph Murphy (39748) – Sage War Cemetery (Germany), Sgt Leslie Robert Ward (564477) – Hamburg Cemetery (Germany)²², AC2 Edward Pateman (548974) – Sage War Cemetery (Germany);

²¹ K. Dönitz, *10 lat i 20 dni...*, s. 61.

²² Pochowany w tym czasie na wyspie Helgoland.

załoga Blenheima IV N6189 – F/O Herbert Brian Lightoller (37884), Sgt Owen Lobb Dunkirk Howells (564670) – Sage War Cemetery (Germany), AC1 Ernest William Lyon (546679);

załoga Blenheima IV N6240 – Sgt Albert Stanley Prince (580195), Sgt G F Booth (561012) – Stalag 357 Kopernikus, AC1 L J Slattery.

W 110 Dywizjonie:

załoga Blenheima IV N6199 – F/O Henry Lovell Emden (36138), Sgt Stanley George McKenna Otty (509143), Sgt Raymond Charles Grossey (516460), AC1 Ralph Evans (537187).

W dniach 5 i 6 września rozpoznanie floty niemieckiej prowadziły pojedyncze Blenheimy. Jeden lot był nieudany z powodu niskiej podstawy chmur. Natomiast w trakcie drugiego lotu zlokalizowano kilka krążowników i niszczycieli o 5 mil od Helgoland. Znów w wyniku kłopotów z łącznością radiową wiadomości te zostały przekazane dopiero po powrocie samolotu z lotu. Z uwagi na późną porę dnia oraz przypuszczenia, że niemieckie okręty powrócą do bazy przed dotarciem samolotów nad cel – akcji bojowej nie podjęto. W tym czasie w bazach czekało w pogotowiu sześć samolotów z 49 Dywizjonu oraz trzy samoloty z 83 Dywizjonu RAF²³.

Tylko we wrześniu 1939 r. brytyjskie lotnictwo bombowe straciło 39 samolotów (z tego 11 w czasie lotów szkolnych i treningowych). Zginęło 67 osób z personelu latającego²⁴. Lotnictwo francuskie straciło 58 samolotów, zginęło 60 osób z personelu latającego²⁵.

W interesie państwa polskiego leży utrzymywanie przyjaznych stosunków z władzami Zjednoczonego Królestwa oraz kultywowanie pamięci o wspólnej walce z Niemcami. Dlatego władze Rzeczypospolitej powinny odznaczyć pośmiertnie 24 brytyjskich lotników poległych w pierwszym nalocie na bazę Kriegsmarine. Najodpowiedniejszym odznaczeniem byłby w tym wypadku Krzyż Walecznych.

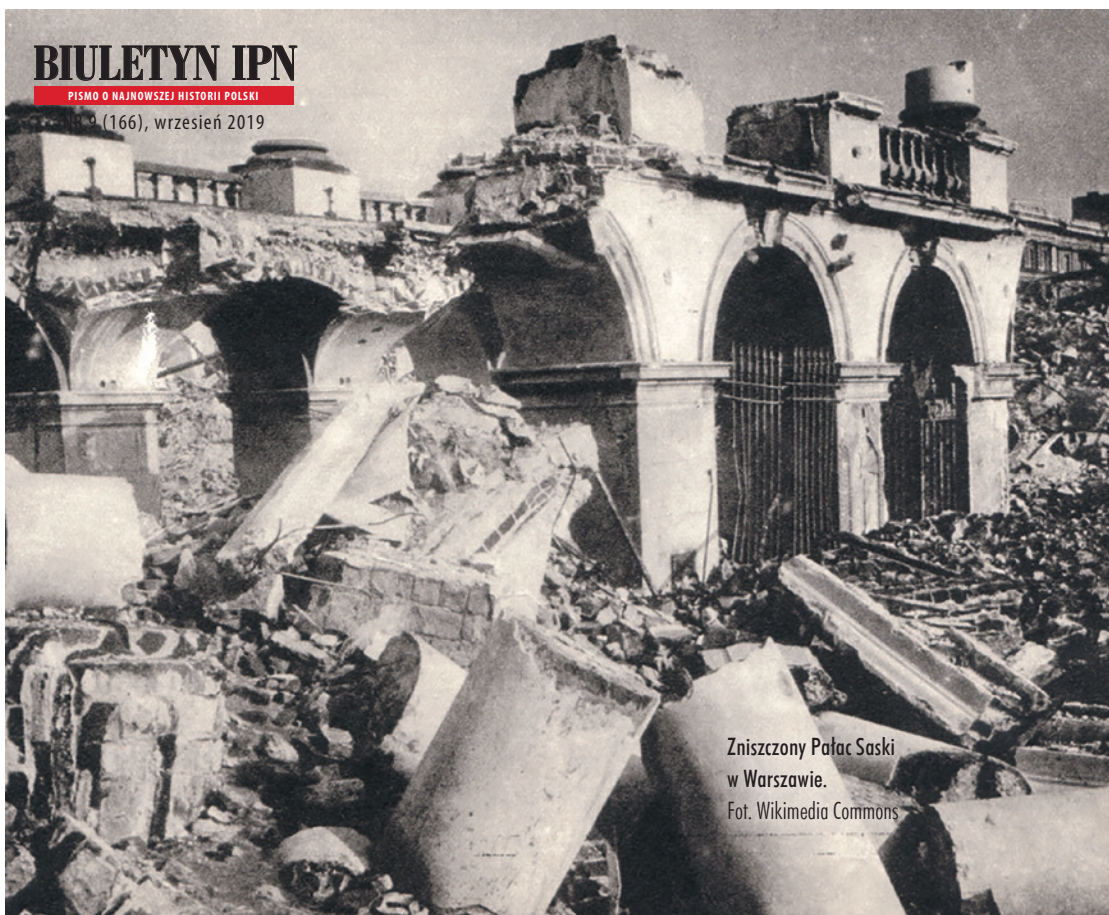
²³ Zob. TNA, AIR 27/690, k. 3.

²⁴ W.R. Chorley, *Royal Air Force Bomber Command Losses of the Second World War*, t. 1: *Aircraft and Crews lost during 1939–1940*, Hinckley 2005, s. 14–17.

²⁵ S. Tetera, *Wojna powietrzna nad frontem zachodnim we wrześniu 1939 r.*, „Historia. Technika Wojskowa” 2015, nr 5, s. 49.



Waldemar Grabowski (ur. 1957) – historyk, dr hab., pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: *Delegatura Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj 1940–1945* (1995); *Polska tajna administracja cywilna 1940–1945* (2003); *Państwo polskie wychodzi z podziemi. Cywilne struktury Polskiego Państwa Podziemnego w Powstaniu Warszawskim* (2007); *Sześćsto Biur Wojskowych Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej* (2011); *Kryptonim Moc. Sekcja Spraw Zagranicznych Delegatury Rządu RP na Kraj* (2015) i in.



Zniszczony Pałac Saski
w Warszawie.
Fot. Wikimedia Commons

Oczekujemy reparacji



Z posłem Arkadiuszem Mularczykiem, przewodniczącym Parlamentarnego Zespołu ds. Oszacowania Wysokości Odszkodowań Należnych Polsce od Niemiec za Szkodę Wyrządzone w trakcie II Wojny Światowej, rozmawia Ewa Tylus.

Grupa ponad dwudziestu parlamentarzystów oraz naukowcy, w tym pracownicy IPN, pracują nad wydaniem raportu na temat strat wyrządzonych Polsce w czasie II wojny światowej. Praca uwzględni m.in. dane z raportu, który w 1947 r. sporządziło Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów.

Na czym opiera się raport na temat wojennych strat Polski przygotowywany przez zespół?

W raporcie przedstawiamy przede wszystkim kontekst polityczny II wojny światowej i reparacji wojennych. Przypominamy, jak problematyka rozliczeń wojennych była traktowana w relacjach polsko-niemieckich, ale też i międzynarodowych na przestrzeni osiemdziesięciu lat. W opinii państwa niemieckiego „problem jest zamknięty”. Niemcy jednak przywołują różne podstawy i argumenty tego „zamknięcia”, więc stanowisko tego kraju nie jest spójne. Natomiast w naszej opinii ta problematyka jest otwarta pod względem prawnym i politycznym, dlatego że między Polską a Niemcami nigdy nie doszło do zawarcia traktatu pokojowego po zakończeniu II wojny światowej. Nigdy też oba kraje nie podjęły rozmów bilateralnych na temat likwidacji skutków wojny. Na przestrzeni lat dochodziło jedynie do incydentalnych sytuacji, kiedy Niemcy wypłacały świadczenia pewnym grupom poszkodowanych, ale były to pieniądze przekazywane *pro bono* przez niemiecki biznes. Nie wynikały one z żadnych międzypaństwowych umów, zgodnie z którymi państwo niemieckie wypłacałoby kwoty wszystkim osobom poszkodowanym bądź grupom społecznym.

Czy nigdy nie było spotkania, podczas którego obydwie strony – polska i niemiecka – rozmawiałyby na temat odszkodowań dla Polski?

Nigdy takiego spotkania nie było. Po pierwsze, wynikało to z faktu, że podczas konferencji poczdamskiej latem 1945 r. ponad głowami Polski, ale również Niemiec, określono sposób podziału niemieckich reparacji między poszczególne kraje. Ustalenia konferencji objęły Polskę, chociaż nie była uczestnikiem rozmów. Jednak zatwierdzone w Poczdamie zasady podziału nie uwzględniały rzeczywistych strat. Do Polski trafiał najczęściej stary sprzęt. Humorystycznie można powiedzieć, że w ramach reparacji przyjeżdżały do nas dzieła Marksa i Lenina. Nigdy nie była to gotówka ani kwoty, które realnie odpowiadałyby stratom wojennym czy zniszczeniom. Niemiecka Republika Demokratyczna przekazywała nam np. urządzenia gospodarcze, żywność, cukier, sól. Był spór o wartość tych „reparacji” między podmiotami, które wydawały i przyjmowały te towary. Na pewno nie były to znaczne kwoty. Trzeba dodać, że te narzucone z góry reparacje nie zostały wypłacone w całości. Później, w 1953 r., ówczesny premier Bolesław Bierut podpisał dokument, który przez lata był traktowany jako uchwała o zrzeczeniu się reparacji wojennych przez Radę Ministrów PRL. Analizowaliśmy ten

dokument. Na pewno nie spełnia on wymogów ważnego aktu prawnego Rady Ministrów, ponieważ nie ma podpisów ministrów. Widnieje na nim tylko podpis samego Bieruta. Można mieć poważne wątpliwości, czy Bierut był uprawniony do podpisywania takich dokumentów. W naszej ocenie mogła to zrobić tylko Rada Państwa. Po drugie, „uchwała” nie została wpisana do Dziennika Ustaw. Nie było jej ani w krajowym, ani w międzynarodowym obiegu dokumentów. Dokument nie został wysłany żadnemu z państw niemieckich – ani NRD, ani Republice Federalnej Niemiec. Oba kraje przyjęły informację o jego istnieniu w oparciu o depeszę Polskiej Agencji Prasowej i artykuł w „Trybunie Ludu”. W tym czasie PRL nie utrzymywała zresztą stosunków dyplomatycznych z RFN. Taki stan rzeczy trwał do początku lat siedemdziesiątych. Później zachodnie Niemcy twierdziły już, że problematyka odszkodowań się przedawniła. W Polsce nie podejmowano zaś działań o charakterze krajowym czy międzynarodowym, których celem byłoby dochodzenie roszczeń. Dopiero pod presją pozwów w sądach amerykańskich, w latach pięćdziesiątych doszło do utworzenia Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie. W innych krajach też powstały takie fundacje, które wypłacały świadczenia części ofiar – byłym robotnikom przymusowym. Ale podkreślmy – tylko części ofiar.

Wówczas, przed wypłatą takiego świadczenia, proszono pokrzywdzonych o podpisanie oświadczenia, że zrzekają się dalszych roszczeń od państwa niemieckiego.

Dokładnie tak. Dotyczyło to głównie ludzi już wtedy bardzo schorowanych, którzy w czasie wojny niewolniczo pracowali w niemieckich gospodarstwach czy firmach. Kiedy kilkadziesiąt lat po wojnie mieli oni do wyboru: albo przyjąć niewielkie kwoty, albo nie dostać nic – wielu z nich podpisało to oświadczenie. Ta sprawa stawia w fatalnym świetle państwo niemieckie, które, po pierwsze, nie ustaliło, jakiej wysokości odszkodowania należą się pokrzywdzonym, a po drugie, narzuciło bardzo, ale to bardzo nieduże wypłaty. Ci ludzie zrzekali się jakichkolwiek dalszych roszczeń wobec Niemiec oraz niemieckiego i austriackiego biznesu. Takie świadczenia otrzymało niespełna milion osób. Byłych robotników przymusowych żyło już wówczas niewiele, bo część zmarła przedwcześnie, zmordowana ciężką pracą. Świadczenia te były wypłacane jednorazowo (tylko raz w życiu) i wybiórczo. Otrzymała je mniej niż połowa z 2,5 mln robotników przymusowych, którzy przeżyli wojnę. Kwoty, które dostawali ci ludzie, to mniej więcej 650 zł w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze. To nie było

jednak formalne odszkodowanie od państwa niemieckiego. Fundusze pochodziły ze składek firm korzystających z niewolniczej pracy oraz środków wyasygnowanych przez rząd federalny. Niemcy sami określili te wypłaty jako *pro bono, ex gratia* i absolutnie nie dotyczyły one więźniów obozów koncentracyjnych, osób przesiedlonych, wywiezionych i innych poszkodowanych. Tylko robotników przymusowych.

Dokumenty osoby ubiegającej się o wypłatę nie powinny być mieć takiej klauzuli.

Polityka niemiecka od początku była brutalna wobec tych ludzi. To była gra na przedawnienie, przemilczenie, zapomnienie – odciąganie sprawy w czasie, aż pokrzywdzeni ludzie odejdą. Ta polityka okazała się, niestety, skuteczna. Ochrona interesu budżetu Niemiec okazała się ważniejsza niż zapłata za niemieckie zbrodnie popełnione w Polsce. O ile Niemcy zawierały z innymi krajami umowy dwustronne, a zawarto je z dwunastoma krajami, o tyle z Polską takiej umowy nigdy nie było.

Jaką liczbę osób, które zginęły w Polsce w czasie II wojny światowej, udało się ustalić zespołowi?

Nasz raport obejmuje kilka obszarów. Jeden z historyków gospodarczych, prof. Konrad Wnęk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, skupił się na problematyce strat ludzkich. Przeprowadził przełomowe badania. Zebrał wszystkie możliwe dane dotyczące demografii w Polsce przed II wojną światową i po jej zakończeniu. Zrobił to bardzo rzetelnie. Jego odkrycie jest bardzo interesujące. Mianowicie Niemcom możemy przypisać 5,2 mln polskich ofiar. To jest liczba niższa od tej, którą się powszechnie przyjmuje, czyli 6 mln. Najprawdopodobniej liczba 6 mln, która wynika z raportu Biura Odszkodowań Wojennych z 1947 r., zawierała ofiary Rosji komunistycznej, bo i władze komunistyczne po wojnie po prostu część ofiar sowieckich przypisały Niemcom. Ta liczba nadal funkcjonuje w obiegu. Nawet odpowiedzialność za ukraińską zbrodnię na Wołyniu spoczywa na Niemcach, ponieważ oni administrowali terenami, na których odbywała się rzeź. Co do reszty ofiar – kwestia jest otwarta. Ustalenia te wymagają dalszych, pogłębionych badań. Ale w tym zakresie nie prowadziliśmy dociekań naukowych. Również ciekawe są dane dotyczące strat osobowych z podziałem na narodowość ofiar. Dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych liczba osób w Polsce z powrotem osiągnęła stan sprzed wojny, czyli 35 mln. W wyniku wojny z Polski ubyło, z różnych powodów, prawie 12 mln osób. Dalszy aspekt to



Ruiny Zamku Królewskiego
w Warszawie 1944 r.
Fot. Wikimedia Commons

straty materialne. Mieliliśmy duże wątpliwości, w jaki sposób liczyć straty ludzkie. Czy można wycenić życie człowieka? Jakie przyjąć kryteria, jak wycenić życie profesora uczelni czy studenta? Jaką przyjąć wartość życia człowieka?

Nie da się.

To był wielki dylemat zespołu. Dwaj profesorowie z Łodzi – prof. Jan Sztudynger oraz prof. Paweł Baranowski – zaproponowali, że straty ludzkie można policzyć w oparciu o utracony PKB, czyli zastanowić się, ile człowiek w czasie swojego życia zgromadziłby oszczędności, zapłaciłby podatków, składek na ZUS, i w ten sposób ustalić, ile to życie jest warte dla państwa w sensie ekonomicznym. W tym celu trzeba użyć różnego rodzaju analiz statystycznych, zebrać informacje o liczbie osób zatrudnionych w przemyśle i innych branżach. Ustalono hipotetyczną wartość życia człowieka jako jego udział w PKB. Biorąc pod uwagę ubytek 5,2 mln obywateli, udało nam się wyliczyć pewne kwoty, które mają wartość utraconego PKB. Jest to utracony „kapitał ludzki”, będący częścią utraconego PKB państwa. To koncepcja, którą przyjęli nasi naukowcy, a ta kwota jest znaczna i wynosi ponad połowę wszystkich strat wojennych.

A czy nie obawiają się Państwo krytyki? Czy Polska może otrzymać reparacje za ludzi, którzy zginęli?

Jeżeli ci ludzie zginęli, nie mogli pracować na zasobność swoich rodzin i swojego państwa. Nie mogli przekazać spadków swoim dzieciom i wnukom. W dodatku tych dzieci i wnuków urodziło się mniej. To się przekłada na społeczną zasobność,

bo kapitał gromadzi się przez pokolenia. Przez wojnę każdy statystyczny Polak jest uboższy, bo nic nie otrzymał od swoich dziadków. Wszyscy Polacy zostali ograbieni. Niemcy skonfiskowali zasoby bankowe i oszczędności ludzi. Polisy, akcje i obligacje straciły ważność. Inny obszar, który liczyliśmy, to straty majątkowe – straty skarbu państwa i zniszczona lub skonfiskowana własność prywatna. Przez pięć lat Niemcy stworzyli system kontrybucji, narzucili system przymusowej pracy i utrzymywania niemieckiej maszyny wojennej i administracyjnej. Stworzyli też nowy system emisyjny. Gdy skończyła się wojna, ludzie zostali z walutami, które straciły ważność.

Istotnym elementem są też straty związane z polskim dziedzictwem kultury.

Kościół, dobra kultury, muzea, teatry, archiwa, dzieła sztuki – to jest wielki obszar, który opisaliśmy. Nasza wspólna praca ma aspekt makroekonomiczny. Próbowaliśmy określić, gdzie byłby teraz nasz kraj, gdyby nie było wojny. Także – jaki miała ona wpływ na nasz PKB. Z perspektywy makroekonomicznej raport ukazuje skutki niemieckiej agresji dla państwa i społeczeństwa. Argumentem bardzo przemawiającym do wyobraźni jest dla mnie porównanie – którego użył jeden z ekspertów – Polski do Hiszpanii. Przed wojną byliśmy krajami bardzo zbliżonymi pod względem zamożności. Dziś Hiszpania jest trzynastą gospodarką świata, a Polska – dwudziestą trzecią. Hiszpania ma PKB prawie dwa razy większy niż Polska. Mimo naszego rozwoju i naszych starań widzimy, że skutki wojny oraz okupacji niemieckiej i sowieckiej mają realny wpływ na zasobność naszego państwa i całego społeczeństwa. Myślę, że zestawienie tych wszystkich strat materialnych i ludzkich jest bardzo ważnym elementem w naszej polityce państwowej i polityce historycznej. Pod pewnymi – finansowymi – względami podsumowujemy wojnę.

Jeszcze pracujemy nad innymi elementami raportu, bo opowiedziałem teraz tylko o jego najważniejszych elementach. Tłumaczymy go na angielski, ponieważ musi być zrozumiały dla obcokrajowców. Musi być również napisany przystępnym językiem. Przed nami duże wyzwanie. Pracę nad nim rozpoczęliśmy w tej kadencji Sejmu, ale powinny być one podejmowane – wraz z działaniami międzynarodowymi – również w następnej kadencji.

Widzę tutaj duże pole pracy dla Instytutu Pamięci Narodowej. Przez długi czas mieliśmy wielki problem ze znalezieniem specjalistów i fachowców, którzy potrafiliby spojrzeć na temat II wojny światowej w sposób kompleksowy.

» **Raport Biura Odszkodowań Wojennych, który powstał bezpośrednio po wojnie, szacował straty Rzeczypospolitej – jeśli dziś je zwaloryzujemy – na 850 mld dolarów. Nasze szacunki są wyższe.** »

W Polsce przestało się szczególnie nauczać akurat o tej części historii i nie było woli, aby pogłębiać tę tematykę. Niestety, państwo polskie płaci dziś za to bardzo wyso-

ką cenę. Widzimy, że historia II wojny światowej jest na świecie przekłamywana, mówi się o „polskich obozach koncentracyjnych”, zarzuca się Polakom współodpowiedzialność za Holokaust. Zniesławia się Polskę i Polaków, a z drugiej strony my sami mamy problem, by pokazać zbiorczo skutki II wojny światowej, jej wpływ i konsekwencje, i wciąż musimy tłumaczyć, że Polska była ofiarą, a nie agresorem. Myślę, że przed nami – przed kolejnymi pokoleniami polityków i historyków – jest przywracanie tej pamięci przez badania naukowe, publikowanie ich wyników, a także przez działania polityczne.

Czy może Pan podać kwotę strat Polski w wyniku II wojny światowej, którą wyliczył zespół?

Nie chciałbym mówić o kwocie. Jest ona ważna, ale w oderwaniu od całości analizy niczego ona nie mówi. To element sprawozdania. Raport Biura Odszkodowań Wojennych, który powstał bezpośrednio po wojnie, szacował straty Rzeczypospolitej – jeśli dziś je zwaloryzujemy – na 850 mld dolarów. Nasze szacunki są wyższe.

Wróćmy jeszcze do byłych więźniów obozów koncentracyjnych i innych grup ofiar. Ci ludzie nie otrzymali odszkodowań za swoje cierpienia. Czy jest szansa, żeby doczekali jakiegokolwiek rekompensaty? W sądach nie mają szans na wygraną z państwem niemieckim.

Zwróciliśmy uwagę na to, że cały czas ci ludzie nie mają otwartej ścieżki sądowej do dochodzenia swoich roszczeń. W związku z tym stu posłów PiS pod koniec 2017 r. złożyło do Trybunału Konstytucyjnego przygotowany przeze mnie wniosek o zbadanie konstytucyjności przepisów, które uniemożliwiają dochodzenie w Polsce roszczeń z tytułu zbrodni niemieckich. Pozytywne stanowisko wobec tego wniosku zajął Sejm RP i prokurator generalny. Czekamy na wyrok. Jeśliby Trybunał uznał, że rzeczywiście ta blokada narusza polską konstytucję, wówczas

powstałaby możliwość dochodzenia roszczeń przez te osoby. Na pewno rozstrzygnięcie tej sprawy będzie miało spore reperkusje międzynarodowe. Szacujemy, że żyje jeszcze blisko 30 tys. polskich byłych więźniów obozów koncentracyjnych. We Włoszech czy w Grecji ścieżka sądowa jest dla takich osób otwarta, ale mimo to Niemcy nie uznają wyroków, które zapadają. Dochodzi do karkołomnych prób egzekucji zasądzonych wypłat. Widać, że Niemcy nie chcą systemowo płacić tych odszkodowań. Wolą wspierać uchodźców, którzy zasilają ich gospodarkę. Tym samym państwo niemieckie stawia siebie w bardzo złym świetle. Z jednej strony chce odgrywać rolę lidera w Unii Europejskiej, pouczać inne kraje o praworządności i prawach człowieka, chce decydować o regułach gry międzynarodowej, a z drugiej nie potrafi uregulować spraw swojej odpowiedzialności. Setki miliardów dolarów szły najpierw na odbudowę byłej NRD, obecnie idą na ten cel dalsze miliardy, setki milionów euro przeznaczają się na pomoc uchodźcom z Afryki czy Azji, którzy przyjeżdżają do Niemiec. Sądy niemieckie odrzucały pozwy polskich byłych więźniów obozów koncentracyjnych, argumentując początkowo, do lat siedemdziesiątych, że PRL i RFN nie utrzymują relacji dyplomatycznych, później – że te kwestie powinien rozstrzygać traktat pokojowy, a jeszcze później, w latach osiemdziesiątych – że sprawa już się przedawniła. W Polsce z kolei pojawiała się argumentacja, że państwo niemieckie chroni immunitet jurysdykcyjny i że nie można go pozywać przed polskimi sądami. Najślynniejsza była sprawa Wini-cjusza Natoniewskiego, który jako dziecko został dotkliwie poparzony w czasie niemieckiej pacyfikacji wsi Szczecyn i całe życie był inwalidą. Wystąpił do sądu. Sąd Najwyższy w rozstrzygnięciu końcowym orzekł, że na obecnym etapie rozwoju prawa międzynarodowego zasądzenie odszkodowania nie jest możliwe, z uwagi na immunitet jurysdykcyjny. Pan Natoniewski przegrał.



Ewa Tylus (ur. 1986) – dziennikarka, politolog, doktorantka na Wydziale Nauk Historycznych i Społecznych UKSW, redaktor „Biuletynu IPN”.



Żołnierze sowieccy oglądają
zdobytą polską broń, Brześć, 1939 r.
Fot. Wikimedia Commons

Sławomir Kalbarczyk

W krzywym (niezupełnie) zwierciadle

Polska z perspektywy władz i ludności ZSRS w przededniu i podczas sowieckiej agresji we wrześniu 1939 roku

Zohydowanie przez agresora ofiary swej zbrojnej napaści jest tak stare jak same wojny. U progu II wojny światowej Sowieci stosowali tę metodę wobec Polski. I to na wielką skalę.

Rzadko agresor przyznaje wprost, że chodzi mu o zdobycie ziemi i jej bogactw czy zniewolenie zamieszkującej ją ludności. Najczęściej „winę” za napaść, której zresztą nie nazywa napaścią, przerzuca na ofiarę, przypisując jej najgorsze cechy i działania, na które po prostu „musiał” odpowiedzieć, używając siły zbrojnej.

Nie inaczej było w przypadku dwóch najgorszych totalitaryzmów XX w.: niemieckiej III Rzeszy i bolszewickiego Związku Sowieckiego. Adolf Hitler usiłował usprawiedliwić inwazję na Polskę, tworząc mit polskich „prowokacji”, których – jak informował 16 sierpnia 1939 r. sowieckiego premiera i ministra spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa – „Niemcy zdecydowane są nie tolerować

w nieskończoność”¹. Także Związek Sowiecki dla uzasadnienia w oczach świata agresji na Polskę, dokonanej 17 września 1939 r. w sojuszu z Hitlerem, tłumaczył ją po swojemu. Chyba najbardziej zdumiewającym elementem tej propagandy było twierdzenie, że... ofiara napaści nie istnieje.

W oczach NKWD i Stalina

Rekonstrukcję obrazu Polski tworzonego latem 1939 r. przez władze sowieckie wypada zacząć od oczywistego skądinąd przypomnienia, że stalinowski Związek Sowiecki był państwem policyjnym. Znaczący udział w tworzeniu obrazu zachodniego sąsiada miała zatem sowiecka policja polityczna. W 1939 r. – najprawdopodobniej tuż przez napaścią na Polskę – właśnie w NKWD powstał dokument będący swoistą analizą systemu politycznego II RP. Stwierdzono w nim, że cechą charakterystyczną Polski jest „[...] wielorakość partii, ugrupowań i nurtów politycznych”². Za partię rządzącą „polskiego faszystu” – jak nazywano albo obóz rządzący, albo też całą Polskę – uznano Obóz Zjednoczenia Narodowego. Nie lepiej wypadła ocena kolejnych ugrupowań politycznych. Stronnictwu Narodowemu przypisano dążenie do wprowadzenia w kraju dyktatury i Kościoła katolickiego. Stronnictwo Ludowe określono mianem „dużej partii kułacko-chłopskiej”³, zauważono jednak, że znajduje się ono w nieprzejednanej opozycji do „rządu piłsudczyków”. Polską Partię Socjalistyczną i żydowski Bund uznano za partie odgrywające „zdradziecką rolę” wobec „uciskanego proletariatu”.

Również organizacje społeczne działające w Polsce nie znalazły uznania w oczach analityków z NKWD. Szczególnie ostro scharakteryzowano Związek Osadników, obwołany „szowinistyczno-patriotycznym”, twierdząc, że prawie wszyscy jego członkowie „[...] są konfidentami policji i zajmują się werbunkiem agentury wysyłanej do ZSRR”⁴.

W realiach Związku Sowieckiego lat trzydziestych rozstrzygający głos we wszystkich sprawach należał jednak nie do NKWD, lecz do Józefa Stali-

¹ *Białe plamy. ZSRR–Niemcy 1939–1941. Dokumenty i materiały dotyczące stosunków radziecko-niemieckich w okresie od kwietnia 1939 r. do lipca 1941 r.*, Vilnius 1990, s. 37.

² *Polskie podziemie na terenach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi w latach 1939–1941*, Warszawa – Moskwa 2001, s. 37.

³ *Ibidem*, s. 53.

⁴ *Ibidem*, s. 75.

na. Charakterystykę Polski, krótką, ale wymowną, przedstawił on 7 września 1939 r. na Kremlu, w czasie spotkania ze swymi najbliższymi współpracownikami (m.in. sekretarzem generalnym Kominternu Georgim Dymitrowem). Zaczął od uwagi, że historyczna Polska była państwem narodowym, dlatego „rewolucjoniści” bronili jej przed zniewoleniem i rozbiorami. Dzisiejsza Polska – ciągnął Stalin – jest państwem faszystowskim, które ciemniży Ukraińców i Białorusinów. Zatem jej zniszczenie oznacza, że będzie o jedno państwo burżuazyjno-faszystowskie mniej. „Cóż jest w tym złego – pytał retorycznie dyktator – jeżeli w wyniku rozbitcia Polski rozciągniemy system socjalistyczny na nowe tereny i ludność?”⁵

Wykładnia postrzegania Polski, dana przez Stalina siódmego dnia agresji Niemiec na Polskę, błyskawicznie poszła w świat. Już następnego dnia Prezydium Komitetu Wykonawczego Kominternu wysłało partiom komunistycznym całego świata dyrektywę głoszącą, że międzynarodowy proletariat nie będzie bronił „faszystowskiej Polski”, która uciskała inne narodowości⁶.

[Nie], „Prawda” o Polsce

Szczególne znaczenie dla kreowania przez Kreml czarnego wizerunku Polski miał artykuł opublikowany 14 września 1939 r. w moskiewskiej „Prawdzie” *O wewnętrznych przyczynach klęski militarnej Polski*. Postawiwszy na wstępie diagnozę, że Polska już po dziesięciu dniach od rozpoczęcia działań wojennych przez Niemcy została rozgromiona, przedstawiono „wyjaśnienie” tego stanu rzeczy. Tłumaczono, że klęski państwa polskiego nie da się wyjaśnić wyłącznie przewagą techniki niemieckiej i brakiem pomocy ze strony Wielkiej Brytanii oraz Francji. Główną przyczyną „rozszypywania się” – jak to ujęto – państwa polskiego upatrywano w jego polityce narodowościowej. Oto koła rządzące Polski miały ciemnić mniejszości, w szczególności Ukraińców i Białorusinów, i przekształcić „Zachodnią Ukrainę i Zachodnią Białoruś” w „pozbawioną praw kolonię”, brutalnie eksploatowaną przez polskich obszarników. Taka polityka uniemożliwiła konsolidację wielonarodowościowej armii polskiej, co poskutkowało klęską wojenną. Nie ma potrzeby wyjaśniać, że diagnoza porażki Polski w wojnie z Niemcami

⁵ *Geneza Paktu Hitler-Stalin. Fakty i propaganda*, red. B. Musiał i J. Szumski, Warszawa 2012, s. 195.

⁶ W.A. Niewieżyn, *Tajne plany Stalina. Propaganda sowiecka w przededniu wojny z Trzecią Rzeszą 1939–1941*, Kraków 2000, s. 82.

była czystą demagogią: w 1939 r. niemieckie siły zbrojne były najpotężniejszą lądową armią świata, której w pojedynkę nie mogła stawić skutecznego oporu żadna inna.

Warto jednak zwrócić uwagę na to, że żołnierze narodowości niepolskiej twardo walczyli w szeregach armii polskiej przeciwko Niemcom. Zdarzały się przypadki uchylania się przez nich od służby wojskowej czy dezercje, ale miały one ograniczony zasięg.

„...państwo polskie i jego rząd przestały faktycznie istnieć”

W Ambasadzie RP w Związku Sowieckim domyślano się, że artykuł ogłoszony w „Prawdzie” stanowi „przygotowanie gruntu do podjęcia ewentualnej decyzji”⁷. Nie była to do końca trafna diagnoza: decyzja o uderzeniu na Polskę już zapadła, a artykuł przygotowywał grunt dla podania jej do publicznej wiadomości. Identyczny cel miało – odnotowane również przez ambasadę – pojawienie się tego samego dnia w moskiewskiej prasie doniesień, że w Małopolsce Wschodniej wybuchło powstanie, a Białorusini w Polsce wszczęli rozruchy, dążąc do utworzenia niezależnej republiki⁸. Te bałamutne wieści miały – jak wolno sądzić – przedstawiać Rzeczpospolitą jako państwo nie tylko pokonane na zachodzie przez Niemców, lecz także ogarnięte „rewolucyjnym wrzeniem” na wschodzie.

W nocy z 16 na 17 września 1939 r. polski ambasador w Związku Sowieckim, Wacław Grzybowski, został wezwany do siedziby Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRS, gdzie odczytano mu notę podpisaną przez Mołotowa, stanowiącą uzasadnienie podjętej przez władze ZSRS decyzji o wprowadzeniu sowieckich wojsk do Polski. Stwierdzono w niej, że wojna niemiecko-polska ujawniła wewnętrzne bankructwo państwa polskiego: utraciło ono wszystkie okręgi przemysłowe i ośrodki kulturalne, Warszawa jako stolica nie istnieje, a rząd RP uległ rozkładowi i nie daje oznak życia. Uznano zatem, że państwo polskie przestało istnieć, a ludność ukraińska i białoruska została bezbronna i pozostawiona własnemu losowi. Wobec powyższych okoliczności rząd sowiecki polecił, by wojska przekroczyły granicę i wzięły pod opiekę życie i mienie mieszkańców „Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi”.

⁷ *Polskie Dokumenty Dyplomatyczne wrzesień–grudzień 1939*, red. W. Rojek, Warszawa 2007, s. 80. Oczywiście chodziło o decyzję w sprawie stanowiska ZSRS wobec toczonej wojny.

⁸ *Ibidem*, s. 82.

Wszystkie stwierdzenia zawarte w nocie – poza tym, że sowieckie wojska otrzymały rozkaz przekroczenia granicy z Polską – były nieprawdą. Polska miała swój rząd, jej stolica nie została zdobyta, a Niemcy zajęli jedynie centralną i zachodnią część kraju. Tereny wschodniej Polski, z takimi centrami, jak Lwów i Wilno, były (z niewielkimi wyjątkami) wolne od wojsk agresora.

Nota Mołotowa została rozesłana do wszystkich państw, z którymi ZSRS utrzymywał stosunki dyplomatyczne, wydrukowano ją też w centralnej prasie sowieckiej. Rozpropagowaniu jej też służyło wystąpienie radiowe Mołotowa 17 września 1939 r., w którym poinformował, że „[...] polecił Dowództwu Naczelnemu Armii Czerwonej wydać wojskom rozkaz przekroczenia granicy i wzięcia pod ochronę życia i mienia ludności Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej”⁹.

Zmobilizować Armię Czerwoną

Inwazję na Polskę uzasadniano nie tylko na szczeblu centralnym, lecz również lokalnym. Na przykład gazeta „Sowietskaja Sibir” w obwodzie nowosybirskim usprawiedliwiała udzielenie „pomocy” Ukraińcom i Białorusinom, twierdząc, że narody „Zachodniej Białorusi” i „Zachodniej Ukrainy” tylko przez „historyczną niesprawiedliwość” zostały „oderwane” od Związku Sowieckiego¹⁰. Była to wyrażona nie wprost, ale czytelna aluzja do przegranej w 1920 r. wojny z Polakami i granicy, która została ustanowiona w jej wyniku.

Przygotowując się w połowie września 1939 r. do wypełnienia ustaleń paktu z Niemcami, władze sowieckie zatroszczyły się o to, by „właściwy” obraz Polski dotarł także do żołnierzy Armii Czerwonej. W rozkazie bojowym Sztabu Frontu Białoruskiego z 16 września 1939 r. zachodniego sąsiada ZSRS przedstawiono jako państwo „obszarniczo-kapitalistyczne” rządzone przez „klikę”, która rzekomo wszczęła wojnę przeciwko Niemcom¹¹. Rozkaz wydany dwa dni potem przez Radę Wojenną tego frontu przedstawiał Polskę nie tylko jako państwo o „niesprawiedliwym” systemie społecznym, lecz także „bezprawnie” sprawujące władzę nad

⁹ *Białe plamy...*, s. 94.

¹⁰ S. Uszakowa, *Idieologo-propagandistskije kampanii w praktikiie funkcionirowanija stalinskogo rieżima: nowyje podchody i istoczniki*, Moskwa 2013, s. 68.

¹¹ *Agresja sowiecka na Polskę 17 września 1939 w świetle dokumentów. Działania wojsk Frontu Białoruskiego*, Warszawa 1995, s. 27.

swymi wschodnimi ziemiami: „Wielka socjalistyczna rewolucja dała narodowi polskiemu prawo samostanowienia. Polscy obszarnicy i kapitaliści po stłumieniu ruchu rewolucyjnego robotników i chłopów zagarnęli Białoruś Zachodnią i Ukrainę Zachodnią, pozbawili te narody swej sowieckiej ojczyzny oraz zakuli je w kajdany niewoli i ucisku”¹². Po tym „historycznym” wstępie następowała diagnoza aktualnego stanu Polski: „Na Zachodniej Ukrainie i Białorusi – pisano – szerzy się ruch rewolucyjny. Zaczęły się wystąpienia i powstania chłopów białoruskich i ukraińskich w Polsce. Klasa robotnicza i chłopstwo Polski jednoczą siły, żeby skrócić kark swoim krwawym ciemieżcom”¹³. W rozkazie tym Polska, a ściślej biorąc, jej wschodnie ziemie, została przedstawiona jako kraj nieomal ogarnięty rewolucją.

Był to obraz całkowicie zmistyfikowany. Jeśli w kraju doszło do antypolskich wystąpień ze strony części ludności białoruskiej i ukraińskiej, to dopiero po wkroczeniu Armii Czerwonej. Część tych wystąpień była zresztą inspirowana przez komunistów¹⁴.

W podobne tony uderzał wydany tego samego dnia rozkaz dowódcy Frontu Białoruskiego komandarma Michaiła Kowalowa do podległych mu wojsk, w którym stwierdzono: „[...] od 20 lat policyjny but piłsudczyków bezkarnie depte rodzinne ziemie naszych braci Białorusinów i Ukraińców. Ziemie te nigdy nie należały do Polaków. Te rdzennie białoruskie i ukraińskie ziemie zagarnęli polscy generałowie i obszarnicy w te dni, gdy republika sowiecka, broniąca się przed licznymi siłami kontrrewolucji, była jeszcze niedostatecznie silna”¹⁵. W polskojęzycznym „Słowie Żołnierza”, gazecie Zarządu Politycznego Frontu Ukraińskiego, pisano 20 września 1939 r.: „W roku 1920 pańska Polska przy poparciu państw Entanty wdarła się na terytorium Ukrainy i w bandycki sposób zagarnęła Galicję i część Białorusi”¹⁶.

Oczywiście twierdzenie, że ziemie wschodnie Rzeczypospolitej zostały „bandycko” zagarnięte przez Polskę, nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. O ich

¹² *Ibidem*, s. 50.

¹³ *Ibidem*.

¹⁴ M. Wierzbicki, *Polacy i Białorusini w zaborze sowieckim. Stosunki polsko-białoruskie na ziemiach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką 1939–1941*, Warszawa 2000, s. 199, 206.

¹⁵ *Ibidem*, s. 356.

¹⁶ Cyt. za: B. Gogol, *Czerwony Sztandar. Rzecz o sowietyzacji ziem Małopolski Wschodniej września 1939–czerwiec 1941*, Gdańsk 2000, s. 310.

przynależności do Polski nie zadecydowała bowiem zbrojna aneksja, lecz akt prawa międzynarodowego: traktat pokojowy zawarty między Polską a Związkiem Sowieckim 18 marca 1921 r. w Rydze, uznany przez mocarstwa zachodnie.

Mit „szlacheckiej” Polski

Dowództwo Armii Czerwonej kreowało zmistyfikowany obraz zaatakowanego kraju również na użytek niepolskiej ludności Rzeczypospolitej; przekaz ten, pokazujący w czarnych barwach jej los w czasie polskich rządów, miał legitymizować „wyzwolielską” misję Armii Czerwonej. I tak w odezwie wspomnianego komandarma Kowalowa *Bracia Białorusini* z 17 września 1939 r. znalazło się powtórzenie, że od dwudziestu lat ludność białoruska w Polsce żyje pod uciskiem polskich panów: obszarników i kapitalistów, którzy zabrali jej ziemię, lasy i pastwiska, by zrobić z niej nędzarzy. Obszarnicy zamknęli wszystkie szkoły białoruskie, pozbawiając białoruskie dzieci możliwości nauki w języku ojczystym¹⁷. W rzeczywistości powierzchnia majątków ziemiańskich (w sowieckiej nomenklaturze „obszarniczych”) obejmujących około jednej czwartej gruntów uprawnych na tzw. Zachodniej Białorusi, malała stopniowo w II Rzeczypospolitej, ponieważ wskutek parcelacji ziemia systematycznie przechodziła w ręce chłopskie. A bieda ludności na tym terenie, nie tylko białoruskiej, brała się z zacoferania będącego skutkiem polityki rosyjskiego zaborcy, słabych gleb, zniszczeń wojennych i nieurodzajów. Nie wynikała z tego, że – jak demagogicznie pisano w odezwie – panowie i obszarnicy „wysysali ostatnią krew” z Białorusinów.

Adresatami fikcyjnego obrazu byli także żołnierze Wojska Polskiego. W dniu agresji komandarm Kowalów wydał do nich odezwę, wzywającą do niestawiania oporu Armii Czerwonej. Wezwanie to uzasadniał, kreśląc obraz Polski rządzonej przez obszarników i kapitalistów, za których interesy polscy żołnierze nie powinni przelewać krwi¹⁸.

Ukoronowaniem antypolskiej kampanii prowadzonej przez władze sowieckie od połowy września 1939 r. był artykuł wstępny w „Prawdzie” z 29 września 1939 r. W tekście tym Polskę, określoną mianem „sztucznie rozdętej, żyjącej z grabieży

¹⁷ „Zachodnia Białoruś” 17 IX 1939–22 VI 1941. *Wydarzenia i losy ludzkie*, t. 1: Rok 1939, Warszawa 1998, s. 91.

¹⁸ *Ibidem*, s. 94.



Sowiecka ciężka artyleria
wkracza na Kresy, 1939 r.
Fot. Wikimedia Commons

cudzych ziem”, a na dodatek „szlacheckiej”, przedstawiono jako narzędzie polityki „szczucia” na Związek Sowiecki, prowadzonej przez Wielką Brytanię i Francję¹⁹.

Warto zwrócić uwagę na anachroniczne postrzeganie Polski, która odrodziła się po I wojnie światowej, jako państwa zdominowanego przez stan szlachecki. Już w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej z 17 marca 1921 r. stwierdzono jednoznacznie (art. 96), że „Rzeczpospolita Polska nie uznaje przywilejów rodowych ani stanowych, jak również żadnych herbów, tytułów rodowych i innych, z wyjątkiem naukowych, urzędowych i zawodowych”²⁰.

Obraz „szlacheckiej” Polski lansowano nie tylko w stołecznej „Prawdzie”, lecz także w pismach lokalnych. Przykładowo, 24 września 1939 r. we wspomnianej już gazecie „Sowietskaja Sibir” ukazał się artykuł *Wyzwolenicza walka narodu ukraińskiego z uciskiem polskiej szlachty i przyłączenie Ukrainy do Rosji*, w którym historię Ukraińców przedstawiono jako niekończącą się walkę z „odwiecznym wrogiem – polską szlachtą”²¹.

Pakt z Niemcami – entuzjazm i krytyka

A jaki był obraz Polski w społeczeństwie sowieckim? Czy był on prostym powieleniem rozpowszechnianego przez wszechobecną propagandę? Czy też społeczeństwo ZSRS stworzyło sobie jakiś inny obraz zachodniego sąsiada?

¹⁹ S. Uszakowa, *Idieologo-propagandistskije kampanii...*, s. 69.

²⁰ *Druga Rzeczpospolita. Wybór dokumentów*, red. A. Łuczak, J.R. Szafflik, Warszawa 1988, s. 113.

²¹ S. Uszakowa, *Idieologo-propagandistskije kampanii...*, s. 69.

Nie sposób nie zauważyć, że o poglądach społeczeństwa sowieckiego wiemy niewiele. W Związku Sowieckim nie było bowiem wolności prasy ani słowa, a nawet prywatne wypowiedzenie opinii innych niż narzucone przez władze było kwalifikowane jako „antysowiecka agitacja” i podlegało represji karnej. Najwięcej informacji o nastrojach i zapatrywaniach mieszkańców ZSRS przynoszą raporty NKWD: policja polityczna bacznie śledziła „reakcje ludności”.

Na podstawie tych raportów możemy ostrożnie wnioskować, że zawarcie paktu z Niemcami wywołało wśród ludności ZSRS rozmaite reakcje: od bezkrytycznej akceptacji „linii partii”, poprzez zaskoczenie, a nawet wstrząs, po ostrą krytykę porozumienia z „faszystami”. W tym kontekście wypowiedziano także opinie o Polsce. I tak na przykład docent Akademii Nauk Ukraińskiej SRS, Grinfeld, entuzjasta układu, podkreślał w swych wypowiedziach, że podpisanie paktu z Niemcami było znakomitą posunięciem, ponieważ oznaczało izolację Polski²². Krytycy układu, do których zaliczał się zecer Kucharczuk z Kijowa, oceniali, że oznaczał on sprzedaż Polski Niemcom, niczym nieróżniące się od sprzedania Niemcom Czechosłowacji w Monachium przez Wielką Brytanię i Francję²³.

Kolejne głosy na temat układu z Niemcami oraz Polski pojawiły się zaraz po inwazji Rzeszy na Rzeczpospolitą. I znowu były one podzielone. Ludzie akceptujący pakt z Niemcami wskazywali, że bez niego Związek Sowiecki byłby zmuszony do walki „[...] za jaki[ch]ś tam Polaków, naszych dawnych wrogów”²⁴. Dążenie Hitlera do zawładnięcia Polską jedni interpretowali jako fakt pozytywny – doprowadzić ono bowiem miało do powstania wspólnej granicy z Niemcami i połączenia dwóch najsilniejszych państw w Europie. Inni, wprost przeciwnie, uważali, że chociaż Polacy to „wredny naród”, sąsiedztwo Niemiec nie jest lepsze, albo szli dalej, zakładając, że zagarnięcie Polski to krok w kierunku planowanego przez Hitlera ataku na Związek Sowiecki²⁵. Zdezorientowane społeczeństwo sowieckie, niewiedzące o antypolskiej zмовie Niemiec i ZSRS, wyrażało nawet niekiedy opinię, że przybliżanie się wojsk niemieckich do granic sowieckich to

²² *Radianski orbany derżawnoji bezpeky u 1939–czerni 1941 r. Dokumenty HDA SB Ukrainy*, red. W. Danylenko, S. Kokin, Kyjiw 2009, s. 968.

²³ *Ibidem*, s. 970.

²⁴ *Ibidem*, s. 975.

²⁵ *Ibidem*, s. 982, 986.

wynik decyzji Wielkiej Brytanii i Francji, by oddać Polskę Niemcom i w ten sposób doprowadzić do starcia państwa Hitlera ze Związkiem Sowieckim.

Sympatia dla Polski czy Niemiec?

Napaść Niemiec na Polskę wzbudziła w społeczeństwie sowieckim przede wszystkim współczucie dla ofiary agresji. Konstanty Simonow, we wrześniu 1939 r. korespondent wojenny w Mongolii (później znany sowiecki pisarz), wspominał: „Kiedy zaczęła się wojna Niemców z Polską, całe moje współczucie, a także współczucie moich towarzyszy w redakcji wojskowej gazety [...] było po stronie Polaków, z tego powodu, że silniejszy napadł na słabszego i dlatego, że pakt o nieagresji paktem, ale któż z nas chciał zwycięstwa faszystowskich Niemiec w zaczynającej się europejskiej wojnie, a tym bardziej łatwego zwycięstwa?”²⁶. Inny wart odnotowania głos współczucia należał do agronoma Galimskiego, zatrudnionego w Ludowym Komisariacie Ziemi Ukraińskiej SRS, który ósmego dnia wojny niemiecko-polskiej powiedział o Polsce: „Biedny, nieszczęśliwy kraj. Nie udaje mu się zbudować swojej niezależności. Wreszcie udało się. 20 lat [Polska] budowała swoje życie, a teraz ginie. Biedny naród polski. Niszczyła go stara wojna [tj. I wojna światowa], a teraz niszczy nowa”²⁷.

Głosy współczucia dla Polski odzywały się nawet wśród kadry Armii Czerwonej. W raporcie politycznym z 13 września 1939 r. o sytuacji w 13. Korpusie Strzeleckim stwierdzono, że wielu jego dowódców nie rozumie sytuacji międzynarodowej, a jako przykład owego braku orientacji podano (retoryczne) pytanie szefa sztabu tej jednostki, płk. Bołozniewa: „Dla kogo mamy więcej sympatii, dla Polski czy Niemiec?”²⁸.

Spółeczeństwo sowieckie w znacznej mierze „nie nadało” za polityką kierownictwa państwa. Wychowywane w poprzednich latach w duchu antyfaszystowskim, było nadal wrogiem III Rzeszy, którą – wraz z Japonią – uważało za głównego wroga Związku Sowieckiego. Chociaż przeciętny mieszkaniec państwa Stalina nie darzył sympatią także Polski, jego niechęć do polskiego sąsiada nie osiągała takiego poziomu jak wobec Niemiec.

²⁶ K. Simonow, *Głazami czołowieka mojego pokolenija. Rozmyszenia o J.W. Stalinie*, Moskwa 1988, s. 79.

²⁷ *Radianski orbany...*, s. 994.

²⁸ *Agresja sowiecka na Polskę 17 września 1939 w świetle dokumentów*, t. 2: *Działania wojsk Frontu Ukraińskiego*, Warszawa 1996, s. 30.

Zdanie większości: „bratnia pomoc”

Nie mamy informacji, jak społeczeństwo przyjmowało wspomniany artykuł *O wewnętrznych przyczynach klęski militarnej Polski*. Wiemy natomiast, że z radiowego wystąpienia Mołotowa z 17 września 1939 r. sowieckiemu społeczeństwu najbardziej trafił do przekonania argument o potrzebie udzielenia pomocy „braciom Białorusinom i Ukraińcom”²⁹.

Mieszkanka Moskwy wspominała: „Kiedy sowieckie wojska wkroczyły na białoruskie i ukraińskie ziemie Polski, nie wąpiliśmy w oficjalną linię partii, że ta akcja została podjęta, by chronić mieszkańców tych terenów”³⁰. Podobnie reagował wspomniany już pisarz Simonow, który informację, że w związku z „rozpadem Polski” wojska sowieckie wkroczyły na „Zachodnią Białoruś i Zachodnią Ukrainę”, przyjął – jak sam pisze – „z uczuciem bezwarunkowej radości”³¹. Czym to uzasadniał? Generalnie złymi stosunkami Polski ze Związkiem Sowieckim w latach dwudziestych i trzydziestych, za które – jak wynika z jego wywodów – winił wyłącznie Polskę. Wkroczenie Armii Czerwonej na wspomniane ziemie i ich „wyzwolenie” uważał zatem za „sprawiedliwe”, tym bardziej że jeśli nie zajęłyby ich Związek Sowiecki – zajęłoby je Niemcy. Potwierdzeniem powszechności tego typu reakcji jest zapis w dzienniku prowadzonym przez członka Akademii Nauk ZSRS, mineraloga i geochemika Włodzimierza Wiernadskiego, z którego wynika, że „wszyscy” akceptowali zajęcie „Zachodniej Ukrainy i Białorusi”. W jego komentarzu pobrzmiewa wielkoruska, imperialna ideologia: „[...] polityka Stalina – Mołotowa jest realistyczna – pisał Wiernadski – i wydaje mi się, że jest właściwa, państwowo-rosyjska”³².

Opinia mniejszości: „czwarty rozbiór Polski”

Jednak nie wszyscy obywatele ZSRS bezrefleksyjnie godzili się z poglądem głoszonym przez władze państwowe, że państwo polskie nie istnieje, a wkroczenie wojsk sowieckich na terytorium Polski nie jest zbrojną agresją, lecz humanitarną misją mającą na celu ochronę miejscowej ludności.

²⁹ S. Uszakowa, *Idieologo-propagandistskije kampanii...*, s. 68.

³⁰ M. M. Leder, *My Life in Stalinist Russia*, Bloomington 2001, s. 162.

³¹ K. Simonow, *Głazami czetowieka...*, s. 80.

³² W.I. Wiernadskij, *Dniewniki 1935–1941 w dwóch książkach*, t. 2: 1939–1941, Moskwa 2006, s. 56.

I tak na przykład tłumacz Dragomanow z redakcji Wydawnictwa „Sztuka” w Kijowie, wyraził pogląd, że wkroczenie Armii Czerwonej do Polski to „[w] istocie czwarty rozbiór Polski, dokonany na mocy porozumienia między Stalinem a Hitlerem”³³. Podobnie oceniał sytuację aspirant w Instytucie Folkloru Akademii Nauk USRS, Łanowej, mówiąc: „Cóż powie cały świat? Powiedzą, że wraz z faszystowskimi Niemcami dzielimy Polskę”³⁴. A oto wypowiedź inżyniera pracującego na poczcie głównej w Kijowie, Kiewlicza: „Zagarnięcie przez Związek Sowiecki Zachodniej Ukrainy i Białorusi było ustalone z Niemcami jeszcze w chwili podpisywania paktu [o nieagresji]. To nie udzielenie bratniej pomocy, a zabór cudzego terytorium”³⁵. Jak widać, przenikliwiej myślące jednostki domyślały się istnienia tajnej umowy z Niemcami dotyczącej podziału Polski. Uwzględniając okoliczność, że ZSRS był państwem policyjnym, trzeba stwierdzić, że głosów oceniających wkroczenie wojsk sowieckich na polskie terytorium jako agresję i zabór cudzej ziemi było całkiem niemało.

Wiele wypowiedzi obywateli ZSRS odnotowanych w raportach NKWD wpisywało się w oficjalną linię propagandy, głoszącej, że wskutek „wyzwolenia” mieszkańcy Polski znajdują się w krainie wolności i dobrobytu. Nie brakowało jednak głosów przeciwnych. Przykładem może być wypowiedź studenta kijowskiego Instytutu Medycznego, Homerbarta, który 24 września 1939 r. oświadczył: „Lepiej było nie wyzwalać narodów Zachodniej Ukrainy i Białorusi z ucisku [polskich] panów, bo u nas wcale nie lepiej. Za jakiś czas to odczują”³⁶.

³³ *Radianski orbany...*, s. 999.

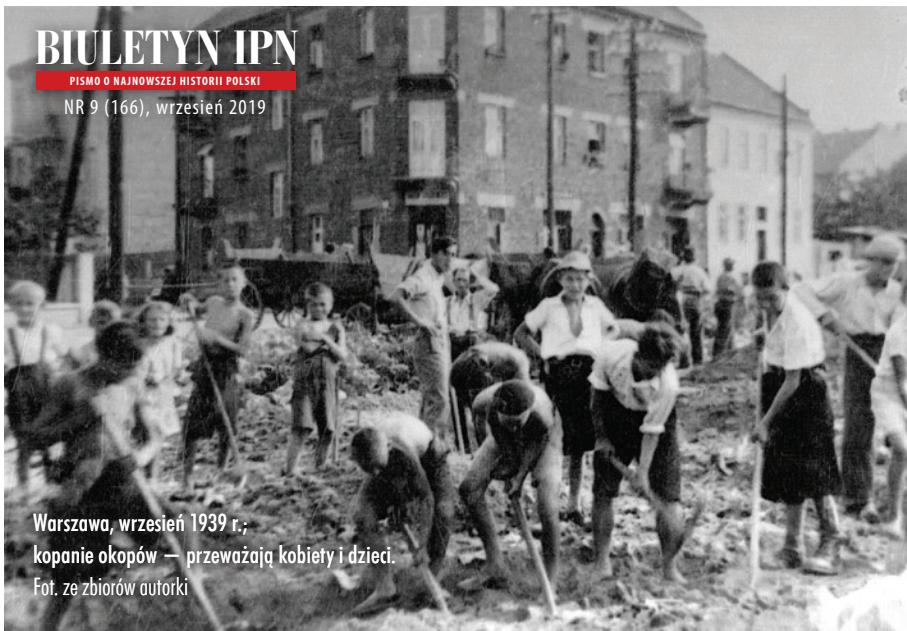
³⁴ *Ibidem*.

³⁵ *Ibidem*, s. 1000.

³⁶ *Ibidem*, s. 1055.



Sławomir Kalbarczyk (ur. 1961) – historyk, dr hab., pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: *Wykaz łagrów sowieckich, miejsc przymusowej pracy obywateli polskich w latach 1939–1943* (t. 1 – 1993, t. 2 – 1997); *Polscy pracownicy nauki – ofiary zbrodni sowieckich w latach II wojny światowej. Zamordowani, więzieni, deportowani* (2001); *Kazimierz Bartel (1882–1941). Uczony w świecie polityki* (2015).



Warszawa, wrzesień 1939 r.;
kopanie okopów — przeważają kobiety i dzieci.
Fot. ze zbiorów autorki

Elżbieta Dziwisz

Ludzie na drutach

Wojenne losy mamy, Felicji Dziwisz z domu Artwich, znałam na pamięć. O niemieckiej okupacji i Powstaniu Warszawskim oraz katordze w niemieckim obozie koncentracyjnym Stutthof chciała opowiedzieć całemu światu i opowiadała. Znajomym, rodzinie. Jako małe dziecko wchodziłam pod stół albo w kąt między ścianą a szafą i, niewidoczna dla nikogo, słuchałam.

W marcu 1998 r. spotkałam się z Elisabeth Erb, przewodniczącą niemieckiego stowarzyszenia Maximilian-Kolbe-Werk, które wspierało materialnie Oddział Opiekuńczo-Leczniczy dla Byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych w krakowskim Szpitalu im. Gabriela Narutowicza, oraz z Lee-Elisabeth Hölscher-Langner, żoną konsula generalnego Republiki Federalnej Niemiec w Krakowie. Mama była wtedy zbyt słaba, aby mówić. Zapytały, czy mogę to zrobić w jej imieniu. Zgodziłam się.

Początek

Swoją opowieść mama zaczynała zawsze tak samo: „Byłam trzy razy dziewiąta na dziesiątkowaniu. Cud, że żyję”. Teraz wiem, że dziesiątkowanie na placu apelowym w KL Stutthof stanowiło traumę, która ją bolała jak niezagojona rana, a w nocy nie dawała zasnąć. Na dom rodzinny mamy przy ul. Nowomiejskiej 1 na warszawskim Starym Mieście spadły we wrześniu 1939 r. bomby niemieckie. Kamienica została zrujnowana. Rodzina straciła cały dobytek, ale przeżyła. Od tej chwili życie stało się dla nich najważniejszą wartością. Inne, zwłaszcza materialne, odsunęły się daleko.

Przez dwa miesiące mieszkali kątem na Pradze przy ul. Zaliwskiego, u brata dziadka, a potem znaleźli mieszkanie na Mokotowie przy ul. Grottgera 10. Jakoś je urządzili, dużym wysiłkiem, a potem, po raz drugi, wszystko stracili, kiedy wybuchło i brutalnie stłamszone zgasało Powstanie Warszawskie.

Mamę, rocznik 1912, sanitariuszkę i łączniczkę w Powstaniu Warszawskim, do konspiracji wciągnął brat Jan Artwich. Przenosiła broń, meldunki i sprawozdania z rozmów, jakie ze sobą prowadzili Niemcy bawiący się wieczorami w wojskowym kasynie. Brat znał biegle język niemiecki. Był w kasynie krupierem. Pierwszym traumatycznym przeżyciem mamy w czasie okupacji było aresztowanie i uwięzienie na Pawiaku. Komórka AK wydostała ją stamtąd za łapówkę.

Pożegnanie kanarka

W opowieści mamy poruszała mnie scena pożegnania kanarka Maciusia w ostatnich dniach sierpnia 1944 r., gdy z babcią Walerią i ciocią Haliną musiała opuścić swoje mieszkanie. W tym rejonie Mokotowa Niemcy i ukraińscy kolaboranci w niemieckich mundurach wysiedlali ludność cywilną. Dom po domu. Straszna sławę jako wykonawca rozkazu wymordowania w pierwszych dniach sierpnia 80 cywilów z domów przy ul. Puławskiej 49 i 51 zyskał Polak służący w niemieckiej



Felicia Artwicz, Warszawa, 1947 r.

Fot. ze zbiorów autorki

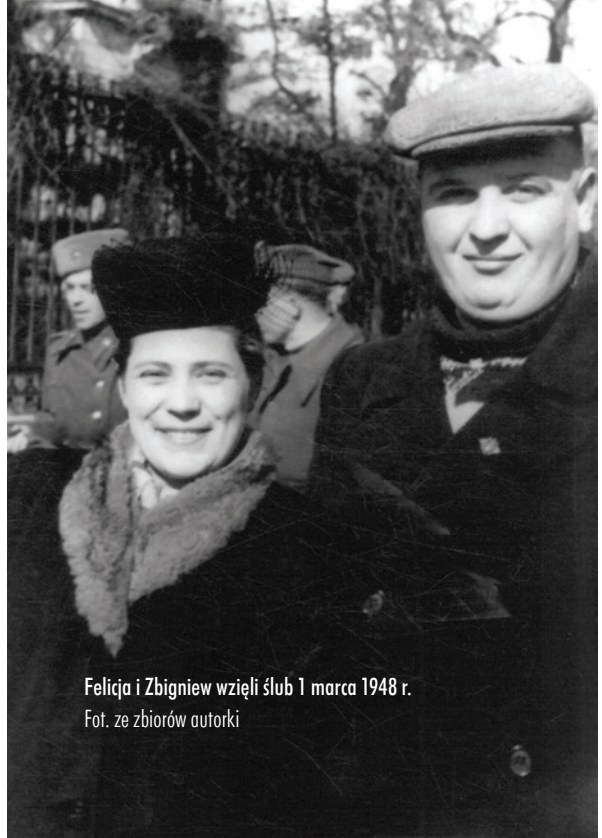
żandarmerii, folksdojcz Edward Malicki (vel Maliszewski).

Zamykając za sobą drzwi wejściowe wcześniej rano, mama wiedziała, że to dla niej koniec walki. Może też koniec życia. Zbrodnie, grabieże, gwałty pijanych żołdaków, pożary, rzezie w szpitalach, mord setek ludzi, w tym również nieletnich, w więzieniu mokotowskim przy ul. Rakowieckiej i niedaleko, w klasztorze Jezuitów, kobiety gnane jako żywe tarcze przed niemieckimi czołgami... Straszne rzeczy się działy. Ale co zrobić z Macusiem? Wypuścić kanarka i otworzyć okno?

Nie poradzi sobie. Wyjęła go z klatki, wzięła na ręce, a potem wszędzie, gdzie się dało, rozsypała dla niego pokarm i poustawiała miseczki z wodą.

W drugiej scenie z upadającej Warszawy, która przemówiła do mojej dziecięcej wyobraźni, mama idzie ulicą. Jaka, nie zapamiętała. Zapada zmrok, płonie duży dom, otaczają go smugi dymu, a tu nie wiadomo skąd dociera niezwykła muzyka. Kto teraz gra? A to płonąła fabryka fortepianów. Pod wpływem temperatury instrumenty same zaczęły grać. Nie chciały umierać w milczeniu.

Babcia, mama, jej młodszy brat Janek i jego żona zostali aresztowani przez Sicherheitspolizei 28 sierpnia 1944 r. Rodzinę rozdzielono. Mama, jej brat i bratowa nie wiedzieli, co stało się z babcią Walerią (trafiła do obozu dla ludności cywilnej w Pruszkowie, po ucieczce niemieckiej załogi 16 stycznia 1945 r. wróciła do Warszawy). Załadowano ich do bydłych wagonów. Prawie trzy doby jechali słoczeni tak, że trudno było się nawet obrócić. Brakowało powietrza, fetor był straszny. Tylko dwa razy wagony otwarto i pod strażą karabinów, aby komuś nie przyszło do głowy uciekać, Niemcy pozwolili ludziom wyjść i załatwić potrzeby fizjologiczne. Pociąg zatrzymał się 31 sierpnia. Kazali wysiadać. Wtedy wywiezieni



Felicia i Zbigniew wzięli ślub 1 marca 1948 r.

Fot. ze zbiorów autorki

dowiedzieli się, gdzie są. W obozie koncentracyjnym Stutthof, 36 km od Gdańska. Od razu nastąpił podział: mężczyźni osobno, kobiety osobno. „Trzymajcie się razem” – zdążył powiedzieć brat do mamy i swojej żony, która była w ciąży.

Pierwszą noc spędzili w pustym baraku na ziemi. Rano rewizja osobista, Niemcy kazali oddać pieniądze, złoto, biżuterię. I rozebrać się do naga. Więźniowie dostali obozowe pasiaki i drewniane chodaki na nogi. Dla mamy chodaków nie było. Miała bardzo małą stopę. Pozwolili jej pozostać w skórzanych oficerkach. Obóz był przepełniony ludźmi różnych narodowości. Najwięcej Żydów. Z całej Europy, dużo było Żydów węgierskich. Więźniami byli Litwini, Łotysze, Holendrzy, Czesi, Belgowie, Francuzi, Norwegowie, Niemcy, Romowie, no i Polacy. W większości z Pomorza, od upadku Powstania – z Warszawy. Mama z ciotką, tak jak pozostałe więźniarki, spały po dwie osoby na jednej pryczy.

Trzy razy dziewięć

W obozie apele poranne trwały krócej, wieczorne nawet godzinę, niekiedy jeszcze dłużej. Liczono więźniów. Kiedy któryś z nich uciekł i nie został schwytyany lub wykroczył przeciw obozowemu regulaminowi, karę ponosili wszyscy. Stali godzinami, niektórzy padali na ziemię wycieńczeni pracą, chorobami, zimą. Osobną opowieścią mamy była ta o dziesiątkowaniu więźniów. „Stałyśmy na placu apelowym – mówiła – natomiast aufzejerki [*Aufseherin* – strażniczka] w mundurach SS chodziły między szpalerami więźniarek i liczyły do dziesięciu. Dziesiąta była bita. Bywało, że na śmierć. „Eins, zwei, drei, vier, fünf, sechs, sieben, acht, neun”. Mama liczyła głośno, dobitnie wymawiała „neun”, a następnie urywała. Na nią trzy razy padło owo „neun”. Dziewięć. A na stojącą obok „zehn”, czyli dziesięć.

Schowana za szafą lub pod stołem, słysząc „zehn”, ze strachu zasłaniałam oczy, jak to robi kilkuletnie dziecko. Nie znam niemieckiego, ale do dzisiaj liczyć do dziesięciu w tym języku potrafię.

Mama wiedziała, że na terenie obozu działa organizacja konspiracyjna więźniów. Janek do niej należał. Kilka razy nocą do baraku, gdzie spały mama i ciocia Halina, podeszli więźniowie i przez dach spuścili do środka worek z ugotowanymi kartoflami albo innym pożywieniem, które zdobyli, pracując na zewnątrz oraz w magazynach. Noc nie zawsze była porą snu. Zwłaszcza w męskim obozie co

jakiś czas odbywały się nocne apele. Pijani esesmani wybierali kilku więźniów i bili, aż ofiary traciły przytomność.

Pewnego dnia mama zauważyła z daleka brata. Miał siłą twarz, pokrwawione nogi, ledwie się włókł. Przechodzący przy ogrodzeniu jego kolega cicho szepnął jej, że to Janek krzyczał ostatniej nocy. Pierwszy raz straciła świadomość tego, co robi. Stała przed barakiem, zaczęła bić głową o ścianę, płakać i głośno krzyczeć. Przechodzili zastępca komendanta obozu i strażniczkę. Rzuciła się do nich: „Wydranie, szubrawcy, łajdaki!”.

Była pewna, że Niemiec wyjmie pistolet i ją zastrzeli. Chciała tego. Czekwała. Strażniczkę patrzyła, co zrobi komendant. A on nic. Poszedł dalej. Więźniarki zaciągnęły mamę do baraku. Za kilka dni transport mężczyzn odjechał do pracy w fabryce amunicji w Hanowerze. Wujek nie zdążył się dowiedzieć, że ciocia Halina urodziła córeczkę. Gdzieś między Stutthofem a Hanowerem został zamordowany albo umarł z wycieńczenia. Ciocia ochrzciła dziecko wodą zaraz po urodzeniu. Trzeciego dnia blokowa zabrała noworodka. Nieniosła daleko. Chwyła za nóżki, a potem kilka razy uderzyła główką o ścianę i wrzuciła do kubła z odpadkami.

Kiedy opowiadałam o tym Elisabeth Erb (już nie żyje, zapamiętałam ją jako kobietę skupioną, bardzo poważną, ale z ciepłym uśmiechem, który często pojawiał się na jej twarzy; pacjentom szpitala okazywała życzliwość i troskę), zadała mi pytanie: „Czy mama nauczyła panią nienawiści do Niemców?”. „Tego nie, odrzekłam. Każdy człowiek jest inny. Nawet w piekle, była tego pewna, można spotkać anioły”.

Drugie pytanie pani Erb

Strach wzbudzała we mnie, kiedy byłam dzieckiem, opowieść o głodnym szczurze. Otóż pewnego dnia wybuchło zamieszanie. Coś się stało w obozie kobiecym. Więźniarki, które pracowały przy kopaniu torfu, wśród nich mama, właśnie wróciły do baraków. A tu sygnał, że należy biec na plac, bo zacznie się apel karny.

Na środku placu stał stół zrobiony z desek. Do stołu doprowadzono nagą Żydówkę, u której strażniczkę znalazła pierścionek z brylantami. Któraś więźniarka na nią doniosła. Z głodu zapewne. Bo z głodu – mówiła mama – człowiek może robić różne rzeczy. Kraść. Donosić. Niektóre z więźniarek już nie mogły głodu wy-



Od lewej: Maria Smolka z d. Artwich, Waleria Artwich i Felicja Artwich.
Fot. ze zbiorów autorki

trzymać, szły na druty pod napięciem i na tych drutach zostawały.

Ta, która dopuściła się zbrodni ukrycia pierścionka, o czym w zamian za dodatkowe racje żywności poinformowała blokową współtowarzyszka obozowego losu, miała teraz zostać przykładnie ukarana. Na oczach reszty uwięzionych, aby nikt już nigdy nie odważył się dokonać podobnego czynu. Kobieta musiała wdrapać się na stół. Została do niego

przywiązana. Lekarz niemiecki, a może to nie był lekarz, mama nie miała pewności, skalpelem otworzył jej brzuch. Puszczono szczura. Poczul krew. Ukrył się we wnętrznościach kobiety.

Kiedy w opowieści o szczurze padło słowo „wnętrzości”, Elisabeth Erb zadała mi drugie pytanie: „Czy nigdy pani nie pomyślała, że mama konfabuluje?”. „Nie pomyślałam, odparłam. Ona zawsze, ale to zawsze opowiadała dokładnie to samo, w takiej samej kolejności. Niczego nie dodawała. Nie zmieniała”.

W końcu stycznia 1945 r. rozpoczęła się ewakuacja obozu. Pieszko, kolumnami ruszył marsz śmierci. Ciocia Halina wyszła wcześniej, mama w połowie lutego. Kto upadł i nie miał siły iść, był dobijany. Mama mijała leżące po obu stronach drogi trupy i starała się zaglądać w twarze kobiet. Oby tylko nie zobaczyć Haliny! Sama z trudem szła, chorowała na dyfteryt. Miała gorączkę. Po wielu godzinach marszu na mrozie, przez zwały śniegu, zachwiała się na nogach i stoczyła na ziemię. Podbiegła do niej blokowa, Niemka, która okładała pejcem, aby przyspieszyły. Nikt jej o współczucie nie mógł podejrzewać. Wiadomo było, co teraz zrobi. A ona podała mamie swoją manierkę i powiedziała: „Pij!”. W manierce była wódka. Mama wstała i powlokła się dalej. Tak doszła do podobozu w Kokoszkach.

Zmartwychwstanie kanarka

Sama sobie wymyśliłam dobre zakończenie, bo dzieci lubią, kiedy historie kończą się szczęśliwie: Mama wraca do Warszawy, wchodzi do mieszkania przy ul. Grottgera 10 na trzecim piętrze, patrzy, a tam leży kanarek Maciuś. Bierze go do ręki, ptak zaczyna poruszać skrzydłami. I na tym moje zakończenie opowieści mamy się urywało.

Wracając tramwajem do domu na krakowskim osiedlu, czułam się rozedrgana, nieobecna, nieprawdopodobnie wyczerpana, ogarnięta lękiem... Jak nigdy w życiu. Teraz wiem, że były to objawy zespołu stresu pourazowego, diagnozowane przez psychiatrów m.in. u dzieci byłych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, o czym wówczas nie słyszałam. Myślałam, że to następnego dnia minie. Ale nie minęło. Po południu odezwał się telefon. Dzwoniła żona konsula generalnego RFN w Krakowie. Powiedziała, że mnie przeprasza. Byłam jej wdzięczna za te słowa.

Mama odeszła 6 października 1998 r. Wśród osób idących za jej trumną na cmentarzu Rakowickim w Krakowie była Niemka urodzona w Berlinie, Lee-Elisabeth Hölscher-Langner (w 2008 roku odznaczona polskim Orderem Ecce Homo). Podeszła do mnie i uściśniła rękę. Dzień był słoneczny. Jak na październik bardzo ciepły.

W Muzeum Stutthof w Sztutowie pozostała teczka akt personalnych mamy nr I-III-625. W tłumaczeniu z języka niemieckiego zapis brzmi tak: „Artwich Felicia ur. 18.5.1912 r. w Warszawie, aresztowana 28.8.1944 r. przez Sipo Warszawa. W obozie oznaczona numerem 87 413 jako więzień polityczny”.



Elżbieta Dziwisz (ur. 1949) – dziennikarka, autorka reportaży o tematyce społecznej.



Paweł Perzyna

Nieheroiczny państwowiec

Błażej Stolarski
(1880–1939)

Błażej Stolarski należy do tych bohaterów niepodległości, których dokonań nie mierzy się udziałem w walce z bronią w rękę ani też brawurowymi akcjami partyzanckimi. Imponujące natomiast były jego osiągnięcia w pracy na rzecz budowy od podstaw życia społecznego, politycznego i gospodarczego w jednym organizmie państwowym, tworzącym się po przeszło stuletniej niewoli.

Błażej Stolarski.

Fot. Archiwum Zakładu Historii
Ruchu Ludowego

Obchody setnej rocznicy odrodzenia niepodległej Polski stały się dobrą okazją do przedstawiania prócz wybitnych polityków także cichych, często zapomnianych lokalnych bohaterów. Stolarskiego nie da się jednoznacznie zaszufladkować, wtłoczyć w gorset przeciętności i niewyróżniania się, które cechują bohatera podejmującego organiczną pracę u podstaw. Wyjątkowa, rzadko spotykana osobowość chłopca samouka i wszechstronność zainteresowań każą umieścić Stolarskiego w połowie drogi między tradycją romantyczną a pozytywistyczną.

Lokalny przywódca

Urodził się 2 lutego 1880 r. w Ciebłowicach jako syn Wojciecha i Małgorzaty z domu Piechna. Nie uczęszczał do szkoły. Czytać i pisać uczył się z elementarza Konrada Prószyńskiego, a w nauce początkowo wspierali go robotnicy z Inowłódza zatrudnieni w pobliskich lasach, później zaś tajemniczy pan Anoży, pochodzący z Kujaw były powstaniec styczniowy.

Stolarski zyskał sobie najpierw autorytet na wsi. Pierwszym przedsięwzięciem, które wypromowało go w lokalnym środowisku, było jego zaangażowanie w organizację (w latach 1904–1905) zbiorowego przesiedlenia wsi z terenów piaszczystych i nękanych przez dzikie zwierzęta do rozparcelowanego majątku Wykno. Został sołtysem nowej wsi Sługocice.

Był też współzałożycielem Towarzystwa Kredytowo-Oszczędnościowego (1906), późniejszej Kasy Stefczyka w Będkowie, a następnie inicjatorem (1907) i członkiem kółka rolniczego w Będkowie. Największy rozgłos przyniosła mu hodowla bydła. Swoją oborę doprowadził przed I wojną światową do takiego stanu, że można ją było traktować jako zarodową dla bydła rasy czerwonej polskiej. W ciągu dziesięciu lat Stolarski osiągnął status przodującego rolnika nie tylko w rodzinnej wsi, lecz także w okolicy, a jego posiadłość w dość krótkim czasie przejęła – poza typową działalnością produkcyjną – funkcję ośrodka postępu rolniczego.

Awans społeczny

Dysponując specjalistyczną wiedzą zdobytą na kursach rolniczych, brał udział w pokazach i konkursach. Główny Zarząd Organizacji Gospodarstw i Rolnictwa w Petersburgu 19 lutego 1914 r. przyznał Stolarskiemu z okazji trzechsetlecia panowania dynastii Romanowów świadectwo uznania oraz nagrodę pieniężną w wysokości

300 rubli za prowadzenie wzorowego gospodarstwa. Otrzymałą gratyfikację finansową przeznaczył na ufundowanie szkoły elementarnej, zarejestrowanej jako ochronka w Sługocicach, która rozpoczęła działalność 15 listopada 1914 r. Stała się ona początkiem kolejnych inicjatyw edukacyjnych Stolarskiego. W 1917 r. współzałożył Towarzystwo „Uczelnia Polska” im. Tadeusza Kościuszki w Będkowie (istniało do lipca 1920 r.) oraz był współinicjatorem powstania i prezesem rady szkolnej progimnazjum w Będkowie. Uzupelnieniem działalności oświatowej Stolarskiego na terenie powiatu było jego zaangażowanie w tworzenie bibliotek i czytelni w ramach powstałego w marcu 1916 r. Towarzystwa Oświatowego „Wiedza”, a następnie Polskiej Macierzy Szkolnej w Brzezinach. Wyrazem uznania dla aktywności społecznej gospodarza ze Sługocic stał się najpierw jego wybór na prezesa Rady Opiekuńczej w Będkowie (1916). Później został członkiem sejmiku powiatowego w Łodzi (1916) i przewodniczącym rady gminy w Będkowie (1917).

Te wszystkie osiągnięcia prowadziły również do awansu Stolarskiego w organizacjach rolniczych. W 1916 r. został dokooptowany do grona członków Zarządu Wydziału Kółek Rolniczych Centralnego Towarzystwa Rolniczego, a rok później objął nieformalne przywództwo w grupie działaczy domagających się reformy tej organizacji. Generalna batalia wokół jego wniosku w sprawie utworzenia samodzielnej organizacji kółek rolniczych rozegrała się na zjeździe przedstawicieli kółek w styczniu 1918 r. Wydział przybrał wówczas nazwę Związek Kółek Rolniczych. Uzyskał zarazem większą samodzielność i wpływ na pracę Centralnego Towarzystwa Rolniczego, a Stolarski został wiceprezesem ZKR, przekształconego w marcu 1920 r. w samodzielny Centralny Związek Kółek Rolniczych. Funkcję tę pełnił do 1928 r.

Działalność niepodległościowa

Jako prężny rolnik i lokalny aktywista trafił do polityki. Związał się z ruchem narodowym, do którego doprowadziła go działalność oświatowa i w kółkach rolniczych. W 1912 r. znalazł się w gronie założycieli Narodowego Związku Chłopskiego. Jak wielu podobnych do niego, był reprezentantem nurtu narodowego w formule i niepodległościowego w działaniu. W czasie I wojny światowej został członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej. Współpracował m.in. z ośrodkiem POW w Retkini. To tam lub w Łodzi spotykali się „emisariusze”, którzy prowadzili akcję uświadamiającą społeczeństwo w zakresie celów ruchu niepodległościowego, jeżdżąc

na wiece publiczne lub spotkania konspiracyjne m.in. do Brzezina, Łasku, Szadku, Zduńskiej Woli, Sieradza i Aleksandrowa. Wśród nich znajdowali się: Jerzy Ostoja-Neugebauer, Tadeusz Hołowko, Błażej Stolarski, Tomasz Nocznicki, Mieczysław Jeżewski, Juliusz Poniatowski i dr Stefan Kopciński.

Z NZCh 26 października 1915 r. wyodrębnił się Związek Ludu Polskiego, co doprowadziło do awansu nowych działaczy, wśród których znalazł się również Stolarski, powołany w skład Zarządu Głównego nowego ugrupowania. Związek utrzymał samodzielność zaledwie przez kilka tygodni.

Wkrótce bowiem połączył się ze Stronnictwem Ludowym i Związkiem Chłopskim w jedną partię. Gospodarz ze Sługocin nie awansował co prawda do władz Polskiego Stronnictwa Ludowego, ale już dwa tygodnie później, 18 grudnia 1915 r., został reprezentantem PSL i Łodzi w Centralnym Komitecie Narodowym, czyli organizacji reprezentującej stronnictwa niepodległościowe Królestwa Polskiego. Pozostał w CKN do maja 1917 r.

Po ogłoszeniu Aktu 5 listopada 1916 r. Stolarski znalazł się w składzie Tymczasowej Rady Stanu, pomyślanej jako organ doradczy i przygotowujący zrzęby organizacyjne instytucji dla mającego powstać w przyszłości państwa polskiego. Uczestniczył we wszystkich dwudziestu posiedzeniach plenarnych Rady między 17 stycznia a 2 lipca 1917 r. oraz brał udział w pracach Komisji Wojskowej i rad departamentów: spraw wewnętrznych, pracy, gospodarstwa społecznego. To właśnie od momentu powołania w skład TRS Stolarski zaczął być postrzegany jako



polityk już nie lokalnego, lecz ogólnopolskiego formatu, a pozytywna ocena jego zaangażowania zaowocowała awansem w hierarchii partyjnej. Na II Walnym Zjeździe PSL w lutym 1917 r., w którym uczestniczył Józef Piłsudski, Stolarski został członkiem Zarządu Głównego, a trzy miesiące później objął, po wspomnianym Nocznickim, funkcję prezesa PSL. Pozostał nim do 1922 r., a w latach 1923–1925 będzie zajmował stanowisko wiceprezesa PSL „Wyzwolenie”.

Sukcesy i porażki polityczne

W nocy z 6 na 7 listopada 1918 r. stronnictwa skupione w Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Demokratycznych utworzyły w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim na czele, w którym Stolarski został ministrem bez teki oraz sygnatariuszem odezwy programowej. Pięć dni później gabinet złożył dymisję na ręce Piłsudskiego. Powstał rząd Jędrzeja Moraczewskiego. Delegowani do niego ludowcy z Galicji z Wincentym Witosem na czele faktycznie nie objęli urzędów i po miesiącu zostali przez PSL „Piast” odwołani. Na tym zamieszaniu skorzystał Stolarski, który 29 grudnia objął i do 16 stycznia 1919 r. sprawował urząd ministra rolnictwa i dóbr państwowych. W tym krótkim czasie zdążył mianować pewną liczbę urzędników w ministerstwie oraz w głównej i okręgowych komisjach ziemskich. W okresie pełnienia przez niego funkcji mi-

nisterialnej przygotowano również zarys projektu uchwały o reformie rolnej oraz projektu ustawy o przejęciu przez rząd tzw. majątków koronnych.

Wybory do Sejmu Ustawodawczego odbyły się 26 stycznia 1919 r. Stolarski otrzymał mandat z okręgu łódzkiego. Został również prezesem Klubu Poselskiego PSL „Wyzwolenie”. Formalnie skupił w swoim ręku najbardziej kluczowe stanowiska w stronnictwie i mógł wpływać na taktykę i strategię „Wyzwolenia”, analogicznie jak uczynił to Witos w swojej partii. Tak się jednak nie stało, gdyż Stolarski nie miał cech wodza i charyzmy swojego konkurenta w ruchu ludowym. Był tylko posłem dwóch następnych kadencji, nigdy nie po-



Fot. kopiu ze zbiorów Zbigniewa Stolarskiego



wtórzył sukcesu z 1919 r. Po pierwsze, nigdy więcej nie zdobył mandatu z okręgu, dwukrotnie wszedł do sejmu dzięki wysokiemu miejscu na liście państwowej. Po drugie, nie połączył już stanowisk szefa partii i prezesa klubu poselskiego. W latach 1925–1927 kierował tylko frakcją parlamentarną

W pierwszej dekadzie niepodległej Polski, podobnie jak przed 1918 r., z pewnością uważał się za piłsudczyka, zarówno w aspekcie swojego udziału w ruchu niepodległościowym w czasie I wojny światowej, jak i związków z osobami ze środowiska politycznego skupionego wokół Marszałka. Bywał zapraszany przez Adama Skwarczyńskiego, głównego teoretyka obozu piłsudczykowskiego, na spotkania w redakcji „Drogi”, uczestniczył w pracach komitetów organizacyjnych obchodów rocznicy wymarszu I Kompanii Kadrowej 6 sierpnia (1919) i zjazdu byłej POW (1920), brał udział w uroczystościach imieninowych Marszałka 19 marca 1924 r. w Sulejówku.

Stosunek Stolarskiego – jak i całego PSL „Wyzwolenie” – do zamachu majowego i rządów sanacji ewoluował: od poparcia i nadziei na realizację przez Piłsudskiego postulatów popierających go stronnictw do dezaprobaty dla systemu sprawowania władzy. Różnica polegała tylko na tym, że zmiana w postawie gospodarza ze Słu-

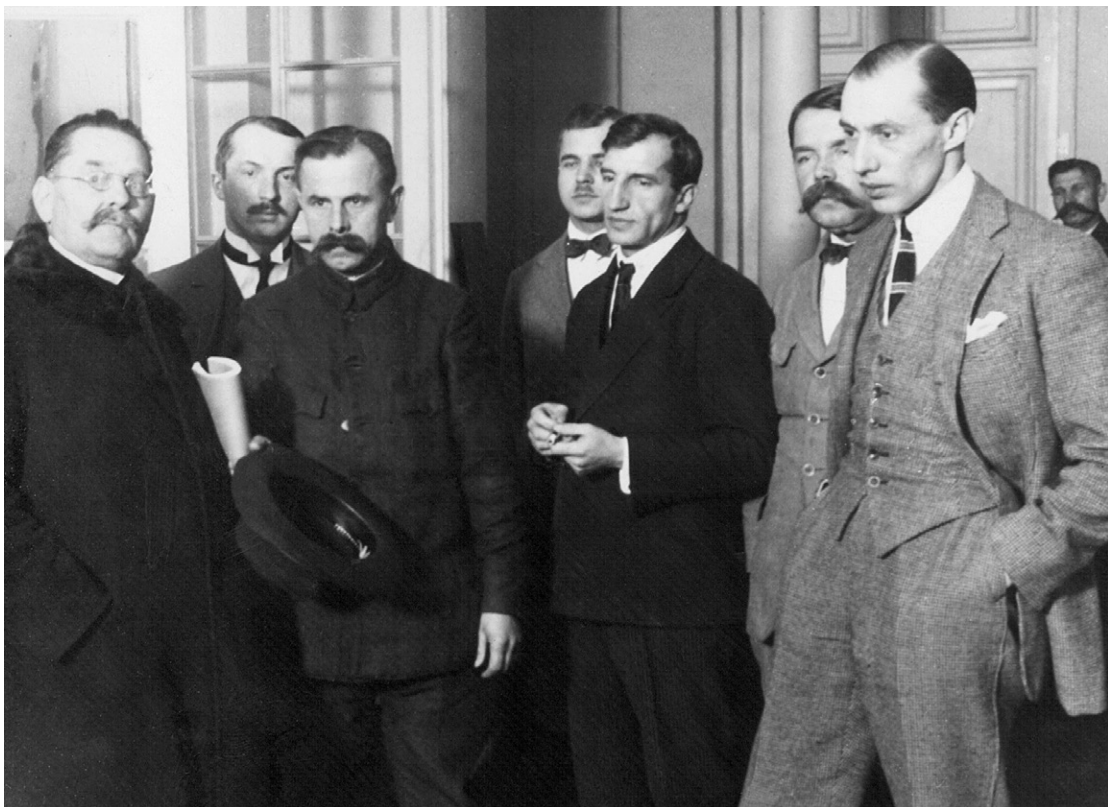
gocic nastąpiła z co najmniej dwuletnim opóźnieniem w porównaniu z reakcjami kolegów ze stronnictwa. Jego krytyczny stosunek do władz pomajowych nigdy nie przekroczył jednak granicy, za którą niemożliwe byłoby nawiązanie w przyszłości jakiegokolwiek współpracy. W trakcie tworzenia i konsolidacji stronnictw opozycyjnego Centrolewu Stolarski nie odegrał praktycznie żadnej roli, co w konsekwencji doprowadziło do jego całkowitej marginalizacji politycznej. Na liście państwowej Związku Obrony Prawa i Wolności Ludu w wyborach do Sejmu RP trzeciej kadencji gospodarz ze Sługocic otrzymał 28. miejsce i nie uzyskał mandatu poselskiego.

Do zjednoczenia PSL „Piast”, PSL „Wyzwolenie” i Stronnictwa Chłopskiego doszło 15 marca 1931 r. W trakcie debaty nad nazwą dla nowego ugrupowania zwyciężyła propozycja zgłoszona przez Stolarskiego – Stronnictwo Ludowe. Ale, choć wybrano go na wiceprzewodniczącego Rady Naczelnej SL, nie odegrał w nowej partii znaczącej roli. Brak sukcesów politycznych mogły w pewnym stopniu rekompensować przyznawane mu odznaczenia. Decyzją prezydenta RP z 16 lipca 1932 r. otrzymał on bowiem Krzyż Niepodległości z tytułu czynnych zasług dla jej odzyskania, a pięć lat później – Srebrny Krzyż Zasługi za działalność społeczną.

Od połowy 1934 r. Stolarski pozostawał w bliskich kontaktach z Juliuszem Poniatowskim, awansowanym na stanowisko ministra rolnictwa i reform rolnych. Rok później Nadzwyczajny Kongres SL podjął decyzję o bojkocie wyborów. Niezgodząca się z tym stanowiskiem grupa dziewiętnastu działaczy wywodzących się z PSL „Wyzwolenie” i SCh wydała 8 sierpnia deklarację o opuszczeniu SL. Stolarski wraz z Maksymilianem Malinowskim i innymi rozłamowcami podjęli próbę odbudowania PSL „Wyzwolenie”. Reaktywacja stronnictwa jednak się nie powiodła i po deklaracji ideowo-politycznej płk. Adama Koca z 21 lutego 1937 r. gospodarz ze Sługocic zgłosił akces do Obozu Zjednoczenia Narodowego, a po nim dokonało tego całe PSL „Wyzwolenie”.

Stolarski był stopniowo wciągany w orbitę wpływów obozu sanacyjnego. W ostatnich dwóch latach przed wybuchem II wojny światowej, oprócz aktywności *stricto* politycznej, sporo uwagi poświęcał działalności w Komitecie do spraw Kultury Wsi przy Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych. Nowy szef OZN, gen. Stanisław Skwarczyński, 9 kwietnia 1938 r. powołał gospodarza ze Sługocic na stanowisko członka Rady Naczelnej Obozu, a miesiąc później wszedł on w skład prezydium rady.

W 1938 r. Stolarski wystartował w wyborach do senatu. Znalazł się w gronie pięciu senatorów piątej kadencji reprezentujących województwo łódzkie. Na pierw-



Grupa posłów ZPSL „Wyzwolenie” i „Jedność Ludowa” w kuluarach sejmowych, listopad 1925 r.; od lewej: Marian Malinowski, Błażej Stolarski, Juliusz Poniatowski, Jan Smoła, Bogusław Miedziński. Fot. Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego

szym posiedzeniu senatu 28 listopada 1938 r. wyłoniono prezydium. Marszałkiem został Bogusław Miedziński, a jego zastępcami: Stolarski, Stefan Dąbkowski i Alojzy Pawelec.

W kontekście meandrów kariery politycznej gospodarza ze Sługocic w okresie międzywojennym warto zauważyć jedną prawidłowość. Jego wzloty przypadały na okresy wspierania Piłsudskiego i obozu sanacyjnego, a upadki – na czas pozostawania w opozycji do Marszałka i ukształtowanego przez niego systemu rządów po 1926 r.

Zaskakujące wybory społeczne i gospodarcze

Po przewrocie majowym obóz rządzący podjął starania zmierzające do unifikacji i podporządkowania swojej polityce organizacji rolniczych. W 1929 r. powołano Centralne Towarzystwo Organizacji i Kółek Rolniczych. Grupa nieprzychylnych zjednoczeniu działaczy CZKR wyłoniła Komitet Obrony Samodzielności Kółek

» Dla Błażeja Stolarskiego najwyższą wartością była idea służby społecznej, wznoszenia się ponad podziały polityczne dla dobra kraju. »

Rolniczych, na czele którego stanął Stolarski. Z Komitetu wyłonił się w grudniu 1929 r. Związek Zawodowy Rolników, a jego pierwszym przewodni-

czącym został gospodarz ze Sługocic. Związek nie rozwinął szerszej działalności. W latach trzydziestych współorganizował strajki rolne. W trakcie jednego z nich, 18 września 1933 r., Stolarskiego zatrzymano i na trzy tygodnie osadzono w areszcie.

Po odejściu z SL był lider PSL „Wyzwolenie” przystąpił do zwalczanych wcześniej organizacji. Został członkiem Rady Okręgowej (1935), a następnie Rady Głównej (1938) Związku Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych RP. Na początku 1939 r. dokooptowano go do Rady Głównej CTOiKR. Włączył się także do pracy w powstającym samorządzie rolniczym – w 1936 r. został członkiem Rady oraz Komisji Ekonomicznej i Komisji Spółdzielczej Łódzkiej Izby Rolniczej. Pełnił w niej także funkcję przewodniczącego Komisji Organizacji Wsi i Gospodarstw Wiejskich, nadzorując całą kampanię organizacji gospodarstw wzorcowych i powstałych z przebudowy ustroju rolnego na obszarze działalności ŁJR.

Trwająca przez ponad trzy dekady aktywność Stolarskiego w organizacjach rolniczych i spółdzielczych miała charakterystyczny rys, szczególnie widoczny po 1918 r. Było nim wychowanie obywatelskie chłopów, kształtowanie w nich postaw przywiązania do niepodległej Ojczyzny, przy jednoczesnym zobowiązaniu ich do wypełnienia obowiązków wobec państwa w postaci płacenia podatków i danin oraz oddawania rekrutów do wojska. Mimo niechęci do właścicieli ziemskich, Stolarski uznawał ich za reprezentantów profesji rolników i nie wzywał przedstawicieli swojej grupy społecznej do rewolucyjnych wystąpień przeciwko nim. Najwyższą wartością była dla niego idea służby społecznej, wznoszenia się ponad podziały społeczne i polityczne dla dobra kraju, co świadczy o nim jako wysokiej rangi państwowcu.

Pisarz, publicysta i samorządowiec

Jeden z wielu fenomenów Stolarskiego wynikał z tego, że będąc samoukiem, publikował on książki, m.in. dla dzieci: *Pani Kanapka* (1921), *Cudowne bajki. Powiastki, legendy i opowiadania z rysunkami Henryka Toma* (1933), broszury polityczne:



Tablica nagrobna na cmentarzu w Berlinie. Fot. ze zbiorów autora

Chłop a reformy rolne (1919), *Drobny rolniku, rozważ to sobie* (1922), *Niedzielna pogawędka sąsiedzka o wyborach do Sejmu i Senatu* (1922), *O czystość wyborów* (1923), *Drobni rolnicy a państwo polskie* (1928) oraz artykuły prasowe na łamach „Gazety Świątecznej”, „Chłopa Polskiego”, „Ludu Polskiego”, „Zorzy”, „Przewodnika Kółek i Stowarzyszeń Rolniczych”, „Wyzwolenia” i „Życia Rolniczego”. W połowie 1925 r. ukazała się najważniejsza publikacja Stolarskiego: *Śługocice. Obraz życia i pracy jednej wioski*, będąca źródłem wiedzy dla badaczy zagadnień ekonomiki rolnej, demografii, oświaty wiejskiej, etnografii i socjologii. Polityk pozostawił też po sobie fragmenty pamiętników oraz opracowania dotyczącego melioracji, ale planów wydawniczych w tym zakresie nie udało mu się już zrealizować.

Równocześnie z pełnieniem mandatu posła oraz wielu odpowiedzialnych funkcji w organizacjach społecznych i gospodarczych Stolarski pozostawał czynnym samorządowcem. W listopadzie 1918 r. objął na dwa miesiące stanowisko wójta gminy Będków. Od 1919 r. pełnił funkcję radnego w sejmiku powiatowym w Brzezinach, a w latach 1921–1922 również obowiązki członka wydziału powiatowego. Radnym powiatowym został ponownie w 1934 r. Dodatkowo wybrano

go na członka wydziału powiatowego w Brzezinach. W całym okresie II Rzeczypospolitej był radnym gminnym, brał udział w zgromadzeniach gminnych oraz mieszkańców swojej wsi. Od 1933 r. był członkiem rady gromadzkiej Sługocic.

Po ostatnim posiedzeniu Senatu RP, które odbyło się w drugim dniu wojny, wicemarszałek Stolarski wrócił do swej wsi. Wkrótce, 10 września 1939 r., został aresztowany przez Niemców, a następnie przetransportowany na przyfrontowe lotnisko polowe w Popielawach i samolotem wywieziony w nieznanym kierunku. Do niedawna nie były znane jego dalsze losy. Według informacji uzyskanych przez syna Wojciecha z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża na początku 1943 r., Stolarskiego zastrzelono przy próbie ucieczki. Zgodnie z odpowiedzią Międzynarodowej Służby Poszukiwań (Internationaler Suchdienst – ITS) w Bad Arolsen udzieloną Konsulatowi RP w Bonn w 1995 r., Stolarski prawdopodobnie zmarł w Berlinie.

Po 79 latach, dzięki danym gromadzonym przez Fundację „Polsko-Niemieckie Pojednanie”, udało się odkryć tajemnicę miejsca pochówku senatora ze Sługocic. Okazało się, że Błażej (zapisany jako Blasius) Stolarski zmarł 21 października 1939 r. i spoczął na cmentarzu parkowym (Parkfriedhof) w berlińskiej dzielnicy Marzahn.

BIBLIOGRAFIA

- Giza S., *Błażej Stolarski 1880–1939*, [w:] *Przywódcy ruchu ludowego. Szkice biograficzne*, red. A. Więzikowa, Warszawa 1968, s. 312–324.
- Mieczkowski A., *Błażej Stolarski 1880–1939. Życie, działalność, poglądy*, Lublin 1998.
- Perzyna P., *Błażej Stolarski 1880–1939. Biografia społecznika, działacza gospodarczego i polityka*, Łódź – Warszawa 2017.
- Socha J., *Błażej Stolarski (1880–1939). Szkic do biografii*, [w:] *Z dziejów ruchu ludowego w regionie łódzkim*, red. W. Piątkowski, Warszawa 1992, s. 123–142.
- www.polskiegroby.pl/s/osoba.php?osobaok=11588&nazwiskoimie=blasius%20stolarski [dostęp: 2 VII 2019 r.].
- www.straty.pl/index.php/szukaj-w-bazie [dostęp: 2 VII 2019 r.].



Paweł Perzyna (ur. 1967) – archiwista i historyk, dr, naczelnik Oddziałowego Archiwum IPN w Łodzi, sekretarz redakcji „Przeglądu Archiwalnego Instytutu Pamięci Narodowej”. Autor m.in. książki *Błażej Stolarski 1880–1939. Biografia społecznika, działacza gospodarczego i polityka* (2017).



Tadeusz Łysakowski z rodzicami Adelą i Stefanem oraz kuzynką, Helą, około 1935 r. Fot. ze zbiorów autora

Piotr Łysakowski

Żywot Polaka uczciwego

Tadeusz Łysakowski (1929–2019)

Po matce Adeli z domu Weigle, ewangeliczkce, odziedziczył umiejętność racjonalnej oceny sytuacji, a po ojcu, Stefanie Łysakowskim herbu Leliwa – katoliku, synu Jana, profesora muzyki i wychowawcy Ludwika Sempolińskiego oraz Mieczysława Fogga – szlachecki, kresowy temperament, którego wybuchy rzadko dawały się opanować.

„Szyby na pewno nie wypadną...”

Mój ojciec Tadeusz Łysakowski przyszedł na świat 24 lipca 1929 r. przy ulicy Jagiellońskiej 27 na warszawskiej Pradze, gdzie mieszkał z rodzicami do wybuchu II wojny światowej. Do 1939 r. uczył się w Gimnazjum Wojciecha Górskiego, znanym też jako Gimnazjum pw. św. Wojciecha. Potem przyszło to, co dla wielu Warszawiaków i Polaków najgorsze. Opowiadał, jak we wrześniu 1939 r. jego mama kupiła kilka kilogramów mąki, cukru i soli, twierdząc, że „to wystarczy na tę wojnę, która szybko się skończy...”; okleiła też – zgodnie z instrukcjami Obrony Przeciwlotniczej – okna paskami z papieru, bo „to też powinno wystarczyć i szyby na pewno nie wypadną...”.

Nie wystarczyło, dom przy Jagiellońskiej został częściowo uszkodzony – zniszczony został akurat pokój, w którym sypiała jego młodsza siostra. Ocalała, bowiem podczas bombardowania była bowiem akurat gdzie indziej. Po kilku dniach oblę-

Niemieckie zaświadczenie o zwolnieniu Stefana Łysakowskiego z Pawiaka, 19 stycznia 1943 r. Fot. ze zbiorów autora

GEFÄNGNIS
(Sicherheitspolizei)
Warschau, Dzielnastr. 24/26

Entlassungs- u. Passierschein

Der Untersuchungshäftling Łysakowski
Vorname Stefan aus Warschau
wurde heute um _____ aus dem hiesigen Gefängnis entlassen und beab-
sichtigt sich nach Warschau,
Pierackiegostr.15/8 zu begeben.

Die Ordnungsbehörden werden gebeten, den Obengenannten passieren
zu lassen.

Warschau, den 19. Jan. 1943 194

Gefängnis-
Buch Nr.

Der Gefängniscommandant

[Signature]
Unterschrift
Kanzlei - Dzielna
Gefängnis.

zenia Warszawy uciekli całą rodziną przed niemieckim ostrzałem na lewy brzeg Wisły i pod nieobecność dziadka, który przebywał internowany w Rumunii, osiedli u rodziny przy Piaskowej. Dziadek wrócił chyba we wrześniu 1940 r. ze sfałszowanym paszportem – obawiał się o życie, bo był lekarzem, a zatem inteligentem, a poza tym brał udział w walkach o polską niepodległość w 1918 i 1920 r.

Później przeprowadzili się na Pierackiego 15 (dziś: Foksal pod tym samym numerem) i tam przetrwali do Powstania. W tym właśnie mieszkaniu, gdzie żyli znów po wojnie do 2004 r., pojawiła się w październiku lub listopadzie 1940 r. Żydówka, pani Majewska (ojciec imienia nie pamiętał). Była żoną Polaka, przedsiębiorcy pogrzebowego z Pragi, którego poślubiła mimo sprzeciwu swojej rodziny. On zginął w Auschwitz, ona szukała pomocy. W domu moich dziadków znalazła schronienie, nie wiadomo, czy przeżyła wojnę – ojciec starał się później bezskutecznie wpaść na jej trop. Był też świadom zagrożenia, jakie niesło ze sobą jej ukrywanie we własnym domu.

W styczniu 1943 r. był świadkiem zatrzymania dziadka Stefana przez Niemców jako „zakładnika”. W chwili, gdy wyciągano go z frontowego pokoju przy Pierackiego, w mieszkaniu ukrywał się polski uciekinier. Niemcy go przeoczyli. O tym też mój ojciec opowiadał. Z więzienia przy Dzielnej 24/26, czyli Pawiaka, dziadek został zwolniony 19 stycznia 1943 r. Co się stało z człowiekiem ukrywanym przy Pierackiego? Tego ojciec nie pamiętał.

Powstańcza gehenna

Jako dorastający chłopiec brał podczas okupacji udział w tajnych kompletach i został wprowadzony do Szarych Szeregów pod pseudonimem „Kawka”. Był też kapralem w tajnej organizacji Korpus Bezpieczeństwa – nic nie wiadomo o jego przydziale. Opowiadał, że w okolicach parku Ujazdowskiego ćwiczyli terenoznawstwo w pełnej, jak im się wtedy zdawało, konspiracji. Zajęcia kończyły się rysowaniem map i nauką tajnego komunikowania się. Później zaś, w czasie Powstania, roznosił – jak wspominał – pocztę i meldunki w okolicach swojego miejsca zamieszkania. Jego biogram opatrzony błędną datą urodzenia (1928) znajduje się w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Utkwił mu mocno w pamięci obraz dwóch niemieckich pojazdów pancernych (chyba były to samobieżne działa Sturmgeschütz IV), przejeżdżających 1 sierpnia 1944 r., jeszcze przed godziną 17, Nowym Światem w kierunku Świętokrzyskiej.

Potem było słuchanie z sąsiadami na korytarzu i w klatce schodowej przy Pierackiego audycji radiowych z Londynu. Właścicielem radia, za którego posiadanie groziła kara śmierci, był dziadek. Skąd je miał i gdzie ukrywał odbiornik – nie wiadomo. Tadeusz Łysakowski nie zapomniał płonących zabudowań za pałacem Konstantego Zamoyckiego na końcu Pierackiego oraz niżej, na skarpie, w kierunku dzisiejszej ulicy Kruczkowskiego. Z Warszawy wyniósł wspomnienie armagedonu, którego był świadkiem.

Musiał uciekać z najbliższymi przed postępującymi Niemcami. Szli od Muzeum Narodowego wzdłuż Powiśla do Bednarskiej, gdzie wśród gruzów leżała zabita staruszka. Bał się tego obrazu przez całe życie. „Jak ja dam radę, gdyby coś takiego miało się zdarzyć jeszcze raz...” – mówił. Pod kościołem św. Wojciecha przy Wolskiej, gdzie stanęli pędzeni do Pruszkowa, widział, jak dwóch esesmanów wyciągnęło z tłumu oczekujących na transport kilka kobiet (jak twierdził, prawdopodobnie Żydówek), by potem zastrzelić je z broni krótkiej za budynkiem świątyni – pamiętał, że oficerowie mieli wysokie buty.

Wraz z rodzicami i siostrą znalazł się w niemieckim obozie przejściowym (Durchgangslager 121) w Pruszkowie. Stamtąd wydostali się po krótkim czasie dzięki zaradności i kontaktom ojca, by ruszyć do Żyrardowa. Wbrew zakazom przynajmniej raz przekradł się do Warszawy z ojcem jeszcze w listopadzie 1944 r. Potem, już po styczniu 1945 r., wszyscy powrócili do zniszczonej Warszawy i mieszkania okradzonego przez znanego im z nazwiska niemieckiego oficera (ale nie zniszczonego). Złapany na ulicy przez Rosjan, zmuszony był do sprzątanía zwłok niemieckich żołnierzy, za co dostał bochenek chleba.

Z Niemcem w komunistycznym więzieniu

Nie wiadomo, kiedy i jak włączył się w antykomunistyczną konspirację. Najprawdopodobniej było to niedługo po powrocie do Warszawy. Na skutek donosu grupa, w której działał, została rozbita i zaaresztowana. Więziony i przesłuchiwany był w aresztach NKWD i UB na Pradze przy Koszykowej i Strzeleckiej¹, a wyrok pięciu lat za posiadanie pistoletu, granatu, antykomunistycznej prasy oraz przynależność do antykomunistycznej organizacji miał odsiadywać we Wronkach. Nigdy nie

¹ Budynek byłego aresztu NKWD i UB (1945–1948) przy ul. Strzeleckiej 8 został w 2017 r. przejęty przez IPN z zamiarem utworzenia tam muzeum i placówki dydaktycznej.

opowiadał (i mimo licznych próśb nie chciał tego opisać), jak traktowano go w śledztwie, które miało być straszne za sprawą paru ludzi, a głównie Żyda o imieniu Szymon, którego określał jako „szefa więzienia”, „oberklawisza”. Kim był ten człowiek, do dziś nie wiem – mam wrażenie, że i ojciec do końca tego nie wiedział.

W celi siedział z Niemcem (twierdził, że był to najprawdopodobniej esesman) o nazwisku Flierl. Ten zaś w chwilach szczerości, obserwując to, co wyczyniali z więźniami klawisze i przychodzący „do pracy” ubowcy, komentował: „Gdybyśmy wiedzieli, jak wy się będziecie wzajemnie traktować, to zostawilibyśmy was w spokoju, wybilibyście się sami...”. Niemiec prosił go, by po wyjściu z więzienia zawiadomił jego rodzinę w zachodniej strefie okupacyjnej Niemiec. Spełnił tę prośbę i wysłał list – czy doszedł, nie wiadomo.

Do Wroniek wieźli ich bydlęcymi wagonami z zadrutowanymi oknami. Większość więźniów była przebrana w niemieckie mundury. Na stacjach konwój informował ludzi, że „to Niemcy, przestępcy wojenni”. W grypsach z więzienia pisał o swoich marzeniach i tęsknotach – chciał wyjechać z Polski do Austrii albo Szwajcarii i tam zająć się prowadzeniem zakładu fotograficznego. Ostatecznie spędził w więzieniu rok, po czym wydobyli go zza krat nadludzkim wysiłkiem rodzice. Miał sporo szczęścia w nieszczęściu: został skazany w 1945 r. – rok później z tymi samymi zarzutami można było dostać wyrok śmierci, niezależnie od wieku – a przypomnijmy, że miał wówczas 16 lat.

Po powrocie do domu skończył liceum i ukończył studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej, gdzie został asystentem. W latach pięćdziesiątych XX w. wziął ślub z Ewą Pasierbińską. Z tego związku urodziło się dwóch synów.

Później zaś była wciąż praca, praca, praca. Do dziewięćdziesiątki zabrakło mu czterech dni.



Piotr Łysakowski (ur. 1953) – historyk, dr. Autor książki: *Otto von Bismarck. Życie i polityka zagraniczna „żelaznego kanclerza”* (1997).



Barbara Świtalska-Starzeńska

Jerzy Kosiniński, 1973 r.
Fot. Wikimedia Commons

Sprawa Jerzego Kosińskiego

W piątek 3 maja 1991 r. w apartamencie na Manhattanie w Nowym Jorku rozstał się ze światem Jerzy Kosiński. Autor powieści *Malowany ptak*, kontrowersyjny pisarz kreujący się na eksperta od seksualnych dewiacji, celebryta, miłośnik gry w polo, leżąc nago w do połowy napełnionej wodą wannie, założył na głowę plastikową torebkę. Popęłił samobójstwo.

Kosiński, właśc. Józef Lewinkopf, urodził się 14 czerwca 1933 r. w Łodzi. Jego rodzicami byli Mojżesz Lewinkopf i Elżbieta de domo Liniecka, którzy od czasu okupacji niemieckiej używali nazwiska Kosińscy. Potwierdzono je urzędowo w marcu 1949 r.¹

¹ J. Wróbel, *Jerzy Kosiński a tajne służby*, [w:] *Aparat represji w Polsce ludowej 1944–1949*, red. S. Cenckiewicz, A. Dudek, A. Dziurok i inni, Rzeszów 2007, s. 197.

Jerzy ukończył socjologię na Uniwersytecie Łódzkim w 1955 r. i został asystentem w Instytucie Historii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Dzięki pomocy swego promotora, prof. Jerzego Chałasińskiego, wyjechał w 1957 r. do USA, gdzie na Uniwersytecie Columbia przez trzy lata odbywał studia doktoranckie. Równocześnie przez dwa lata nagrywał anonimowo polskojęzyczne audycje dla Radia Wolna Europa².

Pierwszą jego publikacją był zbiór esejów socjologicznych *Przyszłość należy do nas, towarzyszu* (1960), kolejna to *Nie ma trzeciej drogi* (1962). Obie dotyczyły Związku Sowieckiego i ukazały się pod pseudonimem Joseph Novak, napisane najprawdopodobniej w ramach programu „rozwoju książki”, animowanego przez Centralną Agencję Wywiadowczą (CIA) i Agencję Informacyjną Stanów Zjednoczonych (USIA)³. Pierwsza z tych książek miała być owocem obserwacji poczynionych przez Kosińskiego podczas pobytu w Związku Sowieckim. Tymczasem według Jamesa Parka Sloana, wykładowcy anglistyki, przyjaciela Kosińskiego i autora jego biografii, istnieje wiele wątpliwości, czy Kosiński rzeczywiście był w Związku Sowieckim w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych⁴. Notabene książka została bardzo dobrze przyjęta przez krytyków i otworzyła mu drogę do kariery pisarskiej.

W piątym roku życia na emigracji w USA Kosiński ożenił się ze znacznie starszą od siebie i zmagającą się z chorobą alkoholową Mary Hayward Weir, wdową po Erneście Weirze, prezesie National Steel Company. Po czterech latach rozstali się. Kosiński ożenił się powtórnie w 1968 r., a jego drugą żoną była Katherina „Kiki” von Fraunhofer, specjalistka do spraw marketingu.

Malowany ptak ukazał się w 1965 r. Recenzentem książki do Book Review w „New York Timesie” był więzień niemieckich obozów koncentracyjnych Auschwitz i Buchenwald, amerykański pisarz i dziennikarz żydowskiego pochodzenia, laureat Pokojowej Nagrody Nobla Elie Wiesel. Początkowo recenzja nie była przychylna, ale według relacji Janusza Głowackiego, Kosiński przekonał Wiesela, że w książce zawarł swoje autentyczne dziecięce doświadczenia. Miał powstać wówczas odmienny tekst, który przyniósł autorowi szeroki rozgłos. Przebywająca wówczas w Nowym Jorku matka Kosińskiego potwierdziła utrzymywaną przez

² *Ibidem*.

³ *Ibidem*, s. 197–233.

⁴ J.P. Sloan, *Jerzy Kosiński. Biografia*, Warszawa 1996, s. 86, 101; J. Wróbel, *Jerzy Kosiński...*, s. 201–202, 208.

niego wersję wydarzeń, wedle której był on podczas wojny oddzielony od rodziców⁵. Tytuł książki nawiązuje do sceny, w której pomalowany przez człowieka różnymi kolorami ptak, wyróżniający się odtąd na tle stada, zostaje przez nie zadziobany. Było to symboliczne odniesienie do historii głównego bohatera książki, sześciolatniego chłopca, którego rodzice – z chwilą wkroczenia 1 września 1939 r. Niemców do Polski – oddali pod opiekę starszej kobiety na wsi, pragnąc w ten sposób zapewnić mu bezpieczeństwo. Gdy staruszka umiera, chłopiec, przypominający Żyda albo Cygana, tuła się od wsi do wsi. Przez swój wygląd doświadcza różnych okropności psychicznych i fizycznych. Jest także świadkiem brutalnych relacji między chłopami, ich zabobonnych zwyczajów i seksualnych perwersji, m.in. aktów ze zwierzętami, gwałtów, kazirodczych związków. Kiedy trafia pod opiekę chłopca o nazwisku Grabosz, ten przy każdej okazji szczuje go psem, bije i stosuje dotkliwie tortury. W czasie służenia do mszy chłopiec upuszcza mszał, za co chłopci wrzucają go do kloacznego dołu. Na skutek doznanej traumy traci głos. Z końcem wojny przygarnia go żołnierz Armii Czerwonej o imieniu Mitka. Poznaje także innych żołnierzy, Jurija i Gawryłę, następnie trafia do sierocińca. Ten dziecięcy świat jest również brutalny i patologiczny. Chłopiec nie chce używać języka polskiego, identyfikuje się jako Rosjanin, fascynuje się Leninem i Stalinem, nie pozwala ściągnąć z siebie munduru Armii Czerwonej. Czeka z utęsknieniem na Gawryłę, a tymczasem odnajdują go rodzice. Rozpoznają syna po znamieniu na piersi, jak i uderzającym podobieństwie do matki. Pewnego dnia zaintrygowany telefonem, zwłaszcza usłyszanym po drugiej stronie męskim głosem, chłopiec odzyskuje mowę.

Nakład *Malowanego ptaka* osiągnął kilka milionów egzemplarzy, powieść ukazała się w dwudziestu językach. W pierwszym wydaniu znalazła się informacja, że główny bohater pochodzi „z dużego miasta w środkowej Polsce”, a w drugim z 1976 r. – „w Europie Wschodniej”. Książka opatrzona była uwagami od autora, w których pisze on m.in. tak: „Pomiędzy rzeczywistością zewnętrzną a własną wyobraźnią pisarz zawiesza coraz to nowe zasłony. Ich liczba i skuteczność jako filtrów dla myśli autora zależy od jego usposobienia i wizji twórczej. Zasłony te nie mogą całkowicie skryć rzeczywistości; jedynie zaciem-

⁵ J.P. Sloan, *Jerzy Kosiński...*, s. 156, 167, 204; L. Begley, *True lies*, „The New York Times”, 21 IV 1996 r., s. 2.

niąją jej kontury, zawężają lub poszerzają granice, przyspieszają lub spowalniają jej ustawiczny ruch⁶. W innym miejscu dodał: „Zarówno wymyślając fikcję, jak i opisując fakty, aktywny, twórczy umysł usuwa to, co nieistotne lub nie do przekazania, skłaniając się ku sytuacjom wyimaginowanym. Błędem byłoby twierdzić, że pamięć cechuje dosłowność lub dokładność; jeśli wspomnienia zawierają prawdę, jest to raczej prawda emocjonalna niż obiektywna. Można rzec, że przekształcamy nasze doznania w krótkie ujęcia filmowe⁷”.

Po uzyskaniu pozytywnej recenzji Wiesela na temat *Malowanego ptaka* kariera Kosińskiego zaczęła rozwijać się błyskawicznie. W następnym roku jego powieść została wyróżniona francuską nagrodą Prix du Meilleur Livre (1966), a jej autor otrzymał stypendia Guggenheima (1967), Forda (1968) i American Academy (1970). Kolejna jego książka *Kroki* uzyskała jedną z najważniejszych nagród literackich, National Book Award (1969), i nagrodę National Institute of Arts and Letters (1970). Przez dwie kadencje od 1973 r. Kosiński pełnił obowiązki prezesa amerykańskiego PEN Clubu. Prowadził też zajęcia z literatury na uczelniach wyższych, jak: Wesleyan, Princeton, Yale. Za sprawą ekranizacji książki *Wystarczy być*, wyreżyserowaną przez Hala Ashby'ego, Kosiński wkroczył w 1979 r. do świata amerykańskiego przemysłu filmowego. W filmie tym zagrali Peter Sellers, Shirley MacLaine i Melvyn Douglas, który za swoją rolę otrzymał Oscara.

Wkrótce nadeszły kolejne propozycje z „fabryki snów”. Kosiński wziął udział m.in. w filmie Warrena Beatty *Czerwoni* (1981), który zdobył trzy Oscary. Zagrał tam rolę bolszewickiego komisarza Grigorija Zinowjewa u boku takich sław, jak: Diane Keaton, Jack Nicholson i Gene Hackman. W 1982 r. był jednym z wręczających Oscara w kategorii najlepszy scenariusz oryginalny, który przyznano za film *Rydwany ognia*. Gościł w programach rozrywkowych, w „Late Night with David Letterman” i u Johnny'ego Carsona w „The Tonight Show”. Słynna fotografka Annie Leibovitz wykonała artystyczne zdjęcia Kosińskiemu do „New York Times Sunday Magazine”, w którym ukazał się również obszerny wywiad z pisarzem. Pojawiały się w nim m.in. od lat powtarzane informacje o jego wojennych przeżyciach, których doznał jako dziecko. Jedno ze zdjęć, zamieszczone na okładce magazynu,

⁶ J. Kosiński, *Malowany ptak*, Warszawa 1989, s. 229.

⁷ *Ibidem*, s. 232.

przedstawiało go z gołym torssem, ubranego w spodnie do gry w polo, którego był fanem, i pejczem w rękę, co miało zdradzać jego upodobanie do sadomasochizmu.

I nagle jego oszałamiająca kariera w USA się załamała. Stało się to za sprawą artykułu w tygodniku „The Village Voice”, którego autorzy Geoffrey Stokes i Eliot Fremont-Smith oskarżyli Kosińskiego o korzystanie z pomocy pisarzy-widmo, tłumaczy i redaktorów. Dziennikarze napisali, że dwie jego pierwsze książki, wydane pod pseudonimem Joseph Novak ukazały się dzięki CIA, powieść *Wystarczy być* była plagiatem *Kariery Nikodema Dyzmy* pióra Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, a *Malowany ptak* został przetłumaczony z języka polskiego na angielski⁸. Jeszcze pięć lat po śmierci Kosińskiego pojawiły się sugestie, że *Malowany ptak* mógł powstać w wyniku inspiracji autora polskimi książkami z zakresu antropologii bądź sztukami teatralnymi Władysława Reymonta⁹.

Po artykule w „The Village Voice” mit Kosińskiego w USA bezpowrotnie upadł. Zdecydował się wówczas przyjechać do Polski. Zrobił to w 1988 r. W następnym roku ukazał się pierwszy polski przekład *Malowanego ptaka*, oparty na wydaniu z 1976 r. Na spotkaniach autorskich ustawiały się długie kolejki po autograf. Kosiński wystąpił w telewizji, udzielał wywiadów – znów błyszczał. Na jedno ze spotkań przyjechali do Warszawy mieszkańcy Dąbrowy Rzeszyckiej, wsi, która go przechowała. Nie znali oni jeszcze treści *Malowanego ptaka*. Przybyli, żeby go zobaczyć, jak do jednego ze swoich. Na ich widok Kosiński zdenerwował się i skrócił spotkanie¹⁰.

Niemniej pod koniec lat osiemdziesiątych zaczął mówić o znaczącej roli Polaków w ratowaniu Żydów i całą odpowiedzialnością za Holocaust obarczył Niemców. Wytknął na przykład Claude’owi Lanzmannowi, reżyserowi dokumentu *Shoah* z 1985 r., że ukazał w nim nieprawdziwą historię Zagłady, gdyż polskich chłopów sportretował jako antysemitów. Podczas konferencji w Tel Awiwie w 1988 r. jeden z dziennikarzy zapytał Kosińskiego, co zrobili Polacy, żeby uratować Żydów podczas wojny, na co on miał ostro zareagować, zadając pytanie: A co zrobili Żydzi, żeby uratować Polaków?¹¹.

⁸ J.P. Sloan, *Jerzy Kosiński...*, s. 369–371.

⁹ L. Begley, *True lies...*, s. 4.

¹⁰ J. Siedlecka, *Czarny ptasior*, Warszawa 2011, s. 160–166.

¹¹ J. Durczak, *Raz jeszcze o Kosińskim*, „Akcent” literatura i sztuka 1996, nr 3, s. 62–63; J. P. Sloan, *Jerzy Kosiński...*, s. 399–400.

Nic nie zapowiadało samobójczego kroku Kosińskiego. Jego ciało, z głową owiniętą workiem, znalazła w łazience żona pisarza. Był to piątkowy ranek 3 maja 1991 r. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci nie było uduszenie, lecz wysokie stężenie we krwi alkoholu, proszków nasennych, opiatów i barbituratów¹².

Joanna Siedlecka podjęła się sprawdzenia autentyczności treści *Malowanego ptaka* – rzekomo autobiograficznej powieści. Przeprowadziła kwerendy w archiwach i urzędach; odbyła liczne rozmowy ze świadkami, którzy podczas okupacji niemieckiej mieli styczność z małym Jerzym i jego rodziną w Sandomierzu, a zwłaszcza we wsi Dąbrowa Rzeczycka. Okazało się, że Kosińscy okrutny czas II wojny światowej przeżyli w dobrych warunkach, otoczeni życzliwą opieką mieszkańców wsi. Wyniki swego śledztwa Siedlecka opublikowała w 1994 r. w książce *Czarny ptasior*. Na autorkę spadła wówczas fala gwałtownej krytyki, która ucichła z chwilą, gdy zebrane przez nią fakty potwierdził w 1996 r. Sloan w artykule opublikowanym w „The New Yorker” oraz w biografii poświęconej Kosińskiemu. Następne wydania książki Siedleckiej ukazały się w 1998 i 2011 r., a jej angielska wersja *The Ugly Black Bird*, z przeznaczeniem na rynek amerykański, w 2018 r.

Malowany ptak Kosińskiego znalazł się w kanonie lektur na uniwersytetach amerykańskich, a magazyn „Time” umieścił go na 63. miejscu listy stu najlepszych anglojęzycznych powieści napisanych między 1993 a 2005 r.¹³ Ostatnie polskie wydanie *Malowanego ptaka* ukazało się w 2016 r.

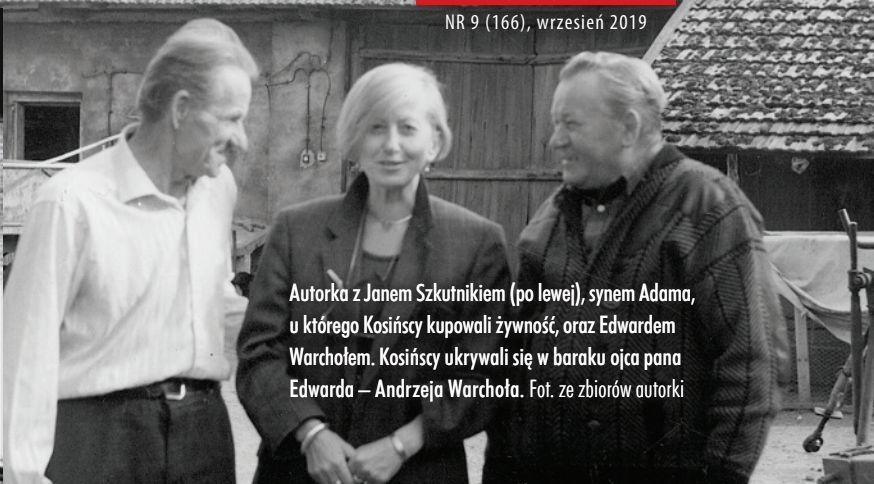
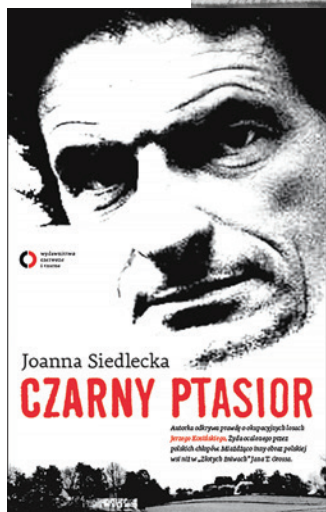
Trzeba wyraźnie podkreślić, że powieść Kosińskiego *Malowany ptak* nie jest ani jego autobiografią lat dziecięcych z okresu II wojny światowej na ziemiach polskich, ani nie może być traktowana jako dokument o Holocauście, gdyż stanowi jedynie wytwór wyobraźni pisarza.

¹² J.P. Sloan, *Jerzy Kosiński...*, s. 424.

¹³ *Encyclopedia of Holocaust Literature*, red. D. Patterson, A.L. Berger, S. Cargas, Westport 2002; *New Perspectives on the Holocaust: A guide for teachers and scholars*, red. R.L. Millen, T. Bennett, J. Mann [et al.], NYU Press 1996; https://www.goodreads.com/list/show/2681.Time_Magazine_s_All_Time_100_Novels [dostęp: 7 VIII 2019 r.].



Barbara Świtalska-Starzeńska (ur. 1986) – historyk, dr, autorka książki *„Człowiek szalony”. Andrzej Niemojewski (1864–1921)* (2018), do czerwca 2019 r. w redakcji „Biuletynu IPN”.



Autorka z Janem Szuknikiem (po lewej), synem Adama, u którego Kosiński kupowali żywność, oraz Edwardem Warchołem. Kosińscy ukrywali się w baraku ojca pana Edwarda – Andrzeja Warchoła. Fot. ze zbiorów autorki

Joanna Siedlecka

„Truczna, bagno, plugastwo, donos na nieboszczyka”

W moim *Czarnym ptasiorze* (1994, wyd. Marabut-Cis) zdemistyfikowałam okupacyjny życiorys Jerzego Kosińskiego – podstawę jego literackiego wizerunku oraz rzekomo autobiograficznego *Malowanego ptaka*, uchodzącego za wstrząsający dokument Zagłady. W wyniku mojej reporterskiej wędrówki okazało się, że nie błąkał się wcale, jak utrzymywały najważniejsze amerykańskie encyklopedie, na Kresach przedwojennej Rzeczypospolitej, nie stracił mowy na skutek bestialstwa okrutnych polskich chłopów, nie był wcale rozłączony z rodzicami. Przetrwał razem z nimi okupację, dzięki może i niewykształconym, „ciemnym”, ale uczciwym i odważnym mieszkańcom wsi Dąbrowa Rzeczycka w województwie tarnobrzeskim, którzy uratowali rodzinę Kosińskich z narażeniem życia swego i swoich dzieci.

Choć zachowałam się jak przystało reporterce, udało mi się odkryć fakty, których nie znał świat i nikt z moich polemistów nie był w stanie zakwestionować, *Czarny ptasior* wywołał nieprawdopodobny wręcz hejt, nazywany wtedy po prostu nagonką. Wzięły w nim udział niemal wszystkie najważniejsze wtedy pisma, od kwartalnika „Znak” do prasy kobiecej. Jerzy Kosiński, który jako pierwszy w literaturze rzucił na Polaków oskarżenie o współudział w Holocauście, stał się po prostu ikoną, symbolem

największych cierpień żydowskiego dziecka, a jego historia, choć skłamana, stała się swoistą częścią składową tzw. religii Holocaustu i ten, kto śmiał ją zakwestionować, musiał za to zapłacić.

Zaczęło się jeszcze przed wydaniem mego *Ptasiora*. Wieści o nim dotarły jakoś do Henryka Daski, zamieszkałego w Stanach marcowego emigranta, przedsiębiorcy handlowego i publicyisty, hagiografa Kosińskiego, który planował jego biografię. Jak pisał później w „Nowych Książkach” (1994, nr 6), jednym z nielicznych pism, które mnie wtedy broniły, mój współwydawca Piotr Szwajcer: „zanim jeszcze książka powstała, p. Dasko dzwonił do jednego z nas (do Daniela Trapkowskiego z wydawnictwa Marabut, do autorki, jak widać, się nie odważył) i wiedząc o planach Siedleckiej, sugerował, by »skonsultować z nim treści w książce zawarte, gdyż w przeciwnym wypadku« – przestrzegając – »sprawa może się dla nas źle skończyć«. Niezbyt się wówczas tym telefonem przejęliśmy. Zbyt oryginalnym i nie na czasie pomysłem wydało nam się, by Siedlecka, autorka o uznanym już dorobku, miała przekazywać swą książkę do cenzorskiej akceptacji mało znanemu krytykowi, nawet gdy ten uważa się za największy i niekwestionowany autorytet we wszelkich kwestiach dotyczących Kosińskiego. [...] To, że napisze o *Ptasiorze* źle, nie było więc dla mnie zaskoczeniem” (Henryk Dasko, *Trucizna*, „Ex Libris”, dodatek do „Życia Warszawy”, 17.03.1994).

„*Czarny ptasior* to książka nie tylko **głupia, ale nikczemna** [podkr. moje]” – wyrokował Dasko. Dowody jej nikczemności wyliczył aż na dwóch kolumnach „Ex Librisu”. Między innymi że oddałam głos tylko „jednej stronie”: chłopom z Dąbrowy, a nie jego przyjaciółom, choć ci ostatni wiedzieli tylko to, co mówił im Kosiński. Że w sposób absolutnie niewiarygodny przedstawiłam warunki, w jakich żyli podczas okupacji Żydzi na tzw. aryjskich papierach, choć pisałam wyłącznie o tym, jak rzeczywiście wyjątkowo żyli jedynie Kosińscy. Przede wszystkim jednak Dasko próbował „ustawić” moją książkę tak, żeby nikt po nią nie sięgnął: „Teza, z którą Siedlecka zasiadła do pisania, jest eksponowana w sposób tak natrętny i prymitywny, że niemal każdy akapit niesie w sobie ładunek skrajnej niechęci do bohaterów, niechęci nieraz popadającej w nienawiść. Obraz, jaki ta książka przedstawia, nie jest nowy. To tylko dalszy ciąg wulgarnego i kłamliwego schematu, w którym – z jednej strony widnieją zawsze Polacy – naród antysemitów, z mlekiem matki wysysający etc., z drugiej zaś – Żydzi, którzy jako żydokomuna w kazamatach etc. *Czarny ptasior* to dziś curiosum, należące do czasu przeszłego, i w Polsce będzie takich książek coraz mniej. Na mojej półce stoi

między *Pawlikiem Morozowem* i *Głupią sprawą* Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego. Pasuje jak ulał”.

Michał Cichy, *Ptak i ptasior*, „Gazeta Wyborcza”, 15.07.1994 r.: „Nie opowiadam się ani po stronie *Ptasiora*, ani *Ptaka*, a obydwie książki wydają mi się **obrzydliwe** [podkr. moje]. Kosiński uprawiał literacką hochsztaplerkę, Siedlecka zaś insynuuje. [...] Najbardziej widać to bowiem w kwestii domniemanej współpracy Kosińskiego-seniora z NKWD”.

Tadeusz Komendant, *I po malowanych ptakach*, „Gazeta o Książkach”, dodatek do „Gazety Wyborczej” z 23 marca 1994 r.: „Siedlecka, która zasłynęła w *Jaśnie paniczku* odkryciem Anieli, służącej Gombrowiczów – to jej główny powód do sławy – napisała kolejną książkę z perspektywy Anieli. Spróbowała dociec, jak to jest »naprawdę« z *Malowanym ptakiem* i jak »naprawdę« przedstawia się opowiedziana tam historia. [...] Dawno nie czytałem tak **obrzydliwej** [podkr. moje] książki. *Malowanego ptaka* nie uważam za arcydzieło, nie znoszę Kosińskiego pisarza, ale nie widzę powodu, aby jego fikcję zastępować utkaną z insynuacji, podającą się za »prawdę« opowieścią o ojcu Kosińskiego, gdzie w gruncie rzeczy ma mu się za złe to tylko, że przeżył”.

Wacław Sadkowski (według materiałów SB przechowywanych w IPN: TW ps. „Olcha”, *Medium*, „Literatura na Świecie” 1994, nr 4–5): „Szokuje zaściankowa siermiężność wywodów Siedleckiej. Wtapiając się w »gadkę gminną«, utożsamiając się z nią, stała się wiernym medium jej urojeń”.

Monika Adamczyk-Grabowska, *Pokrętna prawda*, „Znak” 1994, nr 11. Ona również była zniesmaczona tym, komu oddałam głos: „Czekałam na choćby kilka zdań, w których autorka zdystansuje się od bohaterów swego reportażu. Stwierdzi, że jest to opowieść w wielu aspektach równie nieprawdziwa co historia *Chłopca z Malowanego ptaka*, że nie wysłuchano przecież innych stron. [...] Żadnego dystansu jednak nie znalazłam, za to pełną identyfikację z prostym, niewinnym ludem odmawiającym różnic za »pokutującą duszę« małego Kosińskiego. [...] Trudno uwierzyć, że mogła powstać taka książka; trudno uwierzyć, że dobre bądź co bądź wydawnictwo zdecydowało się na jej wydanie. A może dobrze, że powstała i została opublikowana. Stanowi bowiem świadectwo ciasnoty umysłów, braku wrażliwości i swego rodzaju okrucieństwa nie tylko niektórych mieszkańców polskiej wsi, ale i autorki manipulującej w pewnym stopniu swoimi rozmówcami. Świadectwo dziwnego i niebezpiecznego ze względu na swą jednotorowość sposobu myślenia, niestety nie tak rzadko spotykanego w dzisiejszej Polsce”.

Ksiądz Adam Boniecki, *O dobrych chłopach i niewdzięcznych Żydach*, „Tygodnik Powszechny” 1994, nr 32. *Czarnego ptasiora* dostarczono mu specjalnie do Rzymu, gdzie akurat przebywał. Książka jednak go nie przekonała. „Wprost przeciwnie, wzbudziła złe myśli, których przed tą lekturą nie miałem” – napisał. Trudno mu było uwierzyć, że wieś mogła przechować Kosińskich bezinteresownie. „Przypuśćmy jednak, że było inaczej. Przypuśćmy i taką możliwość, że Kosińskich przechowywano za pieniądze. [...] Że w ciągu tych dwóch i pół lat żyli pod naciskiem nieustannych szantaży, że nieustannie musieli się od nowa wykupywać, że przez ten czas znajdowali się w sytuacji zaszczutego zwierzęcia... Przecież tak bywało. Byli ludzie szlachetni, którzy z narażeniem życia, bezinteresownie ratowali Żydów, byli także inni. Bywało, że chłopci kijami zatłukli Żyda, którego odnaleźli śpiącego w stogu siana, że wydawali Niemcom Żydów ze strachu, albo za pieniądze. A jeżeli w przypadku Kosińskich też tak było (powiadam, jeśli), to czy można zakładać, że rozmówcy Joanny Siedleckiej opowiedzieliby jej o tym? [...] Wiem, że nigdy nie spotkałem wspomnień z czasów okupacji, w których ktoś opowiedziałby o tym, że wydał Niemcom Żyda, że szantażował Żyda, że chronił Żyda z chęci zysku. Czy gdyby ci z Dąbrowy i z Woli, a raczej ich rodzice, nie byli całkiem w porządku, opowiedzieliby to Joannie Siedleckiej? Wątpię”. Zawyrokował więc, że „opowieść o dobrych chłopach i niewdzięcznych Żydach jest nabyt czarno-biała, by mogła być przekonująca. Gorzej, jest nieprzekonująca i niemoralna”.

Marcin Piasecki, *Ptak przemalowany*. „Polityka” 1994, nr 16: „Krytyczny zapal, którego ostatnio nieco brakowało recenzentom książek, powrócił na łamy gazet. Nie wzbudziła go jednak ani nowa powieść Andrzeja Szczypiorskiego ani najświeższy tom szkiców Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, czy seria książek kręgu »Brulionu«. Emocje wywołał *Czarny ptasior* Joanny Siedleckiej” – przyznawał. Mimo to uznał go za „rażący przykład braku rzetelności”. „Kto w tej książce broni Kosińskich, prezentuje choć w części odmienny punkt widzenia? Nikt. Autorka nie przytacza ani jednej wypowiedzi, ani jednej relacji osoby, która byłaby w stanie, w jakimś stopniu, zweryfikować rewelacje mieszkańców Dąbrowy. *Czarny ptasior* rozczarowuje” – zawyrokował. „To książka szokująco jednostronna, w której na pierwszy plan wysuwa się pomówienie i oszczerstwo”.

Ryszard Marek Groński, *Papier jest niecierpliwy*, „Polityka” 1994, nr 15: „Dawniej, gdyby jakieś wydawnictwo zdecydowało się na opublikowanie *Czarnego ptasiora* – donosu na nieboszczyka i jego rodziców – donosu w stylu: jedna pani powiedziała, że stary Kosiński, Lewinkopf właściwie, kapował za Niemca do gestapo, a po przyjeździe Sowietów – prosto do NKWD, wydawca nie miałby czelności, by w nocy o autorce powoły-

wać się na Ryszarda Kapuścińskiego. Kapuściński napisał życzliwie o jakiejś księżce pani Joanny Siedleckiej. Wątpię jednak, czy chciałby mieć cokolwiek do czynienia z Siedlecką, wrażliwą humanistką. Mającą pretensje do Kosińskiego, że parszywiec przeżył. No ale co się odwlecze... Więc spotkała go kara boża i marnie skończył. Dawniej plugastwo [określenie Henryka Daski] pióra Siedleckiej ujrzałoby światło dzienne w oficynie, gdzie wydają broszury o masonach, nowe wersje Protokołów Mędrców Syjonu, przemyslenia Giertychów. Dzisiaj Siedlecką promuje znane i pieszczone wydawnictwo »Marabut«. Od frontu »Marabut« handluje Singerem i Styronem, Themersonem i Burginem. Dla lepszej klienteli chowa *Ptasiora*, zachwalanego jako »odkrywczy tekst«. Dlaczego odkrywczy? Na trop podobnych odkryć można łatwo wpaść, przeglądając biuletyny »Grunwaldu«, roczniki »Rzeczywistości«, »Ojczyznę«. Sam już nie wiem, może umieszczone na okładce zdjęcie to zmyłka – zadumana blondynka to Wiktor Szpada?»

Felietonista, »Polityki« atakował moją książkę kilkakrotnie, zawsze w tym samym stylu, nie oszczędzając też tych, którzy odważyli się powiedzieć o niej choć jedno dobre słowo.

Ryszard Marek Groński, *Ominęło mnie*, »Polityka« 1994, nr 30: »Koło nosa przeleciała mi impreza dyskusyjna. O czym dyskutowano? O *Czarnym ptasiorze* Siedleckiej. Dlaczego jednak na miejsce dyskusji wybrano Muzeum Literatury? Autorka książki o Kosińskim mimo wszystko za młoda na eksponat. Na honorowych dyskutantów zaproszono Krzysztofa Kąkolewskiego i księdza profesora Waldemara Chrostowskiego. Jeden zwykł udzielać się na wieży kościelnej, w pobliżu kurka na dachu, drugi na katedrze i ambonie. A tu masz – poczląpali do Muzeum bez książki do nabożeństwa, za to z nabożeństwa do książki. O przebiegu wieczorynki przeczytałem w zaległej Wyborczej. Ślicznie było... [...]. Zdzisław Najder, który w 1959 r. poznał Kosińskiego w Nowym Jorku, powiedział, że »gdy trzeba było cokolwiek kupić, musiał to robić on, Kosiński bowiem bardzo słabo mówił wówczas po angielsku«. Podejrzewam jednak, że prawdziwy powód był inny – Kosiński zorientował się w lot, że warto posługiwać się Najderem przy handelku. Umie się targować, zna ceny zarówno w złotówkach, jak i zielonych. Miłym akcentem spotkania był głos Krzysztofa Kąkolewskiego przepowiadającego podopiecznej koronę męczeńską. Padnie przecież ofiarą spisku. Wieszczyca pisał o dziecku »od Żydów kłutym igiełkami« [...] chociaż pogromczyni nieboszczyka dzieckiem nie jest i skalkulowała *Ptasiora* całkiem przytomnie, licząc na sympatie dla ptaszniczki. Co to jednak ma wspólnego z literaturą? Dokładnie tyle samo, co licha reporterka z pisarstwem. Pomijam insynuacyjny i delatorski ton opowieści Joanny S.»

Ryszard Marek Groński, *Warszawka atakuje*, „Polityka” 1994, nr 24: „Mam dobrą nowinę dla demaskatora nieboszczyków: pani Siedlecka pisze drugą część *Czarnego ptasiora* o łódzkich latach niegodziwca. Posługując się swoim magnetofonowym uchem, podobno wydobyła zeznania od kolegi Jerzego K. z ławki szkolnej. Oszukiwał, grając w cymbergaja! W notatkach pani Joanny znalazła się także relacja byłej dziewczyny Kosińskiego. Nie chciał zabrać jej do Stanów, kiedy wreszcie przyjechał, tak się zmienił, że jej nie poznał”.

Janusz Majcherek, *Bagno*, „Res Publica Nowa” 1994, nr 5: „Prawdę mówiąc, mało mnie tentuje przyłączenie się do chóru wyzwisk, którymi Siedlecka już została obrzucona” – pisał. Ale jednak do niego dołączył. „Nie żał mi jej – pisał dalej – bo jest atakowana niejako na własną prośbę”. Moją książkę uznał bowiem nie tylko za „niemądrą i w złym guście”, lecz „dwuznaczną” i niezbyt ładną. „Autorka najwyraźniej odsłania intencje: chce Kosińskiego zdyskredytować jako pisarza i człowieka [...]. Jej świadkowie mają Kosińskiemu za złe, że przeinaczył prawdę i realia okupacyjnego życia przedstawił w sposób tendencyjny i paszkwilancki. Ciekawe, że pomysł tak pojętej analizy porównawczej nie zaświatał Siedleckiej, gdy pisała *Jaśnie panicza*. Nic prostszego, zdawałoby się, udowodnić, że Gombrowicz to zboczona świnią, w Małoszycach macał się z parobkami, a potem udając niewiniątko, całe to lubieżne poróbstwo przypisał różnym Gonzalom, Fryderykom, Miętusom i Leonom, kłamiąc przy tym, aż mu się z nosa kurzyło. Można i tak, choć taka »filologia« już nie od pana Zagłoby pochodzi, ale chyba od jakiejś kuchty, co podgląda pisarza od d. przez dziurkę od klucza i potem rozpowiada, że ta pani, która go w powieści odwiedza, to tak naprawdę był sofer”.

Nie brakowało też recenzentów, którzy czepiali się moich blond włosów, nazywali mnie „jasną panią” i nie ukrywali, że jestem po prostu głupia.

Krzysztof Teodor Toeplitz, *Autor musi być mądrzejszy*, „Wiadomości Kulturalne” 1994: „Przyjrzyjmy się okładce. Na jednej, tylnej stronie małe zdjęcie autorki: jasnoblonde pani o myślącym spojrzeniu, z gestem ręki także wskazującym na myślenie, bo rozwarta dłoń dotyka skroni pisarki. Na stronie tytułowej – monstrum. Twarz częściowo tylko wydobyta z ciemności z ostrymi blikami światła, wielkie usta, haczykowany nos, ukryte, smoliste oczy, fałdy skóry. Starsi pamiętają takie twarze z karykatur pisma »Der Stürmer«, młodszy znikąd. Zapasy są nierówne: jasność–ciemność; szczerść – złowieszcza, mroczna tajemnica, kobieta – straszdyło. Ptaszysko. Ptasior. [...] Kim są jej rozmówcy? Najpierw są to zwyczajni, całkiem zwyczajni, przeciętni mieszkańcy Sandomierza, później również przeciętni (a może w tej zapadłej wiosce sytuujący się troszkę poniżej

krajowej przeciętnej) mieszkańcy Dąbrowy Rzeszyckiej. Dla reportera każdy świadek jest dobry, i tak być powinno. Pod jednym wszakże warunkiem, że wysłuchawszy ich relacji, reporter potrafi ją nie tylko zapisać, ale i zrozumieć. [...] Siedlecką, przecież pisarkę, tę panią o myślącym spojrzeniu i myślącym geście z fotografii, powinno było (wiele rzeczy) jednak zastanowić. Powinna była na przykład pomyśleć o szoku kulturowym małego chłopca, wychowanego w mieszczańskim, zasobnym domu, który dowiaduje się nagle, że przynależy do nieznanych mu nigdy dotąd, mówiących nieznanym językiem, wierzących w nieznanego Boga. Powinna, ale nie pomyślała. [...] Zakończę jeszcze jednym pytaniem, lecz z odpowiedzią tym razem stanowiącą: czy autor reportażu literackiego musi być mądrzejszy, bardziej świadomy, przenikliwy i dalekowzroczny od swoich rozmówców i zebranego przez siebie materiału? Musi”.

Atakowała mnie także tzw. prasa kobieca: „Skandale” i „Femina”, dodatek do „Życia Warszawy”, październik 1994, red. naczelna Aleksandra Jakubowska: „Mała książeczka w czarnej obwolucie, ani odkrywca, ani rzetelna, ale za to bulwersująca i pełna kontrowersyjnych opinii w tak delikatnej kwestii jak polsko-żydowskie stosunki w czasie II wojny, wywołała takie zamieszanie i krytyczny zapal, jakiego nie udało się ostatnio wzbudzić żadnemu współczesnemu pisarzowi. Skoro ukazały się miazdzące recenzje, posądzające autorkę o antysemityzm, kłamstwa i złą wolę, zaś w jej obronie wystąpiły niektóre ośrodki polityczne oraz czytelnicy broniący prawdy o Żydach i Polakach – to skandal jest już gotowy. Tym bardziej że problem dotyka tak newralgicznej kwestii jak polski antysemityzm. Autorka pod ciężarem napaści krytyki posmutniała, postać Kosińskiego nieco zmałała, a właściciel mało znanego wydawnictwa »Marabut« zwiększył nakład i liczy zyski”.

Atakowano mego *Ptasiora* nie tylko w prasie. Maria Janion, *Czy będziesz wiedział, co przeżyłeś?*, „Sic!” 1996: „Proszę zauważyć, jakim powodzeniem cieszy się książka Joanny Siedleckiej *Czarny ptasior*, **ohydna** [podkr. moje] moim zdaniem, o Kosińskim. To jest ta prawda, prawda niby dokumentu, ale nikt przy okazji nie mówi o *Malowanym ptaku*. Nie traktuje się go jako autonomicznego, zamkniętego dzieła literackiego, które nie ma nic wspólnego z wymysłami pani Siedleckiej”.

Nagonka na mnie wyraźnie osłabła dzięki Amerykaninowi, przyszłemu biografowi Kosińskiego, Jamesowi Parkowi Sloanowi, który po ukazaniu się mojej książki przyjechał do Polski. Moim śladem pojechał do Sandomierza i Dąbrowy, przy pomocy tłumacza rozmawiał z moimi bohaterami. Weryfikacja *Czarnego ptasiora* wypadła zadowolająco, o czym napisał w prestiżowym „New Yorkerze”, a potem w swojej biografii Kosińskiego:

„Teraz wszyscy muszą wyznać, że są zaszokowani tym, że zawodowiec w profesji kłamcy, człowiek, który przeżył wojnę, żyjąc kłamstwem, kłamał”.

Krzysztof Kąkolewski, „Czas Krakowski” 1995, nr 185 i 190: „Bilans nagonki na Siedlecką okazał się ujemny. Autorce przysporzono ogromnej sławy. Ci, co znali powieść Kosińskiego, kupili książkę Siedleckiej. Ci, co nie słyszeli o Kosińskim, też kupili. [...] Tak wielka nagonka zadziwiała, wręcz budziła podejrzenia. Za bardzo się starano, zbyt wiele sił uruchomiono. [...] Przesadzono: szalę Siedleckiej przyciśnięto tak nisko, że nasuwało się podejrzenie, że oszukuje się na wadze, możliwe, by istniała aż tak zła i tak podła książka? Może warto ją przeczytać? [...] Jawna niesprawiedliwość, nagonka, nienawiść, nieliczenie się ze słowami najbardziej brutalnymi – co wskazywałoby, że opresjonujący, prześladowający ofiarę, uważają ją za bezbronną, stworzyli aurę współczucia, zainteresowania i odruch obronny”.

Piotr Gursztyn, *My z Dąbrów i Wól*, „Rzeczpospolita”, Magazyn „Plus Minus”, 11.06.2011: „U krytyków Siedleckiej sprzed 20 lat wyczuwało się pogardę wobec »ciemnych« ludzi stamtąd. Spór w sumie sprowadzał się do tego, że przyjaciele wzięli w obronę swego Jurka. »Jurek był wielkim łgarzem. No i co z tego?« – mówiła o Kosińskim Agnieszka Osiecka. – No, to z tego – przypisując tę intencję nie Osieckiej, lecz obrońcom Kosińskiego – że wtedy liczy się tylko on, a nie ci wieśniacy znad Sanu. Jurek był estetyczny, oni nie. Joanna Siedlecka popełniła błąd, bowiem wybrała prawdę zamiast estetyki. Na krótką metę przegrała, na długą wygrała”.

Dzięki staraniom Instytutu Książki *Czarny ptasior* Joanny Siedleckiej, przełożony na język angielski przez Chestera A. Kisiela jako *The Ugly Black Bird*, ukazał się w Stanach Zjednoczonych na początku 2019 r., nakładem amerykańskiego wydawnictwa Leopolis Press. Przygotowywane jest również wydanie *Czarnego ptasiora* w języku czeskim, ponieważ Czesi są koproducentami filmu nakręconego według kłamliwej książki *Malowany ptak* Kosińskiego. Miał on już pierwsze pokazy.



Joanna Siedlecka – pisarka, reportażystka, członkini Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Autorka książek: *Jaśnie panicz* (1987); *Mahatma Witkac* (1992); *Czarny ptasior* (1993); *Pan od poezji. O Zbigniewie Herbertcie* (2002, 2018); *Obława. Losy pisarzy represjonowanych* (2005); *Kryptonim „Liryka”. Bezpieka wobec literatów* (2008); *Biografie oddajone* (2015) i in.

1939–1945 BOHATER



Gen. August Emil Fieldorf „Nil”,
Łódź, 1950 r. Fot. AIPN

Paweł Sztama

August Emil Fieldorf

Szef Kedywu był jednym z najważniejszych oficerów AK. Wykazał się wówczas niezwykłym zmysłem organizacyjnym i wyrobił sobie ogromny szacunek u podwładnych.

Warszawa, grudzień 1943 r. W jednym z lokali konspiracyjnych naradzało się trzech mężczyzn: dowódca Kierownictwa Dywersji (Kedywu) Komendy Głównej Armii Krajowej płk August Emil Fieldorf „Nil”, a także jego podwładni – dowódca jednego z oddziałów Kedywu o kryptonimie Agat/Pegaz kpt. Adam Borys „Pług” oraz lekarz tej komórki Cyprian Sadowski. Rozmowa dotyczyła likwidacji SS-Brigadeführera Franza Kutschery, dowódcy SS i policji niemieckiej w dystrykcie warszawskim.

„Adam – wspominał po latach Sadowski – wyjął kilka fotografii i rozłożył na stole. Wpatrywaliśmy się w nie uważnie. Przedstawiły Niemców po cywilnemu i w mundurach. Który to? – zapytał pułkownik »Nil«. Ten – Adam wskazał jedną z fotografii. Chwila milczenia. Wreszcie pułkownik wymówił twarde słowo: Zabić”¹. Rozkaz pułkownika został wykonany 1 lutego 1944 r. w warszawskich Alejach Ujazdowskich, przed siedzibą SS i policji.

Likwidacja Kutschery, człowieka odpowiedzialnego za masowy terror w Warszawie, była ostatnią dużą akcją nadzorowaną przez Fieldorfa na stanowisku szefa Kedywu. Pułkownik służył w tej komórce od 1942 r. Zanim jednak tam trafił, przeszedł długą drogę.

Od Legionów do AK

Fieldorf był oficerem Wojska Polskiego od 1918 r. Wcześniej działał w Związku Strzeleckim oraz służył w legendarnej I Brygadzie Legionów, dowodzonej przez

¹ C. Sadowski, *Pamiętniki doktora Skiby*, Warszawa 1990, s. 117.

Józefa Piłsudskiego. Gdy wybuchła II wojna światowa, ówczesny podpułkownik był dowódcą 51. Pułku Piechoty im. Giuseppe Garibaldiego. Jego oddział został rozbity w bitwie pod Ilżą 9 września 1939 r.

Po klęsce w kampanii polskiej Fieldorf wyruszył do Francji, gdzie Naczelny Wódz Wojska Polskiego gen. Władysław Sikorski organizował polską armię. W drodze na Zachód podpułkownik został jednak internowany na Węgrzech, podobnie jak wielu polskich żołnierzy i działaczy politycznych, głównie o zapatrywaniach piłsudczykowskich. Postanowili oni powołać organizację polityczną, której celem miała być działalność niepodległościowa. Do wstąpienia w jej szeregi dość intensywnie przekonywali Fieldorfa. Ten jednak, na rozkaz swojego byłego dowódcy gen. Gustawa Paszkiewicza, postanowił nie wiązać się z konspiracją piłsudczykowską i wyjechał do Paryża.

Zameldował się tam w lutym 1940 r. Przeszedł weryfikację, po czym został wysłany do Rezerwowego Ośrodka Wyszkożenia Oficerów w Vichy, gdzie przebywało kilkuset oficerów o legionowym rodowodzie. Ówczesne polskie władze uznały tych ludzi za przeciwników politycznych gen. Sikorskiego.

Bezczynność Fieldorfa została przerwana w maju 1940 r. Naczelne Dowództwo potrzebowało doświadczonych oficerów. Mieli oni zasilić polską armię organizowaną we Francji, ale także Związek Walki Zbrojnej, utworzony w okupowanej Polsce. Fieldorf, awansowany na stopień pułkownika, otrzymał wówczas dwie propozycje: mógł zostać wysłany do kraju do tzw. roboty konspiracyjnej lub objąć dowództwo 10. Pułku Piechoty. Pułkownik zdecydował się na pierwszy wariant. Jeszcze 8 czerwca 1940 r. przeszedł odprawę i pod pseudonimem „Sylwester Maj” miał wyruszyć do Polski. Realizację tych planów przerwała jednak niemiecka inwazja na Francję. W obliczu zwycięskiego marszu Wehrmachtu polska armia została ewakuowana do Wielkiej Brytanii, a z nią popłynął także Fieldorf.

Skomplikowana sytuacja militarno-polityczna nie zmieniła planów pułkownika. W lipcu 1940 r. Fieldorf przeszedł kolejne odprawy i wyruszył w kilkudziesięciodniową podróż. Prowadziła ona przez Liverpool, Kapsztad, Kair, Port Said, Adanę, Belgrad i Budapeszt. Stamtąd tzw. trasą sztafetową o krypt. „Szkola” wyruszył do Warszawy, gdzie znalazł się w drugiej połowie września 1940 r.

Po dotarciu do okupowanej stolicy Fieldorf skierował się do lokalu konspiracyjnego przy al. 3 Maja 5. Tam przeszedł kilkudniową aklimatyzację i otrzymał fałszywe dokumenty na nazwisko Walentego Gdanickiego, kolejarza. Następnie

spotkał się z Komendantem Głównym ZWZ gen. Stefanem Roweckim „Grottem” i jego ówczesnym szefem sztabu płk. Januszem Albrechtem. Przekazał im kilkadziesiąt tysięcy dolarów przeznaczonych na rozwój organizacji podziemnej, a także różnego rodzaju instrukcje i rozkazy.

W październiku 1940 r. Rowecki przydzielił Fieldorfa do Biura Inspekcji Komendy Głównej ZWZ, gdzie pułkownik pełnił funkcję inspektora. Do jego zadań należało nadzorowanie pracy Obszaru Krakowsko-Śląskiego ZWZ. Następnie, po zapoznaniu się z realiami okupacji, miał zostać komendantem tego obszaru. Tak się jednak nie stało, a przeszkodziły temu masowe aresztowania członków polskiej konspiracji z tamtego terenu. W lipcu 1941 r. Rowecki rozwiązał więc cały obszar, a jednostki tam działające podporządkował Komendzie Głównej. Niemcy do tego stopnia zinfiltrowali tamtejsze podziemie, że zatrzymania te trwały aż do jesieni 1941 r. i zagrożony był nawet ówczesny dowódca obszaru płk Tadeusz Komorowski.

W kolejnych miesiącach Fieldorf miał dowodzić Oddziałem I Organizacyjnym Komendy Głównej, a w grudniu 1941 r. został przesunięty na stanowisko inspektora Obszaru Białostockiego; po kilku miesiącach, prawdopodobnie wiosną 1942 r., posługując się pseudonimem „Weller” objął dowództwo obszaru. Pełnienie tych obowiązków okazało się niełatwe, przede wszystkim z powodu konfliktu, jaki zrodził się między nim a komendantem Okręgu Białostockiego mjr. Władysławem Liniarskim „Mścisławem”. Liniarski przeszedł twardą szkołę okupacji sowieckiej i miał zarzucać pułkownikowi, że ten nie rozumie realiów tamtejszego terenu. Według niektórych historyków na spór, który z czasem zaczął się zaogniać, wpływ miała ambicja „Mścisława” dążącego do uzyskania jak największej samodzielności.

Latem 1942 r. doszło do kolejnego spięcia między obu oficerami. W tej sytuacji Rowecki postanowił odwołać pułkownika z Obszaru Białostockiego i rzucić go na inny odcinek pracy konspiracyjnej.



Gen. August Emil Fieldorf „Nil”, organizator i dowódca Kedywu AK oraz „NIE”. Fot. Wikimedia Commons

Szef Kedywu

W sierpniu 1942 r. Fieldorf spotkał się z Dowódcą AK. Ten ostatni nakreślił pułkownikowi sytuację militarną, która wytworzyła się na ziemiach polskich po ataku Rzeszy Niemieckiej na ZSRS w czerwcu 1941 r. W opinii Roweckiego pręży na wschód Wehrmacht odsłonił swoje tyły i naraził linie zaopatrzeniowe na dywersję i sabotaż. Tę sytuację postanowiła wykorzystać Komenda Główna AK. Narodził się pomysł utworzenia specjalnej komórki, czyli Kedywu, w której zostałyby połączone siły wszystkich istniejących już grup sabotażowo-dywersyjnych AK². Jej organizacją miał się zająć Fieldorf, posługujący się odtąd pseudonimem „Nil”.

Po otrzymaniu stosownych rozkazów pułkownik zabrał się do pracy. Przede wszystkim spotkał się z dowódcą Związku Odwetu ppłk. Franciszkiem Niepokólczyckim „Teodorem”, który wkrótce został mianowany zastępcą Fieldorfa. Przez kilka tygodni obaj oficerowie wykuwali koncepcję nowej organizacji: została nakreślona struktura Kedywu, liczba etatów, a także plany zaopatrzeniowe i szkoleniowe. Gdy założenia organizacyjne były gotowe, Fieldorf i Niepokólczycki przedstawili je „Grotowi” i ówczesnemu szefowi sztabu Komendy Głównej płk. Tadeuszowi Pełczyńskiemu „Grzegorzowi”. Po kilku spotkaniach struktura Kedywu została zaakceptowana³. W styczniu 1943 r. Rowecki oficjalnie powołał Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej, a także tzw. Kedywy terenowe, które miały operować w poszczególnych obszarach AK.

Dzięki tej nominacji Fieldorf stał się odtąd jednym z najważniejszych oficerów AK. Został włączony w skład głównego ośrodka dowódczego polskiej konspiracji: Kierownictwa Walki Konspiracyjnej, przemianowanego następnie na Kierownictwo Walki Podziemnej. Z Roweckim i Pełczyńskim opracowywał plany poszczególnych akcji dywersyjnych, nadzorował działanie Kedywu Komendy Głównej lub jeździł w teren, aby dokonywać inspekcji. Podczas jednego z takich wyjazdów, w trakcie którego wizytował oddział mjr. Jana Piwnika „Ponurego”, omal nie wpadł w ręce Niemców.

² Wśród nich były takie organizacje, jak Związek Odwetu, „Wachlarz” i Organizacja Specjalnych Akcji Bojowych „Osa”.

³ Kedyw Komendy Głównej składał się z kilku oddziałów, w tym m.in. organizacyjnego, wywiadowczego, operacyjnego, szkoleniowego i łączności. Posiadał także własne Biuro Studiów, komórkę sanitarną, dział produkcji i szkołę podchorążych. Ponadto w jego skład wchodziły tzw. Oddziały Dyspozycyjne, które miały wykonywać zadania dywersyjno-sabotażowe. Szerzej: T. Strzembosz, *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939 – 1944*, Warszawa 1983, s. 129–229.

Dowodzony przez „Nila” Kedyw przeprowadził wiele akcji, które przeszły do legendy polskiej konspiracji wojennej. Należy do nich zaliczyć, poza wspomnianą likwidacją Kutschery, również wykonanie egzekucji na śledczych z Pawiaka, uwolnienie więźniów z transportu do Auschwitz w trakcie akcji „Celestynów”, zdobycie kilkuset kilogramów wędlin z zakładów Bacutil, opanowanie niemieckich zakładów chemicznych, z których wywieziono kilkadziesiąt beczek potasu i żelaza, oraz operację „Górał”. Podczas tej ostatniej zdobyto ponad 100 mln zł ulokowanych w warszawskim Banku Emisyjnym. Ponadto między innymi wysadzano niemieckie pociągi, niszczone torry kolejowe i mosty.

Ze służby Fieldorfa w Kedywie zadowoleni byli jego przełożeni. Pułkownik wykazał się wybitnym zmysłem organizacyjnym i zdobył ogromny szacunek wśród podwładnych.

Nowe zadania

Dzięki tym osiągnięciom na początku 1944 r. „Nila” wytypowano na komendanta nowej organizacji konspiracyjnej o nazwie Niepodległość – krypt. „NIE”. Miała ona funkcjonować pod okupacją sowiecką.

W lutym 1944 r. pułkownik został przez ówczesnego Dowódcę AK gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora” odwołany z Kedywu i powołany na organizatora „Niepodległości”.

Oprócz Fieldorfa do specjalnego sztabu, który miał zająć się przygotowaniem „NIE”, zostali włączeni jego dobrzy znajomi jeszcze z okresu II RP – płk Kazimierz Bąbiński „Luboń” i mjr Ludwik Muzyczka „Benedykt”. Oficerowie na początku nakreślili statut organizacji i rozpoczęli rekrutację ludzi, którzy mieli zasilić jej szeregi. To zadanie okazało się trudne do realizacji – wielu oficerów powołanych w szeregi „NIE” albo zostało aresztowanych przez Sowieców, albo poszło do Powstania Warszawskiego. W tej sytuacji „NIE” mogło funkcjonować jedynie na terenie Obszaru Lwowskiego AK.

Budowę tej organizacji przerwało Powstanie. Jeszcze przed jego wybuchem, na rozkaz Komorowskiego, szefem „NIE” został przybyły z Londynu gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek”. Fieldorf miał się z nim spotkać na początku sierpnia 1944 r. i przekazać wszystkie dokumenty nowej organizacji. Do rozmowy jednak nie doszło, gdyż od 1 sierpnia trwały walki w okupowanej stolicy.

» Pod dowództwem Augusta Emila Fieldorfa
Kedyw przeprowadził akcje, które przeszły
do legendy polskiej konspiracji, m.in. likwidację
Franza Kutschery, uwolnienie więźniów
z transportu do Auschwitz. »

„Nil” i Muzyczka byli bardzo sceptyczni wobec zbrojnego zrywu i wspólnie wystosowali specjalny memoriał do Dowódcy AK. W dokumencie tym uzasadniali swoje wątpliwości dotyczące rozpoczęcia powstania. Pisali m.in., że powstańcy powinni zostać wyposażeni w odpowiednią ilość amunicji, broni i leków, a do kraju powinni wrócić najważniejsi polscy urzędnicy, tak cywilni, jak i wojskowi. Autorzy memoriału uważali ponadto, że Dowództwo AK winno nawiązać kontakt operacyjny z Armią Czerwoną. Wątpliwości i sugestie oficerów nie zostały jednak wzięte pod uwagę.

W trakcie walk o Warszawę Fieldorf utracił łączność z Komendą Główną. W tym czasie został aresztowany przez Niemców i ulokowany w koszarach SS przy ul. Rakowieckiej. Nie został rozpoznany i zdołał zbiec. Wyjechał do Nadarzyn, a później do Podkowy Leśnej, gdzie leczył się z czerwonki. Tam udało mu się uniknąć kolejnego aresztowania.

Jeszcze przed końcem Powstania Warszawskiego Fieldorf został awansowany do stopnia generała brygady i otrzymał Order Virtuti Militari. W październiku 1944 r. nawiązał kontakt z ludźmi, którzy tworzyli nowe dowództwo polskiej konspiracji.

W listopadzie 1944 r. na rozkaz gen. Okulickiego Fieldorf wyjechał do Częstochowy, gdzie trwały prace organizacyjne nad nową Komendą Główną AK. W jej skład został włączony również „Nil”. Początkowo „Niedźwiadek” planował, że Fieldorf obejmie funkcję szefa sztabu, zmienił jednak zdanie i mianował go swoim zastępcą. Powrócono również do koncepcji utworzenia „Niepodległości”, a zadanie jej organizacji ponownie powierzono „Nilowi”.

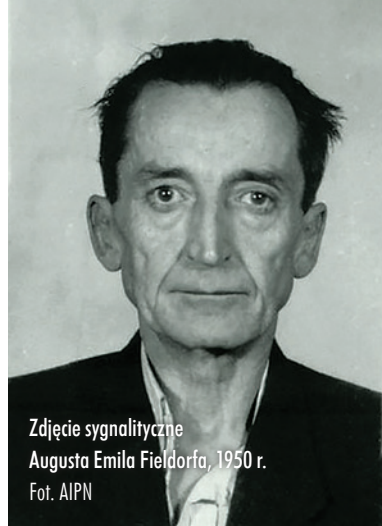
Prawdopodobnie jeszcze w grudniu 1944 r. generał rozpoczął prace nad przygotowaniem „NIE”. Gdy ostateczna koncepcja nowej organizacji wykrystalizowała się, Fieldorf i Okulicki spotkali się z polskimi politykami zrzeszonymi w Krajowej Radzie Ministrów oraz Radzie Jedności Narodowej i przedstawili im założenia „Niepodległości”.

W pierwszych miesiącach 1945 r., już po rozwiązaniu AK, trwała budowa „NIE”. Wyzwanie było tym trudniejsze, że między Fieldorfem a Okulickim istniał spór kompetencyjny dotyczący dowództwa nowej organizacji. Ostatecznie

„Nil” i Muzyczka byli bardzo sceptyczni wobec zbrojnego zrywu i wspólnie wystosowali specjalny memoriał do Dowódcy AK. W dokumencie tym uzasadniali swoje wątpliwości doty-

stało na tym, że komendantem „Niepodległości” został „Niedźwiadek”, a „Nil” miał być szefem oddziału wojskowego „NIE”.

W marcu 1945 r. Okulicki i Fieldorf spotkali się w Łodzi. Następnie „Nil” wyjechał do Milanówka, gdzie odbył rozmowę z płk. Janem Mazurkiewiczem „Radosławem”. Zaraz po tym spotkaniu generał został zatrzymany przez NKWD.



Zdjęcie sygnalityczne
Augusta Emila Fieldorfa, 1950 r.
Fot. AIPN

Golgota

Nierozpoznany – nadal bowiem legitymował się jako Walenty Gdanicki – został przewieziony do podwarszawskich Włoch, gdzie rezydował główny doradca NKWD przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego gen. Iwan Sierow. Tam „Nil” został przesłuchany, po czym trafił do obozu w Rembertowie, gdzie Sowieci przetrzymywali m.in. Niemców i członków polskiej konspiracji. Polskie podziemie podjęło wówczas decyzję o jego odbiciu. Zaplanowana akcja nie doszła jednak do skutku – pod koniec marca 1945 r. Fieldorf został wywieziony do uralskich łagrów.

„Nil” powrócił do kraju jesienią 1947 r. Trzy lata później został zatrzymany przez funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa Polski Ludowej. Po kilkumiesięcznym śledztwie, na podstawie wymuszonych i sfingowanych dowodów, w kwietniu 1952 r. został skazany na karę śmierci na podstawie „Dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego”. Wyrok wykonano 24 lutego 1953 r.

Niestety, nie wiadomo, co się stało z ciałem generała. Wedle jednej wersji jego zwłoki miały zostać wrzucone do bezimiennego grobu. Według innej szczątki Fieldorfa zostały spalone. Zagadkę tę stara się rozwikłać Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN, które próbuje odnaleźć szczątki polskiego Bohatera.



Paweł Sztama (ur. 1985) – historyk, pracownik Biura Badań Historycznych IPN. Autor książek: *Generał August Emil Fieldorf. Biografia wojskowa* (2016); *Inteligenci wbezpieczeństwie: Brystygier, Humer, Różański* (2017).

1939–1945 ZBRODNIARZ



Franz Kutschera. Fot. Wikimedia Commons

Anna Zechenter

Franz Kutschera

Austriacki ogrodnik Franz Kutschera pozostałby zapewne jednym z tysięcy anonimowych zbrodniarzy wojennych, gdyby Reichsführer SS Heinrich Himmler nie wysłał go w sierpniu 1943 r. do Warszawy z poleceniem sterroryzowania niepokornego miasta. Jego pierwsze, tak wielkiej wagi dla Rzeszy zadanie okazało się ostatnim. Zginął niespełna pół roku później od kul żołnierzy Kedywu.

Post mortem

Zwłoki Franza Kutschery, zastrzelonego 1 lutego 1944 r. z rozkazu dowódcy Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK płk. Emila Fieldorfa „Nila”, spoczęły trzy dni po wykonaniu wyroku na katafalku w Pałacu Namiestnikowskim przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie od 1941 r. mieścił się Deutsches Haus, propagujący „niemiecką kulturę”. Trumna tonęła w zieleni laurowych drzewek. Ciężarna narzeczona zbrodniarza, Norweżka Jane Lillian z domu Steen, powtarzała słowa przysięgi małżeńskiej. Rolę pana młodego odgrywał wyznaczony funkcjonariusz.

„Stałam wśród innych w półmroku, przypatrując się ponuremu widowisku – wspominała Teodora Żukowska „Milena”, agentka polskiego podziemia w siedzibie gubernatora dystryktu warszawskiego Ludwiga Fischera. – Cóż mogłam czuć w tym momencie innego jak satysfakcję? Jakież nieludzkie były to czasy! Wesele przypadło, ale ślub się odbył. [...] Urządzono tę niezwykłą ceremonię po to, aby nienarodzone jeszcze dziecko mogło otrzymać nazwisko ojca”. O makabrycznej scenie ślubu zabitego generała pisał również Aleksander Kamiński w książce *Zoska i Parasol*.

Nie była to ceremonia odosobniona. W 1941 r. Adolf Hitler podpisał dyrektywę pozwalającą na zawarcie urzędowego ślubu po śmierci żołnierza. W Rzeszy pojawiały się od czasu do czasu prasowe ogłoszenia kobiet informujące o małżeństwach z poległymi – w sumie zawarto ich 25 tys. Zwyczaj sięgał czasów I wojny światowej i był praktykowany we Francji.

Na norweskich portalach genealogicznych można odnaleźć informację, że ze związku urodzonej 9 grudnia 1918 r. Jane Lillian Steen i Kutschery narodził się w Austrii syn Franz Josef. Po wojnie Jane Lillian poślubiła w Norwegii Ellinga Rognskoga (ur. 1909), z którym miała jeszcze czwórkę dzieci. Zmarła w 1994 r., a syn Kutschery dziesięć lat później.

Zbrodniarz bez właściwości

Franz Kutschera, syn ogrodnika w Oberwaltersdorfie w Dolnej Austrii, zgłosił się jako czternastolatek tuż przed końcem I wojny światowej do c.k. Marynarki Wojennej, gdzie był – wedle różnych źródeł – albo chłopcem okrętowym, albo mechanikiem. Prawdopodobna wydaje się ta druga możliwość, gdyż miał uczyć się wcześniej tego zawodu w budapeszteńskiej szkole.

Gdy w Europie zapanował pokój, a monarchia Habsburgów, rozsadzana od lat odśrodkowymi ruchami narodowymi, rozsypała się jak domek z kart, chłopak poszedł w ślady ojca – został ogrodnikiem. W poszukiwaniu pracy zawędrował w 1920 r. na osiem lat do Czechosłowacji, na tereny zamieszkałe przez Niemców sudeckich.

Do NSDAP Austrii wstąpił w grudniu 1930 r., gdy trwały jeszcze tarcia w środowisku tamtejszych narodowych socjalistów, które miało za sobą burzliwą przeszłość – podobnie jak cały kraj, stanowiący resztówkę ocalałą z rozpadu monarchii sięgającej niegdyś od Adriatyku po Małopolskę. Austria przez całe międzywojnie nie potrafiła odnaleźć się w roli samodzielnego państwa ani sformułować własnej tożsamości narodowej – stąd brało się jej coraz silniejsze ciążenie ku wielkiemu północnemu sąsiadowi.

O czasie spędzonym przez Kutschere poza krajem wiadomo niewiele, podobnie jak o jego działalności w NSDAP Austrii oraz zbrodniach popełnionych przezeń podczas II wojny światowej – aż do punktu zwrotnego w jego nazistowskiej karierze, gdy w 1943 r. został wysłany do Warszawy z zadaniem spacyfikowania polskiego podziemia.

W mętnych wodach austriackiej NSDAP

Działająca od 1918 r. Niemiecka Narodowosocjalistyczna Partia Robotników (Deutsche Nationalsozialistische Arbeiterpartei, DNSAP), pełniąca funkcję siostrzanej partii NSDAP z Republiki Weimarskiej, była początkowo siłą niewiele znaczącą. Dopiero po rozłamie w 1926 r., gdy grupa około dwustu jej członków utworzyła NSDAP Austrii i podporządkowała się centrali w Monachium oraz uznała Hitlera za przywódcę, ten tzw. Hitlerbewegung (ruch hitlerowski) rozwinął się na początku lat trzydziestych w partię masową. Rósł w siłę nawet wtedy, gdy kanclerz Engelbert Dollfuss, odrzucający zarówno narodowy socjalizm, jak i socjaldemokrację, wydał w 1933 r. zakaz działalności NSDAP Austrii – zesłała ona wówczas do podziemia.

Wobec nasilającego się terroru austriackich narodowych socjalistów rząd zamknął lokale partyjne, setki awanturników aresztowano, a ich przywódcę Theodora Habichta, nawiasem mówiąc, w młodości członka Komunistycznej Partii Niemiec, wydano z kraju. Większość szefów okręgów partyjnych (gauleiterów) wyjechała za nim do Monachium, tworząc tam bazę. Rok później doszło do próby nazistowskiego puczu, podczas której kanclerz zginął. Jego następcą Kurt Schuschnigg wypuścił z więzień 17,5 tys. nazistów w nadziei, że przeciągnie na swoją stronę umiarkowane elementy i rozbije cały ruch.

Wątpliwa cnota „pierwszej ofiary”

Dzień po faktycznym anszlusie z 12 marca 1938 r. Arthur Seyss-Inquart, były radca stanu w rządzie Schuschnigga, a teraz kanclerz pełniący też obowiązki prezydenta, podpisał ustawę o przyłączeniu Austrii do Rzeszy jako landu. Zjednoczenie zostało potwierdzone w referendum 10 kwietnia 1938 r. Zdecydowana większość obywateli naddunajskiego kraju (oficjalnie 99,73 proc. przy niemal stuprocentowej frekwencji) opowiedziało się za Hitlerem. Austriacy nie chcą dziś pamiętać, że w latach 1938-1945 ponad 680 tys. ich rodaków było członkami NSDAP, że austriacy naziści wymordowali ok. 65 tys. Żydów, i wreszcie, że Austriacy znaleźli się w gronie wysoko postawionych funkcjonariuszy niemieckiego aparatu represji, by wspomnieć choćby Odila Globocnika – dowódcę SS i policji w dystrykcie lubelskim Generalnego Gubernatorstwa, Franza Stangla – komendanta obozów zagłady Sobibór i Treblinka, Ernsta Kaltenbrunnera – szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA),

Adolfa Eichmanna – głównego koordynatora i wykonawcę Holokaustu, oraz Seyss-Inquarta – z czasem zastępcę generalnego gubernatora Hansa Franka.

Uznanie Austrii za „pierwszy wolny kraj, który stał się ofiarą agresji hitlerowskiej” w deklaracji moskiewskiej z października 1943 r. – o co usilnie zabiegała dyplomacja amerykańska przy poparciu Brytyjczyków – przygotowało zacyzn dla mitu żywego do dziś. Za sprawą aliantów, mających nadzieję, że powstrzymają niemieckie ciągoty Wiednia i stworzą przestrzeń dla nowej powojennej tożsamości narodowej Austriaków, narodziło się kłamstwo. W zapomnienie odeszło autentyczne społeczne poparcie dla anszlusu. Doktryna „pierwszej ofiary”, stanowiąca podstawę polityki historycznej kraju, wymazała ze zbiorowej pamięci jego mieszkańców mroczny okres narodowosocjalistyczny.

Zawsze w cieniu innych

Ambicją Kutschery była kariera polityczna w aparacie partyjnym austriackiej NSDAP – brakowało mu jednak inteligencji i obycia oraz umiejętności poruszania się w sieci intryg. Natomiast wrodzona brutalność i skłonność do okrucieństwa otworzyła przed nim drogę do wyróżnień i zaszczytów w szeregach SS, do którego wstąpił w listopadzie 1931 r. Od lipca 1935 do marca 1938 r. był zastępcą dowódcy, działającego wówczas nielegalnie, 90. pułku SS „Kärnten” w Klagenfurcie.

Wydawało się, że po anszlusie ogrodnik doścignął swoje marzenie, mianowany został bowiem gauleiterem Karyntii. Po dwóch miesiącach to wysokie stanowisko partyjne powierzono jednak Hubertowi Klausnerowi, sprawującemu równocześnie na żądanie Hitlera urząd ministra spraw wewnętrznych w Wiedniu. Ponieważ ktoś musiał partię w Karyntii zarządzać, zastępcą gauleitera ustanowiono Kutschere. Chociaż faktyczna władza należała do niego, to rola zastępcy nie zaspokajała jego ambicji. Po śmierci Klausnera w 1939 r. przymierzał się do zajęcia jego fotela, ale musiał z goryczą przełknąć kolejne upokorzenie: dostał tylko stanowisko pełniącego obowiązki gauleitera. Utracił je w 1941 r. na rzecz nowo mianowanego szefa okręgu NSDAP w Karyntii, Friedricha Rainera.

Odnosił jednak kilka sukcesów: powiodło mu się w wyborach do Reichstagu, w którym zasiadał aż do śmierci, a na początku 1939 r. został honorowym sędzią w Trybunale Ludowym (Volksgerichtshof), powołanym w 1934 r. w Berlinie jako organ specjalny do rozpatrywania przypadków zdrady państwa nazistowskiego.

Ogrodnik sadysta

Po zajęciu przez Niemcy Słowenii Północnej w 1941 r. dowiedział, że doskonale wie, jak utrzymać w ryzach podbity naród. Jako szef administracji cywilnej na okupowanych obszarach Krainy, a zarazem wciąż pełniący obowiązki gauleitera graniczącej ze Słowenią Karyntii, zasłynął okrucieństwem i bestialskimi sposobami rozprawiania się z ludnością.

Nazwisko Kutschery zaczęło wreszcie coś znaczyć. Stało się też oczywiste, że jego miejsce jest w SS. Już 30 stycznia 1942 r. przeniesiono go, jako SS-Brigadeführera (odpowiednik generała brygady w wojsku) i generała policji, do sztabu Wyższego Dowódcy SS i Policji na środkowym froncie wschodnim, obejmującym Białoruś, wschodnią Polskę i część północnej Ukrainy – trafił zatem do centrum pod dowództwem gen. Ericha von dem Bacha-Zelewskiego, kierującego eksterminacją ludności cywilnej i walką z partyzantką. Między kwietniem a wrześniem 1943 r. zasłynął ze swoich „twardych metod” jako dowódca SS i policji w Mohylewie.

Przechwalał się później, że na wschodzie przeprowadzał samodzielnie duże operacje ludobójcze. W jego słowach tkwiło zapewne ziarno prawdy, za swoje wyczyny dostał bowiem Krzyż Żelazny I klasy.

„Ognisko zamętu”

W 1943 r. Niemcy z niepokojem obserwowali wzmożoną aktywność Armii Krajowej w mieście stanowiącym siedzibę władz Polskiego Państwa Podziemnego – mieście, o którym generalny gubernator Frank pisał w swoim dzienniku: „Mamy w tym kraju jeden punkt, z którego pochodzi wszystko zło: to Warszawa. Gdybyśmy nie mieli Warszawy w Generalnym Gubernatorstwie, to nie mielibyśmy 4/5 trudności, z którymi musimy walczyć. Warszawa jest i pozostanie ogniskiem zamętu, punktem, z którego rozprzestrzenia się niepokój w tym kraju”. Po akcji pod Arsenalem w marcu, kiedy Kedyw odbił 26 więźniów przewożonych z siedziby gestapo do więzienia śledczego przy ul. Pawiej (zwanego Pawiakiem), i majowym napadzie na transport z Lublina do Auschwitz, zakończonym uwolnieniem 49 osób, w sierpniu żołnierze AK porwali ciężarówkę Banku Emisyjnego ze 105 mln złotych (na czarnym rynku fortuna, bo ponad milion dolarów).

Jesienią ginąć zaczęli wyżsi funkcjonariusze niemieckiego aparatu represji, likwidowani w odwecie za mordowanie ludności cywilnej. W serii akcji o wspól-

nym kryptonimie „Główki”, nawiązującym do symbolu Totenkopf (trupiej główki) na uniformach SS i Waffen-SS, jako pierwszy został zastrzelony 7 września Franz Bürckl – zastępca komendanta Pawiaka. Zanim okupanci zdążyli ochłonąć, 24 września od kul zginął August Kretschmann, komendant tzw. wychowawczego obozu pracy policji bezpieczeństwa (Arbeitserziehungslager der Sicherheitspolizei Warschau) przy ul. Gęsiej, nazywanego Gęsiówką. Atmosfera zagrożenia zaczęła gęstnieć.

Utopić Warszawę we krwi

W tym właśnie momencie władze Rzeszy ściągnęły z Mohylewa Franza Kutschera, by swoimi „twardymi metodami” zaprowadził spokój w Warszawie. Został on 25 września 1943 r. dowódcą SS i policji w dystrykcie warszawskim, w którym nawet terror jego poprzednika Jürgena Stroopa, likwidatora getta warszawskiego, nie zdławił podziemia. „Nasze akcje odwetowe w tym czasie zaczynały szarpać nerwami niemieckich urzędników – pisał w *Podziemnej armii* gen. Tadeusz Komorowski „Bór” – i aparat okupacyjny zdradzał objawy strachu w zetknięciu z ludźmi podziemia. Kutschera otrzymał tedy ściśle określone zadanie: za wszelką cenę zdławić polski opór. Innymi słowy – miał utopić Warszawę w morzu krwi”.

Nowy dowódca SS i policji w Warszawie rozpętał w mieście terror na niespotykaną do tej pory skalę, wykorzystując rozporządzenie Franka z 2 października „o zwalczaniu zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie”, sankcjonujące zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Kara dla „osób niebędących Niemcami, które w zamiarze utrudniania lub przeszkadzania w niemieckim dziele odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie uchybiają ustawom, rozporządzeniom lub zarządzeniom i dyspozycjom władz”, była jedna – śmierć w trybie natychmiastowym. „Czyn usiłowany jest karalny tak jak czyn dokonany” – stanowiło rozporządzenie, a w tajnym komentarzu dodano, że policjant niemiecki „ma prawo strzelać do każdego napotkanego na ulicy, który mu się wyda podejrzany”.

Łapanki i egzekucje publiczne stały się codziennością. W ciągu zaledwie trzech i pół miesiąca – od połowy października 1943 do końca stycznia 1944 r. – zamordowano ok. 5 tys. Polaków. Co najmniej 1,2 tys. z nich stracono na ulicach salwami karabinów maszynowych lub na szubienicach. Ofiarami byli przypadkowi ludzie pojmani w obławach, a także osoby związane z podziemiem – te ostatnie

ginęły jako „więźniowie polityczni”, pozbawiane życia potajemnie, najczęściej w ruinach getta. Niemcy spodziewali się, że zastraszą Warszawę, a zarazem wywołają falę niechęci do podziemia – wszak represje spadały na ludność w odwecie za jego działalność.

Już 13 października, a więc krótko po wejściu w życie rozporządzenia Francka, przez polską stolicę przetoczyła się fala łapanek – gestapowcy i esesmani zatrzymywali ludzi na ulicach, wywlekali ich z tramwajów i mieszkań. Tego jednego dnia do więzień trafiło ok. 1,5 tys. Polaków. W kolejnych miesiącach obławy prowadzono niemal codziennie w różnych dzielnicach, sięgając po żołnierzy Wehrmachtu i Luftwaffe, a nawet rezerwy z Hitlerjugend.

Niemcy rzucili przeciwko miastu niezłomnemu wszystkie siły. Nikt, kto wychodził w domu, nie był pewien, czy do niego wróci. Bywało, że dziennie aresztowano po dwieście osób. Terrorem objęto także wiele miejscowości dystryktu warszawskiego. Pojmanyh traktowano jako zakładników.

Katowska robota

Z obwieszczenia anonimowego „dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski”, odczytanego rankiem 15 października przez megafony uliczne, tak zwane szczekaczki, warszawiacy dowiedzieli się, że za każdego „poszkodowanego Niemca” zostanie straconych dziesięciu Polaków. Grozę potęgowała okoliczność, że okupanci podali nazwiska sześćdziesięciu więźniów mających zginąć w najbliższej egzekucji. Równocześnie zapowiedzieli, że aresztowani odzyskają wolność, jeśli ich rodziny podadzą nazwiska i miejsca ukrycia członków podziemia. Celem Kutschery było zatem zmuszenie Polaków do donosicielstwa.

Pierwszy cios spadł 16 października: na Mokotowie rozstrzelano 20 zakładników, a w ruinach getta – 5. Poprowadzono ich na śmierć z oczyma przesłoniętymi czarnymi opaskami. Również noc z 16 na 17 października przyniosła ofiary – 9 więźniów zgładzonych w getcie, a kolejny dzień przyniósł śmierć 25 osób. Od 19 października do końca miesiąca w siedmiu egzekucjach ginęło za każdym razem ok. 20 Polaków: przy Inflanckiej, koło Dworca Gdańskiego, na rogu Wolskiej, na Wale Miedzeszyńskim, przy Lesznie, na Kole, przy Towarowej.

Bosi skazańcy w papierowych ubraniach, z workami na głowach, a często z ustami zalanyymi gipsem, by nie mogli krzyczeć przed śmiercią, że jeszcze

Polska nie zginęła, szli, brutalnie popychani, pod mur. Niemcy odgradzali miejsca straceń, a kiedy kończyli dobijanie ocalałych, oddziały więźniów ładowały ciała na ciężarówki i zmywały krew. Zwłoki palono na stosach w ruinach getta, a później w krematorium KL Warschau.

I wreszcie następował akt ostatni, który miał złamać morale Polaków: nazwiska zamordowanych odczytywano przez szczekaczki, dodając na końcu imienną listę kolejnych zakładników. W krajobrazie miasta na stałe pojawiły się obwieszczenia z danymi zabitych i wybranych do egzekucji, drukowane na charakterystycznym ciemnoróżowym papierze.

W listopadzie uliczne egzekucje były nieco rzadsze, ale za każdym razem ginęło więcej ludzi. W dniach 9, 12, 17 i 24 listopada Niemcy przeprowadzili po dwie egzekucje, w których zginęło w sumie ok. 230 Polaków. Ofiarą kaźni przy praskiej pętli tramwajowej na ul. Radzymińskiej padł m.in. mjr Jerzy Lewiński „Chuchro” – dowódca Kedywu Okręgu Warszawskiego AK. Wśród 60 straconych na Solcu 30 listopada znalazła się Halina Stabrowska – kierowniczką sekretariatu Komendanta Głównego AK gen. Komorowskiego „Bora”.

Masakra seryjna

Wyrok śmierci na „dowódcę SS i policji” zapadł w listopadzie, a jego wykonanie powierzono szefowi Kedywu, płk. Emilowi Fieldorfowi „Nilowi”. Dzięki rozpoznaniu udało się ustalić nazwisko oprawcy. „Postanowiłem, że Kutschera musi za wszelką cenę zginąć” – pisał „Bór”. Decyzji tej towarzyszyły trudne i dramatyczne kalkulacje. „Odpowiedź terrorem na terror była, moim zdaniem, jedynie skutecznym sposobem. [...] Nie wątpiłem, że na dalszą metę śmierć Kutschery ocali życie wielu ludziom i przyczyni się do zahamowania niemieckiej furii terroru, pomimo wielkiej ceny, jaką bezpośrednio zapłacimy [...]. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli społeczeństwo załamie się pod tym naciskiem, jeśli Kutschera dojdzie do przekonania, że jego sposoby są skuteczne, to nic go już nie powstrzyma od stałego zwiększania terroru” – wyjaśniał „Bór”.

Ostatni miesiąc 1943 r. rozpoczął się krwawą demonstracją siły: spędzeni 2 grudnia na Nowy Świat przechodnie musieli przyglądać się śmierci ok. 50 Polaków, a następnego dnia w zemście za uderzenie Kedywu na policyjne budy pod mur poszło ponad 100 mężczyzn. Podziemie odpowiedziało na zbrodnię likwi-

dacją Antona Hergla, zarządcy drukarni w dystryktach warszawskim i lubelskim, tropiciela konspiracyjnej poligrafii. Dwa dni po polskim ataku w Celestynowie na pociąg Wehrmachtu, w którym zginęło 120 żołnierzy, i dzień po udanej akcji na Emila Brauna, kierownika warszawskiego urzędu kwaterunkowego, autora planu masowego wysiedlenia mieszkańców, 14 grudnia Niemcy stracili 300 mężczyzn. Do masakry od 300 do 500 osób doszło 23 stycznia 1944 r. – zapewne w odwecie za pierwszą, nieudaną akcję na Kutschere, przygotowaną 8 stycznia na szosie z Mińska Mazowieckiego do Warszawy.

Warszawa żyła w cieniu grozy. W miejscach męczeństwa rodaków Polacy palili świece, składali kwiaty i modlili się, choć niejedną raz policja otwierała ogień do klęczących. Ale strach narastał. „Kto może, siedzi w domu, gdy wychodzi, trwożliwie przebiega przez ulice – pisał Ludwik Landau, współpracownik Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, autor powstałej podczas wojny *Kroniki lat wojny i okupacji*. – Przy lada odgłosie motoru samochodowego robi się panika”. I dodawał: „Wzywanie do denuncjacji żadnego skutku nie odniesie [...]. Ale bez śladu akcja ta nie mija o tyle, że budzi w dość szerokim zakresie powstawanie niezadowolenia z wszelkich przejawów walki z Niemcami, upatrywanie w nich powodu szalejącego terroru”. Także Delegatura Rządu na Kraj alarmowała Londyn: „Po raz pierwszy od początku trwania okupacji poprzez szerokie koła zmęczonego, znękanego, wyczerpanego społeczeństwa iść poczynają nieśmiało, jak dotychczas, szeptem pytające: [...] czy należy kontynuować dotychczasowe formy oporu i kontrakcji polskiej, skierowanej przeciwko okupantowi”.

Zemsta po niemiecku

Franz Kutschera zginął 1 lutego 1944 r., w biały dzień, zastrzelony przez oddział specjalny Kedywu „Pegaz”. Zbrodniarz stracił życie w drodze z domu przy al. Róż do swojej urzędowej siedziby w Alejach Ujazdowskich – tuż przed dotarciem do celu. Brawurowa akcja przeprowadzona pod silnym ogniem z budynku dowództwa SS i policji, trwająca sto sekund, kosztowała życie czterech z dwunastu uczestników. Po odwiezieniu dwóch ciężko rannych kolegów do praskiego Szpitala Przemienienia Pańskiego Zbigniew Gęsicki „Juno” i Kazimierz Sott „Sokół” zamiast, zgodnie z rozkazem, porzucić samochód, ruszyli z powrotem na lewy



Rekonstrukcja akcji zamachu na Kutschere, 22 lutego 2009 r. Fot. AIPN

Strzały, które zabiły dowódcę SS i policji, ugodziły nie tylko jego. »Sprawa Kutschery rozłożyła Niemców w Generalnej Guberni psychicznie i nerwowo« – pisała Teodora Żukowska »Milena«, agentka polskiego podziemia.

brzeg Wisły, by ocalić auto. Na moście Kierbedzia natknęli się na blokadę. Nie mieli wyjścia – skoczyli obaj do Wisły, a w wodzie dosięgły ich kule. Dowódcę

akcji Bronisława Pietraszewicza „Lota” i Mariana Sengera „Cichego” – obu konających – przewożono do innych szpitali, gdyż Niemcy, ocknąwszy się z szoku, ruszyli w pościg. Pietraszewicz zmarł 4 lutego, a Senger dwa dni po nim.

Okupanci byli żądni zemsty. Już 2 lutego rozstrzelali w Alejach Ujazdowskich 200 Polaków, a w ruinach getta 100. „Tych, którzy zginęli [...] na miejscu zamachu, dobierano specjalnie – byli to sami młodzi chłopcy – wspominała Teodora Żukowska „Milena”. – SS-mani Kutschery szykowali się do tego widowiska z prawdziwą radością. Zajmowali w oknach w Alejach Ujazdowskich miejsca jak w łóżach teatru. Jeden z nich przyprowadził ze sobą 15-letnią córkę, aby mogła się z nim nacieszyć. Skazanych przywieziono ciężarówkami, z których zrzucano ich jak worki, bijąc i kopiąc. Według ustalonego już rytuału egzekucji ulicznych byli w papierowych ubraniach i mieli zagipsowane usta, aby nie mogli wołać: »Niech żyje Polska!« [...]. Strugi krwi zabarwiały papierowe ubrania, spływały

na bruk, a później zamieniały się w strumienie zalewające chodnik i jezdnię. [...] Kilka godzin po egzekucji Aleje Ujazdowskie wciąż były zamknięte. Gdy stałam na placu Trzech Krzyży odwrócona w tamtą stronę, ciągle jeszcze puszczano strumienie wody, by zmyć krew”.

Brunatny strach sięgnął zenitu

Trumna z ciałem Kutschery była niesiona 4 lutego w kondukcje żałobnym opustoszałymi ulicami Warszawy. Ponieważ szli za nią Niemcy dygnitarze, z domów wzdłuż przewidzianej trasy wyrzucono na cały dzień mieszkańców, a na dachach kamienic czuwali uzbrojeni policjanci. Według niektórych źródeł po ceremonii zaślubin z panną Steen ciało kata Warszawy przewieziono do Berlina, gdzie pochowano je z honorami na cmentarzu Inwalidów, a według innych – na Helldfriedhof na Powązkach.

Wojciech Parzyński, autor książki *Zabić Franza Kutschere!*, twierdzi, że szczątki bandyty zostały wywiezione z ciałami blisko 3 tys. żołnierzy i policjantów Rzeszy, ekshumowanych na początku lat czterdziestych na Powązkach, na niemiecki cmentarz z czasów I wojny światowej w Joachimowie-Mogiłach k. Skierniewic.

Cel akcji na Kutschere został osiągnięty: w połowie lutego 1944 r. skończyły się uliczne egzekucje w Warszawie. Strzały, które zabiły dowódcę SS i policji, ugodziły nie tylko jego. „Sprawa Kutschery rozłożyła Niemców w Generalnej Guberni psychicznie i nerwowo – pisała Żukowska. – Wydawało się [im], że polski ruch oporu jest wszędzie. Miałam w ręku szczegółowe instrukcje, jak się mają Niemcy poruszać, gdzie i jak trzymać broń, jak ustawiać samochody służbowe”. I dodawała: „Zamach na Kutschere był punktem, po którym strach Niemców doszedł do zenitu”.



Anna Zechenter (ur. 1959) – redaktor „Biuletynu IPN”. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych działaczka antysystemowej opozycji. Autorka książek: *KGB gra w szachy* (2010); *Kremłowski trucizny* (2012); *Pod czerwoną okupacją. Adam Macedoński w rozmowie z Anną Zechenter* (2013); (z D. Gorajczykiem, M. Komaniecką, K. Samsonowską, M. Szpytmą) *Zbrodnia katyńska. Materiały edukacyjne* (2014); (z H. Głębockim, D. Gorajczykiem, M. Masłowskim, P. Naleźniakiem) *„Operacja polska” NKWD 1937–1938. Losy Polaków w Rosji bolszewickiej i w ZSRS do 1939 roku* (2017); *Zagłada Polaków w Związku Sowieckim. Od przewrotu bolszewickiego do „operacji polskiej”* (2019) i in.

Marek Klecel

Pisarz dwóch wojen

**Stanisław Rembek
(1901–1985)**

Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r., był świadkiem II wojny światowej, dożył stanu wojennego w PRL. Własne przeżycia, zwłaszcza z lat 1919–1920, sprawiły, że to właśnie wojna stała się głównym tematem jego twórczości prozatorskiej. Skupiał się na najtrudniejszych i najbardziej bolesnych wydarzeniach wojennych. Nie podkreślał jednak wagi polskiej martyrologii i nie deklarował wprost swego patriotyzmu, lecz wiarygodnie ukazywał prawdę i tajemnicę wojny.

Stanisław Rembek.

Fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego
w Piotrkowie Trybunalskim

Debiut wojenny

Gdy wybuchła I wojna światowa, miał trzynaście lat. Wtedy właśnie, uświadamiając sobie wagę wydarzeń, zaczął prowadzić dziennik. Były to zapiski ucznia, który obserwował wojenne wydarzenia w Piotrkowie Trybunalskim, potyczki i przemarsze wojsk niemieckich i rosyjskich, kolejno zdobywających i bombardujących miasto.

W końcu 1914 r. w Piotrkowie panowali Niemcy. „Gdy wracałem – zapisał 13 grudnia – ujrzałem niespodziewanie na Kaliskiej pruskich huzarów śmierci [...]. Zatrzymałem się. Wtem huknął mi nad uchem jakiś głos. Obejrzałem się i zobaczyłem wielkiego huzara, który krzyczał coś i wygrażał mi karabinem”. Następnego dnia do miasta przybył poznański pułk piechoty. „Szli ze śpiewem przy towarzyszeniu bębnow i fletów [...]. Przed naszym domem dwóch poznaniaków śpiewało, idąc w nogę: »Jak to na wojence ładnie...«. Wielu z nich opowiadało, że im ojciec lub dziadek zabronił strzelać do braci służących w wojsku rosyjskim”. Rembek zbierał wiadomości o postępowaniu okupanta: „Tymczasem Niemcy rozpoczęli gospodarkę na wsiach. Rąbali wszędzie płoty, zabijali kury i gęsi, tak że chłopci chowali się z bydlętem po lasach”¹.

Pojawiły się wieści o zbliżających się kozakach. Niemcy nagle opuścili miasto, weszli Rosjanie. Zaczął się niemiecki ostrzał, który trwał nawet w czasie świąt Bożego Narodzenia. Rembek obserwował bombardowanie gazowni i urzędów miejskich. Pisał o zabitych. Codziennie notował swoje obserwacje jak prawdziwy korespondent wojenny, ale przecież tylko dla siebie. Był w tym niemal beznamietnym kronikarzem.

Kolejna część zapisków kilkunastoletniego kronikarza ukazuje przełomowy rok 1918. W czasie powszechnej polskiej mobilizacji pod koniec wojny Rembek wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej. Prowadził drużynę skautowską i odbywał regularne ćwiczenia wojskowe. Ponieważ między oddziałami doszło do napięć, uznał, że nie może brać udziału w konflikcie. Opisał tę sytuację tak: „[Dowódcą] spytał o powód. – W ogóle o ile możliwości chciałbym uniknąć konieczności strzelania do ludzi, a już stanowczo nie będę strzelał do Polaków. Uważam poza tym naszą organizację jedynie za środek do zdobycia wolności, gdy więc ta została odzyskana, straciła ona w moim rozumieniu rację bytu” – odpowiedział². Sytuacja

¹ S. Rembek, *Dzienniki. Rok 1920 i okolice*, Warszawa 1997, s. 15–17.

² *Ibidem*, s. 35.

była trudna, dowódca zagroził, że może go rozstrzelać. Kazał go aresztować, ale gdy okazało się, że jest nieletni i nie składał przysięgi, zwolniono go.

Wojna przed maturą

Rok później, jesienią 1919 r., trwała wojna z bolszewikami. Rembek po przeszkoleniu artyleryjskim wyruszył ze swym oddziałem z koszar w Łodzi na front. Przez Białystok i Grodno dotarł do Wilna. Przez całą zimę jego oddział stacjonował w okolicznych wsiach i dworach. Czas schodził na zdobywaniu żywności i opału. Rembek, gdy tylko mógł, poświęcał się czytaniu książek. W jednym z zapisków wspominał, jak zainteresował kolegów trudną lekturą Juliusza Słowackiego: „Potem czytałem sobie *Króla Ducha*. Widząc to, Grober prosił mnie, bym przeczytał coś na głos. Wybrałem ustęp o Popieleu i zacząłem czytać, czekając, kiedy mu się to znudzi. Ku mojemu zdziwieniu, był tym zachwycony. Inni również się przysunęli i przysłuchiwali się tak zachłannie, że musiałem przeczytać cały pierwszy rapsod. Miałem z tego powodu nawet kłopoty ze zmianą posterunków. Wartownicy bowiem nie chcieli wyjść, dopóki im nie przyrzekłem, że nie będę czytał bez nich”³.

Tak doczekali pod Wilnem wiosny 1920 r., ale nadal nic nie zapowiadało rozpoczęcia walki z bolszewikami. Trwały jakieś pertraktacje, a jak się okazało, była to zwłoka, która pozwoliła bolszewikom na przegrupowanie się, zebranie sił i przejście do ataku.

Oddział autora zapisków przystąpił do walki dopiero na początku lipca, lecz szybko został zmuszony do odwrotu. Prawie codzienne notatki z tego czasu, czyli od lipca do połowy sierpnia 1920 r., przedstawiają klęskę Polaków.

„Wszystko uciekało w zupełnym pomieszaniu. Piechurzy w hełmach różnych kształtów i barw pędzili z karabinami maszynowymi oraz aparatami i centralami telefonicznymi. Mijały ich w galopie wozy i powózki. Jakiś żołnierz jechał na powózce z karabinem maszynowym. Nakryty był białą celtą i trzymał kosę na ramieniu, więc wyglądał jak śmierć na rydwanie. Jeźdźcy wymijali wszystkich, wznosząc chmury kurzu, który zasłaniał wszystko. Tylko ranni wlekli się wolno, poobwijani zakrwawionymi bandażami. Niektórych podtrzymywali towarzysze. Bolszewicy trzymali drogę pod huraganowym ogniem artylerii. Granaty gwizdały i wybuchały na szosie oraz po

³ *Ibidem*, s. 44.

jej bokach, wznosząc olbrzymie słupy ziemi. Niektóre padały bez eksplozji. Piechurzy padali co chwilę na ziemię, konie przewracały się wraz z jeźdźcami lub stawały dęba”.

Rembek opisał, jak uratował się właściwie cudem, nie bez pewnej tragicomicznej puenty, możliwej tylko w warunkach wojennych: „Nagle gwizdnął nad nami ciężki pocisk, aż jezdni pokładli się na karkach koni. Ziemia przed działem wzniosła się olbrzymim słupem. Rozpędzony zaprzęg przewrócił się, wpadłszy widocznie w lej od granatu, a ja wyleciałem pod koła głową naprzód. Skrzynia z amunicją, biblioteczka i wszystko, co się znajdowało na przodkarze, spadło na mnie. Miałem tyle przytomności, że chwyciłem się postronków, za które konie dyszlowe ciągnęły mnie przed kołami, ale wtedy jeden z nich zaczął bić kopytami i w końcu zwałił się na mnie. [...] Jezdni zaczęli podnosić zaprzęg, a porucznik Świnarski zapytał: – Czy aby konie nie ranne? – Rembek zabity – odpowiedziano. Dowódca machnął ręką. – Mniejsza z nim”. Oszolomionego, ale i szczęśliwego dziesiętnastolatka wydobyto spod działa: „Nic mi nie brakowało, jedynie spodnie miałem zdarte do gołego ciała. Pozbieraliśmy wszystko oprócz biblioteczki i ruszyliśmy dalej wśród huraganowego ognia”⁴.

Przez Lidę, Białystok, Zambrów, Ostrów Mazowiecką dotarli pod Warszawę. Stanęli w rejonie Serocka i Zegrza, by wspierać decydującą bitwę pod Radzyminem. Wkrótce odwrót zmienił się w pogoń. „Wczoraj rano – pisał Rembek 19 sierpnia – ruszyliśmy w pogoń za bolszewikami. Jechaliśmy na Nieporęt i Radzymin. Pod Radzyminem pełno było śladów niedawno zakończonej bitwy. Po rowach leżały obdarte do naga trupy bolszewickie. Nasi jezdni bili je w kłusie batami. Nazajutrz zajęliśmy pozycje przed Marianowem nad Bugiem”⁵.

Później oddział wrócił do Warszawy i ruszył na południowy wschód przez Dęblin, Lublin, Zamość aż na Wołyń. Bolszewicy bronili się zaciekłe. Pod Majdanem polskie oddziały zostały okrążone i gdyby nie odsiecz w ostatniej chwili, nie wiadomo, czym dla autora zapisków skończyłaby się cała kampania.

Mogła się jednak skończyć nieoczekiwanie w całkiem inny sposób. Wspominał: „Kossobudzki [jego dowódca] długo czekał okazji, żeby się ze mną rozprawić, aż raz podczas marszu, gdy piliśmy wodę pod mostem, ruszył do mnie koniem, wyciągając rewolwer. Wchodziłem już na nasyp. Widząc niebezpieczeństwo, zerwałem szybko

⁴ *Ibidem*, s. 98–99.

⁵ *Ibidem*, s. 122.

karabin z pleców, aż mi spadł hełm z głowy. Kossobudzki przerażony ściągnął konia tak gwałtownie, że zwałił się wraz z nim z wysokiego nasypu. Ledwie się pozbierali”⁶.

Rembek kampanię przeciwko bolszewikom zakończył zaszczytnie, choć bez uznania dowódcy. Już w 1921 r. zanotował, że podczas uroczystej defilady w Brześciu Litewskim, gdzie stacjonował po zakończeniu działań wojennych jego oddział, odznaczono wielu żołnierzy. „Na naszą baterię padły 4 Krzyże Virtuti Militari i 25 Krzyży Walecznych. Charakterystyczne, że ani jeden nie dostał się obsłudze dział, podczas gdy udekorowano wszystkich ordynansów, kucharzy i wielu rzemieślników”⁷.

Dowódcy utrudniali mu zwolnienie z wojska. Z trudem dostał urlop na załatwienie formalności szkolnych i przygotowanie do matury. Karano go aresztem za pozorne uchybienia i dopiero jego uparte interwencje u wyższych przełożonych doprowadziły do zwolnienia z armii na początku 1921 r. Mógł być rozgoryczony, bo stracił kilka miesięcy, gdy jego koledzy dawno już opuścili oddział. Z Brześcia Litewskiego przyjechał do Łasku, gdzie mieszkali jego rodzice. Maturę zdał w tym samym roku w Piotrkowie Trybunalskim. Wkrótce podjął studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim i w Szkole Nauk Politycznych. Musiał sam się utrzymywać. Udzielał korepetycji. Zaczął pisać o wojnie polsko-bolszewickiej. Na początku 1922 r. odnotował, że napisał opowiadania *Opuszczone działo*, *Spartakus*, *Pieśń*, *Pytanie*, które zaproponował redakcjom „Kuriera Warszawskiego” i „Tygodnika Ilustrowanego”. Został redaktorem w piśmie harcerskim „Ognisko”, gdzie zaczął publikować powieść w odcinakach dla młodzieży *Ekspedycja karna*. Nie został zawodowym pisarzem. Nie należał też do żadnego środowiska literackiego. Po ukończeniu studiów pracował jako nauczyciel w szkołach średnich w Radomiu, Łęczycy, Piotrkowie Trybunalskim, a nawet w Równem na Wołyniu. Do wybuchu II wojny światowej było to jego główne zajęcie. Powieść *Nagan*, nad którą pracował kilka lat, udało mu się wydać najpierw w odcinkach w piśmie „Robotnik”, a później w 1927 r. w wydawnictwie Gebethnera i Wolffa.

Studium wojny

Cała twórczość pisarska Rembeka w dwudziestoleciu międzywojennym, począwszy od pierwszych opowiadań, poprzez powieści *Nagan* i *W polu*, skupiła się na lipcu i sierp-

⁶ *Ibidem*, s. 130.

⁷ *Ibidem*, s. 136.

niu 1920 r., kiedy jeszcze nie było wiadomo, jak się skończy wojna z bolszewickim agresorem. Rembek w swej prozie, prócz pokazywania sugestywnych i porażających obrazów wojennej walki oraz scen batalistycznych, starał się zgłębić przeżycia ludzi w krańcowych sytuacjach. Opisywał je jako potencjalna ofiara. Poszukiwał środków, które mogłyby oddać doświadczenie wojny totalnej. Jeśli w powieści *Nagan* posługiwał się jeszcze fabularną konstrukcją, w której – oprócz szczegółowych opisów wojennej kampanii i wydarzeń zmieniającego się frontu – mamy swego rodzaju intrygę, prowadzącą do samobójczej śmierci jednego z bohaterów, to powieść *W polu* jest już tylko kroniką pewnego oddziału artyleryjskiego, który zostaje rozproszony i prawie całkowicie wyniszczony w odwrocie znad Berezyny pod Warszawę. Kronika ta została ujęta w pewną ramę konstrukcyjną. Jest nią przepowiednia złego losu na początku powieści, pewien zły znak w decyzjach dowódców, który spełnia się w fatalizmie wojny, w serii feralnych wydarzeń: najpierw to śmierć żołnierza wysłanego niepotrzebnie na patrol, później przypadkowa, bezsensowna śmierć jednego z dowódców nie w wyniku walki z bolszewikami, lecz na skutek zatargu w oddziale, dalej to kolejne klęski, oskrzydlenie kompanii przez bolszewików, rozbięcie oddziału, pojedyncze ucieczki, śmierć kolejnych żołnierzy i stopniowe wygubienie całej kompanii, prócz jednego, ostatniego żołnierza, który był przyjacielem tego pierwszego zabitego.

Wojna to nie tylko ciąg walk, zwycięstw i klęsk, lecz także żywioł porywający i przemieniający ludzi w obliczu nieustającej obecności śmierci; to zjawisko, które wymyka się ludzkiemu panowaniu i rozumieniu. Jeden z bohaterów powieści, por. Paprosiński, tak to widzi: „»Przede mną może być tylko śmierć« – pomyślał i był prawie z tego zadowolony. [...] »Błogosławiona wojna – dumiał – bo tylko na niej ma się sposobność poznać granice swego ducha i zepchnąć w parę miesięcy żywot, który inaczej włókiłby się z pół wieku może»⁸. Wojna przynosi zniszczenie i samozniszczenie, jest pragmatyczna, mechaniczna, ale i irracjonalna. Jest wydarzeniem nie tylko patriotycznym, lecz i w pewnym sensie ponadludzkim, bo kumulującym wszystkie wydarzenia życiowe. Jest widowiskiem, by tak rzec, homeryckim, oglądanym z wyższej, niejako nadnaturalnej perspektywy.

Rembek skupiał się w swej prozie na temacie wojny, wykorzystywał ją fabularnie, ale miał też głębsze przemyślenia. Jeszcze w czasie pracy nad powieścią

⁸ S. Rembek, *W polu*, Warszawa 1996, s. 231–232.

Nagan zapisał uwagę przy okazji lektury książki Ilji Erenburga *Oblicze wojny*, którego obserwacje i wnioski uznał za bardzo trafne: „Na froncie nie widać nic, jest pustka i nicość. Wojną nie kierują ludzie, tylko abstrakcyjny rozum ludzki, zaklęty w maszynie. Aby zabić człowieka, trzeba przejść drogę od idei wynalazcy do pociągnięcia sznurka działa. Ludzie wysługują się tylko mechanizmom. Tyły i front nie rozumieją się. Nie można opowiedzieć przeżyć na wojnie tak, by się było zrozumianym. Życ można tylko w obliczu śmierci. [...] Żołnierz nie boi się śmierci czy niebezpieczeństwa, tylko czegoś innego. Strach powstaje w specjalnych warunkach. Kompania w rezerwie nie boi się pękających wśród niej granatów. Na wojnie strach skrada się do miejsc – nie do ludzi. Nienawiść istnieje tylko na tyłach. Tyłowiec na froncie jest śmieszny, jak widz na scenie. Na froncie panuje nuda powszedniości, czego nie mogą zrozumieć na tyłach. Istnieje dusza wojny. Nienawidzi się wroga tak, jak się kocha np. matkę. Nikt się nie pyta dlaczego. Kto nie potrafi nienawidzić, nie potrafi i kochać. Miłość jest ślepa i nienawiść również. Są święte błędy i istnieje święta nienawiść. W ludziach znudzonych wojna budzi pragnienie życia i zapomniane uczucia. Życie bez śmierci byłoby beznadziejnie nudne. W żołnierzach często budzą wesołość sceny pełne grozy⁹. Doświadczenia wojny nie da się zatem przekazać, jest ono trudno zrozumiałe dla samych jej uczestników, a co dopiero dla postronnego obserwatora.

Krytycy zarzucali Rembekowi, że skupił się na rejestracji wojennych wydarzeń i nie pokazał polskiego zwycięstwa. Nie przysparzało mu to popularności. Porównywano go do Ericha Marii Remarque’a, a nawet zarzucano mu, że był pod wpływem niemieckiego pisarza. Rembeka to oburzało, bo jego utwory powstawały wcześniej niż Remarque’a. Żartował nawet, że to on mógłby mieć wpływ na autora *Trzech towarzyszy*, gdyby ten oczywiście znał jego utwory. Sprawa ta nie dawała mu spokoju, bo już wiele lat później, w 1955 r., odpowiadał w liście do „Tygodnika Powszechnego” na podobne zarzuty. Przy tej okazji jeszcze raz wyjaśniał swój stosunek do zjawiska wojny: „Remarque nie tylko mnie nie zachwyił, ale po prostu oburzył. Chciał niby to napisać o pokoleniu, które zmarnowała wojna, i pokazuje grupę szowinistycznych esmanów, którzy pod wpływem swego nauczyciela poszli mordować bezbronne dzieci i kobiety belgijskie i rozczarowali się bardzo,

⁹ S. Rembek, *Dzienniki...*, s. 195–196.



Edmund Bartłomiejczyk, *Pójdź, żołnierzyku Boży (Pieta)*, litografia, 1920 r.

że do nich też będą strzelać. Toć chyba nikt na świecie nie może wątpić, że gdyby ci młodzieńcy urodzili się o dwadzieścia lat później, to pod wpływem tego samego nauczyciela poszliby bez wątpienia z piorunkami na kołnierzach mordować dzieci w gettach lub na Zamojszczyźnie. To, że zabawiali się ruchomymi ustępami czy też klócili się o buty umierającego kolegi, to nie jest »zdziczenie« – to jest po prostu kwestia obyczajów i zasad etycznych. Osobiście nigdy nie stwierdziłem u ludzi biorących udział w wojnie ani »zdziczenia«, ani zraty zasad etycznych. [...] Nie rozczarował mnie też bynajmniej »brudny realizm wojny«, owszem, urzekła mnie raczej jej żelazna konsekwencja, stała gotowość poświęcenia swego życia dla »swoich«, a przede wszystkim absolutny brak miejsca na jakąkolwiek błądę, na jakikolwiek kabotyzm i niezmiernie mało miejsca właśnie na podłość. Tyczy się to przynajmniej pierwszej linii»¹⁰.

Rembek długo, bo prawie dziesięć lat, pracował nad powieścią *W polu*. Poszukiwał, jak można sądzić, najlepszej formy literackiej dla przekazania ludzkiego doświadczenia wojny w XX w. Stała się też jego powieść rodzajem medytacji nad własnym udziałem w tej wojnie, nad młodzieńczym doświadczeniem niespełna dwudziestoletniego wtedy człowieka, które zaważyło na całym jego dalszym życiu. Nie należała jednak jego powieść, jak podkreślał sam autor, do nurtu pacyfistycznego w literaturze, który reprezentował Remarque, lecz zawierała własną interpretację tamtej wojny jako stałego, powracającego fenomenu ludzkiej zbiorowości, w czym bliższa była twórczości innego niemieckiego pisarza – Ernsta Jüngera.

Studium okupacji

W prowadzonym niemal przez całą II wojnę światową dzienniku i w opowiadaniach okupacyjnych Rembek pokazywał stan wojny długotrwałej i wyniszczającej, wojny bez nadziei na jej zakończenie.

W chwili niemieckiej napaści na Polskę mieszkał z rodziną w podwarszawskim Grodzisku Mazowieckim. Nie został zmobilizowany, ale uznał, że jako były wojskowy powinien się zgłosić do najbliższego oddziału. Widział upadek stolicy, nieustające bombardowania, miasto stopniowo zamieniane w ruinę, ludzi ginących i szukających ratunku. Sam krył się przed nalotami, w różnych grupach

¹⁰ *Ibidem*, s. 234.

brał udział w odgruzowywaniu ruin, gaszeniu pożarów, ratowaniu rannych. To wszystko opisał później w dłuższym opowiadaniu *Wrzesień*. W październiku wrócił do Grodziska. Tam przeżył całą okupację, wyjeżdżając tylko często do Warszawy, rzadziej do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie mieszkali jego rodzice. Aby oddać szczegółowo prawdę o tej nowej wojennej rzeczywistości, w styczniu 1940 r. zaczął notować swoje obserwacje w kolejnym dzienniku. Prowadził go systematycznie do 1943 r., w latach następnych już okazjonalnie.

Rembek musiał się podejmować różnych zajęć, by przeżyć. Udzielał lekcji, handlował, czym się dało: mydłem, bimbrem, papierosami, które sam produkował, wyprzedawał meble i obrazy. Uprawiał z żoną ogród, by zapewnić choć część pożywienia, musiał zadbać o opał na zimę, kombinował, jak się to odtąd nazywało, w ramach gospodarki wymiennej. W październiku 1941 r. tak opisał swój dzień pracy: „Przez cały ten dzień pracujemy w ogrodzie, kopiąc ziemniaki, zbierając kukurydzę, rąbiąc zeschnięte drzewka itp. Marysieńka wekuje pomidory, marmoladę. Udało nam się po długich targach sprzedać rower Wandzie Paćkównie za pół korca pszenicy, pół korca jęczmienia i trzy ćwiartki ziemniaków. Zmlełem na ręcznym młynku 3 kg pszenicy. Pracowałem przy tym bez przerwy jakieś cztery godziny”¹¹. A 1 maja 1940 r. zapisał: „Słonecznie, ale chłodny i silny wiatr północno-wschodni. Cały dzień przeszedł mi na chodzeniu z mydłem. Obleciałem wszystkie sklepy w Milanówku i dwa razy byłem w Grodzisku. Aż sobie stopy poodparzałem. Ale udało mi się sprzedać pięć kilo”¹². W sierpniu 1941 r. zanotował: „Zaraz rano wybrałem się z wódką do Warszawy. Najpierw wstąpiłem do Niedźwiedzkich, którzy jeszcze spali, a potem do Zygmunta, który przyjechał z Łodzi. [...] Opowiadał o strasliwym prześladowaniu w tzw. Reichu. Mają się tam odbywać nieustanne obławy po domach, głównie na młode dziewczęta, które poddają urzędowemu zapłodnieniu. Po trzech tygodniach [od urodzenia] odbiera się dziecko w celu wychowania przez państwo. Zabiera się również dzieci, tak że Wiesio Tadeusza chowany był do komórki. Poza tym Polakom nie wolno sprzedać ani tłuszczu, ani wódki, ani papierosów, ani nawet ziemniaków. Codziennie odbywają się

¹¹ S. Rembek, *Dziennik okupacyjny*, Warszawa 2000, s. 231.

¹² *Ibidem*, s. 58.

egzekucje pokątnych handlarzy. W małych miasteczkach wieszają ich przed kościołem podczas świąt, gdy ludzie wychodzą z kościoła. Najniebezpieczniejszą są volksdeutsche, którzy legitymują podejrzanych o przynależność do narodości polskiej na każdym kroku”¹³.

Rembek zwracał uwagę na niemiecki terror, nieustanną groźbę śmierci w ulicznych egzekucjach, łapanie do obozów, zastraszanie wszystkich i każdego z osobna. Pokazywał stopniowe powstawanie od samego dołu totalitarnej rzeczywistości, z której nie ma ucieczki, rzeczywistości atakującej zewsząd ludzką psychikę. Także – narastającą psychozę wojenną, kolejne fale egzekucji ulicznych w Warszawie, ale i na prowincji, oblawy i wywózki na Pawiak i do obozów. „Odbывают się one w ten sposób – zapisał w maju 1941 r. – że samochody z wojskiem oraz cykliści zamykają jakąś ulicę i wyłapują mężczyzn tudzież kobiety, strzelając do uciekających”¹⁴. Największe egzekucje, zbiorowe odwety na Polakach, odbywały się po zbrojnych akcjach podziemia albo po zabiciu pojedynczych Niemców. Rembek opisał taką wielką egzekucję w Grodzisku w 1943 r., po zabiciu panoszącego się tam Niemca przez młodych konspiratorów. Wykorzystał później tę sytuację w swej powieści *Wyrok na Franciszka Kłosa*. Zupełnie niesłychany jest opis zbiorowej egzekucji w Wigilię 1943 r. w Warszawie: „Niemcy srożą się bez przerwy. Za zabójstwo szefa kwaterunkowego Brauna rozstrzelano na Placu Teatralnym 170 osób. Nawet dziś [24 grudnia] stracono publicznie 43 osoby. W samej Warszawie ofiary idą w coraz większe setki i tysiące. Skazanym ściągają się najpierw krew do transfuzji, potem się ich kąpie, strzyże i wreszcie wyprowadza w papierowych ubraniach i drewnianych chodakach albo nawet boso z zalepionymi jakąś papką ustami. Rozstrzeliwuje się ich z broni maszynowej, a potem dobija pojedynczymi strzałami. Trupy wywozi się natychmiast samochodami. Zdumiewający jest stosunek ludności niemieckiej do tych okropności. W jednym wypadku widziano np. dwie szesnastoletnie sanitariuszki, zaśmiewające się do łez w czasie ładowania trupów i deptania przez żandarmów rozsypanych kwiatów i zapalonych świeczek na świeżej krwi”¹⁵.

¹³ *Ibidem*, s. 220.

¹⁴ *Ibidem*, s. 65.

¹⁵ *Ibidem*, s. 331.

Nieprzewidywalny terror niemiecki niszczył elementarny porządek społeczny, więzi międzyludzkie, życie rodzinne i indywidualne, poczucie bezpieczeństwa podstawowej wspólnoty. W tych warunkach nasilały się demoralizacja i degeneracja wojenna, bandytyzm, złodziejstwo, napady na domostwa, właściwie bezkarne w sytuacji panowania bezwzględnej władzy niemieckiej. Pod jego ochroną mogły pojawiać się częściej przestępstwa pospolite, a także chęć dowolnego zysku dla przetrwania i kolaboracja z okupantem. Rembek opisał wiele takich przypadków. Na początku grudnia 1943 r. zanotował: „Dziś po raz pierwszy od miesiąca wybrałem się do Grodziska po kartki. Zaraz po drodze spotkałem Krzemińskiego, który wziął mnie na wóz. Rozmawialiśmy o bezustannych kradzieżach i rabunkach w okolicy. Ograbiono aptekarza Majcherskiego, sklepikarkę Pożerską, Nowickiego, Sieka, który kupił dom od Baraniaka, i samego Krzemińskiego. Wszystko to stało się w dość krótkim czasie. Podobno jednak wyłapano już część tej bandy, nie schwytano jeszcze jej szefa Giełbutowskiego. Za to miano złapać dwóch Żydów z Grodziska, braci Karwasserów. Rzeczywiście, spotkałem w mieście dwóch kryminalnych prowadzonych na posterunek, skutą parę wybladłych młodzieńców atletycznej budowy”¹⁶.

Okupacyjny dziennik Rembeka, prowadzony z dnia na dzień, dobrze oddaje stan niepewności, zaniepokojenia, lęku, narastającej psychozy okupacyjnej, z której wielu nie mogło się wyzwolić, ale wielu – może nawet większość, jak zaświadczał autor – radziło sobie na wszelkie sposoby, skupiało się na życiu rodzinnym, ratowało się spotkaniami towarzyskimi przy każdej nadarzającej się okazji, także w miejscowych knajpach, gdzie nie oszczędzano alkoholu, czemu Niemcy akurat nie zapobiegali. Dziennik okupacyjny Rembeka, podobnie jak jego dziennik z roku 1920, jest rodzajem kroniki najważniejszych wydarzeń, spotkań i rozmów, wiadomości zasłyszanych, a też rozmaitych wieści niesprawdzonych czy plotek, które pojawiały się siłą rzeczy w tych wojennych warunkach, kiedy zostały unieemożliwione pełna komunikacja i informacja. Pisany raczej beznamiętnie i obiektywnie, nie zawierał szerszych refleksji pisarza, za to oddawał ówczesną atmosferę. Szczególnie popularne były wtedy rozmowy i przewidywania co do końca wojny. Już w jej pierwszym roku często uważano, że skończy się za kilka miesięcy, później,

¹⁶ *Ibidem*, s. 334–335.

w miarę jej przedłużania się nadzieje te słabły, ale stale falowały pod wpływem różnych wydarzeń kampanii wojennej na Wschodzie i Zachodzie.

Studium zdrady

Pod datą 30 lipca 1943 r. Rembek zanotował w swym dzienniku: „W Grodzisku zastrzelono policjanta Kłosa, który szczególnie dawał się we znaki pokątnym handlarzom”¹⁷. To wydarzenie zainspirowało go do napisania niewielkiej powieści *Wyrok na Franciszka Kłosa*, wydanej w 1947 r.

Sprawa ta nie była odosobniona w warunkach niemieckiej okupacji, kiedy sądy podziemne wydawały wyroki na niebezpiecznych kolaborantów, szmalcowników, zdrajców. Rembek nie zamierzał jednak opisywać w swej powieści tylko samych podobnych wydarzeń, lecz chciał przede wszystkim stworzyć na tyle złożony, skomplikowany i dramatyczny obraz okupacyjnej rzeczywistości, by oddać możliwie najpełniej jej stan, przybliżyć jej prawdę, tę ostateczną realność wojenną, która przynosiła nieustanne zagrożenie śmiercią, cierpieniem, upodleniem. Chciał oddać tę wyjątkową przecież rzeczywistość w sposób zarazem literacki i wiarygodny, wciągający w okupacyjną rzeczywistość, oddziałujący także na przyszłego czytelnika. Dlatego pisarz przykładał wielką wagę do odpowiedniej formy przekazu literackiego, by nie tylko opowiedzieć o przebiegu wydarzeń, lecz i wejść w obcą w istocie rzeczywistość, pojąć trudną do przyjęcia psychikę niektórych postaci, które z różnych względów występują przeciwko swej społeczności, nieraz przeciwko najbliższym. Taką postacią jest w powieści policjant Kłos, który zgadzając się w pełni na niemiecką służbę, zaczął prześladować rodaków i stopniowo posuwał się do zbrodni w interesie okupanta.

Już na początku powieści wiadomo, jak się ona skończy: Kłos dostał list z wyrokiem śmierci wydanym przez podziemną organizację. Później akcja rozwija się z nieuniknioną konsekwencją. Następują egzekucje na towarzyszach Kłosa, innych kolaborantach, funkcjonariuszach niemieckich, folksdojczach. Po nich przychodzi zemsta niemiecka: zbiorowa egzekucja mieszkańców miasteczka, które zostaje niemal unicestwione. Nie powstrzymuje jednak ostatecznego finału – wykonania wyroku na Kłosie.

¹⁷ *Ibidem*, s. 319.

Postać granatowego policjanta nie jest jednoznaczna ani jednowymiarowa. Autor chciał przedstawić i przeanalizować fenomen zdrady, zaprzaństwa, sprzeniewierzenia się i odstępstwa od swej wspólnoty, odrzucenia wartości, które tworzyły i kształtowały jej porządek moralny i życiowy. Pisarz zaopatrzył Kłosa w dość skomplikowaną, zmienną psychikę, chcąc pokazać, że wystarczy nieraz jeden fałszywy krok w trudnej sytuacji, przekroczenie jakiejś ustalonej, bezpiecznej granicy, by znaleźć się w pułapce bez wyjścia. Kłos był przed wojną zasłużonym już policjantem, a pod okupacją niemiecką, gdy zmuszano do dalszej służby, grożąc śmiercią, zgłosił się do policji nominalnie polskiej, ale podległej całkowicie Niemcom, choć mógł tego uniknąć, korzystając z pomocy rodziny żony.

Autor przedstawił go jako porządnego niegdyś obywatela, katolika, lojalnego Polaka, który miał jedną słabość – był służbistą. Pod okupacją niemiecką uznał, że musi być lojalny wobec nowej władzy, zwłaszcza gdy okazało się, że Polski już nie ma, a Polacy byli zbyt słabi, żeby ją obronić. Kłos wybrał stronę silniejszego i godził się na bycie wykorzystywanym przeciwko słabszym. Powoli przechodził na stronę niemiecką, wciągał się, choć nie bez oporów, w tę sytuację z pomocą niemieckich towarzyszy walki, zwłaszcza żandarma Kranza, z którym zaczynał regularnie się upijać. Chciał się zasłużyć nowym władcom, którzy nim zresztą pogardzali. Stał się nadgorliwy, gotów był spełniać wszelkie rozkazy. Tropił pokątnych handlarzy, których sam wykorzystywał, brał udział w obławach na Żydów, wykonał nawet egzekucje, których mu nie nakazywano. Często pod wpływem alkoholu, bez którego nie mógł się już obejść. Rozterki i wyrzuty sumienia, których autor mu nie odmawiał, próbował zagłuszyć pijackim upojeniem.

Zarazem w tę ponurą postać pisarz wprowadził skomplikowaną, właściwie sprzeczną motywację. To nie tylko na przemian lęki i agresja, lecz i desperacja w dalszych zbrodniach, później autoagresja, poczucie winy i przecucie, że zbrodnia nie może ujść bezkarnie, wewnętrzne piekło, które przeżywał Kłos, obłędne koło zniszczenia i samozniszczenia, walki instynktu życia i instynktu śmierci. Policjant nie wiedział w końcu, czy w sytuacji wojennej zagłady staje po stronie życia, czy po stronie śmierci, ale przeczuwał, że nowa władza i nowa siła, która przynosi zwycięstwo nad dotychczasowym światem, wcale nie zapewni pełnej racji, wewnętrznego spokoju i oczekiwanego spełnienia. Dlatego w końcu stanął sam przeciwko sobie, nie uciekał przed wyrokiem, jaki na niego wydano.

Pisarz pechowy?

Tak nazwał Rembeka krytyk literacki Tomasz Burek. Rembek napisał niewiele książek, ale wszystkie były ważne jako świadectwa historyczne i zarazem wybitne jako dzieła literackie. W międzywojniu był już uznanym i nagradzanym pisarzem. Po wojnie autor, który dotychczas tworzył książki tylko o wojnie polsko-bolszewickiej, nie miał w ustroju komunistycznym żadnej, by tak rzec, racji bytu. Pozwolono mu przeżyć. Nie miał chyba większych złudzeń co do bycia pisarzem w tych warunkach, zwłaszcza do możliwości publikowania swych utworów. Ostatnią powieść udało mu się wydać, gdy nie zamknięto jeszcze prywatnych wydawnictw. Później ograniczył się do literatury historycznej, opowiadań o Powstaniu Styczniowym i czasach Konfederacji Barskiej. Związał się z wydawnictwem PAX i tylko ono wydało mu tom *Ballada o wzgardliwym wisielcu i dwie garwedy styczniowe*, a później wznowiało też *Wyrok na Franciszka Kłosa*. Po wydaniu powieści *W polu* w paryskiej „Kulturze” w 1958 r., w kraju zapadła głucha cisza o pisarzu. Dopiero po 1989 r. wydano wszystkie jego powieści, a także dzienniki wydobyte z rękopisów oraz opowiadania niedrukowane dotąd lub rozsiane po czasopismach, w szczególności świetne obrazki z Powstania Warszawskiego. Nie doczekał już tego, podobnie jak nie doczekał ekranizacji swych opowiadań styczniowych *Szwadron* w reżyserii Juliusza Machulskiego i *Wyroku na Franciszka Kłosa* w reżyserii Andrzeja Wajdy. Nie doczekał też niepodległości. Powinien być oczywiście bardziej znanym i docenianym pisarzem, nie był jednak człowiekiem pechowym: przeżył wszystkie polskie wojny, jakie nam się zdarzyły w XX w., i wyszedł cało z wielu niebezpieczeństw.



Marek Klecel (ur. 1945) – filolog, dr, publicysta. Redaktor antologii *Polen zwischen Ost und West. Polnische Essays des 20. Jahrhunderts. Eine Anthologie* (1995). Autor rozprawy doktorskiej *Pisarstwo Stanisława Vincenza (1888–1971)* (2004, niepubl.).

Zamów „Biuletyn IPN” bezpośrednio do domu!



Koszt prenumeraty od numeru 10 do końca 2019 r. wynosi **18 zł.**

Otrzymają Państwo 3 kolejne numery.

Do każdego numeru dodajemy płytę DVD z filmem lub muzyką.

Zamówienie prenumeraty można złożyć:

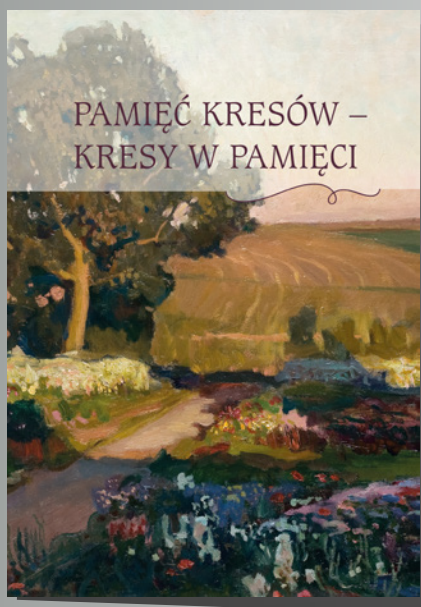
- za pomocą blankietu płatniczego zamieszczonego na poprzedniej stronie,
- pocztą elektroniczną prenumerata@ipn.gov.pl
- lub pod adresem pocztowym:

Instytut Pamięci Narodowej – Księgarnia IPN
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

Wszelkie informacje pod numerami: (22) 581-86-78, (22) 581-86-79

**W PRENUMERACIE TANIEJ
I BEZ DOLICZANIA
KOSZTÓW PRZESYŁKI**

Nowości IPN





Żołnierze niemieccy w okolicach Zambrów, 11 września 1939 r. Fot. ze zbiorów Regionalnej Izby Historycznej w Zambrówie

W następnych numerach:

Jerzy Popiełuszko – kleryk i żołnierz

Abp Ignacy Tokarczuk o ks. Popiełuszcze

Święty w za ciasnych butach. Ks. Jan Cieński (1905–1992)

Biskupi Teodorowicz i Chomyszyn wobec Rzeczypospolitej

Warszawa – miasto skazane na śmierć

Portret grabieżców dóbr kultury pod okupacją niemiecką

Zbrodnie niemieckich grup operacyjnych jesienią 1939 r.

Kolaboracja mniejszości narodowych II RP z Sowietami

1939–1945 Bohater: Władysław Anders

1939–1945 Zbrodniarz: Ławrientij Beria

Obozy NKWD w powojennej Polsce

Polak – Węgier dwa bratanki